

Wola *ludzie i historie*



Wola *ludzie i historie*

Warszawa 2013

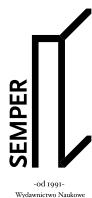


Dzielnica
m.st.
Warszawy
[www.
wola.waw.pl](http://www.wola.waw.pl)

Wydawca:
Urząd Dzielnicy Wola m.st. Warszawy
Al. Solidarności 90, 01-003 Warszawa
www.wola.waw.pl

Tekst i wybór ilustracji: Jarostaw Zuzga

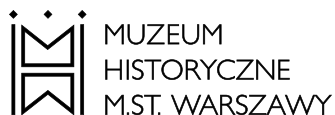
Opracowanie graficzne, skład, druk:
Wydawnictwo Naukowe Semper
ul. Mariensztat 8
00-302 Warszawa
www.semper.pl



ISBN: 978-83-7507-255-6

© Copyright by Urząd Dzielnicy Wola, Warszawa 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved

Dziękujemy partnerom:



Zdjęcie na 1. stronie okładki: Antonina Zbyszewska-Mildner
z przyjaciółką, przy wejściu do „Pedetu” na Woli, 1959 r.
Fot. z archiwum Antoniny Zbyszewskiej-Mildner.

Zdjęcia na 4. stronie okładki (od lewej):
1. Józef Grabalski, dyżurny Podstacji „Wola” przy ul. Wschowskiej 2, 1953 r. Fot. z archiwum Józefa Grabalskiego;
2. Maria Kalina Zalewska, ok. 1941 r., w tle szkoła przy ul. Bema. Fot. Mieczysław Gracjan Kozłowski;
3. Paweł Starewicz nieopodal pętli tramwajowej „Wolska” przy al. Rewolucji Październikowej (obecnie al. Prymasa Tysiąclecia), 1989 r.

Szanowni Państwo,

Historia Woli składa się z Waszych opowieści – takimi słowami zachęcaliśmy Państwa do przysyłania nam wspomnień związanych z Wolą. Jesteśmy wdzięczni i dumni, że wspólnie udało się spisać historię tej części miasta. Nie jest to wydawnictwo naukowe, naszym celem było zaprezentowanie tego, co działo się na Woli, w sposób przystępny i ciekawy. Dzięki osobistym wspomnieniom, zapisom dziejów wielu wolskich rodzin, powstała ta piękna opowieść.

Wola zawsze była i jest tą częścią Warszawy, która ulega najbardziej radykalnym przeobrażeniom. To jednocześnie szczęście i nieszczęście tych terenów. Na przestrzeni wieków Wola zmieniła się z terenów wiejskich w przemysłowe, na których w dwudziestolecie międzywojennym działało ponad 800 fabryk i zakładów. Była wtedy najbardziej dynamicznie rozwijającym się obszarem w stolicy, który został podczas wojny niemal doszczętnie zrównany z ziemią. Odbudowana bez szczególnej staranności po wojnie dzielnica dopiero dziś jest znów w fazie intensywnych przemian – to tu powstaje najwięcej nowych mieszkań w Warszawie, pną się w górę nowoczesne biurowce, a pod ziemią drążone jest metro.

Z każdej strony naszej książki wynika jasno, że Wola to miejsce obdarzone niezwykłą energią i potencjałem. Powtarzające się w jej historii cykle zniszczenia i odbudowy pozostawiły ślady w przestrzeni miejskiej i w rodzinnych losach mieszkańców. Mieszkańcy i autor tej książki dzielą się z nami tym dziedzictwem, za co serdecznie dziękuję.

Urszula Kierzkowska
Burmistrz Dzielnicy Wola m.st. Warszawy



Wstęp

To niesamowita przygoda móc spleść ze sobą wątki wspomnień mieszkańców Woli w jedną, w miarę spójną — mam nadzieję — historię. Gdy zaczynałem pracę nad tą książką, myślałem, że o Woli wiem już dużo. Teraz mam świadomość, że to dopiero początek i że wiele opowieści, których fragmenty zamieściłem w książce, wartych jest osobnego przedstawienia.

Wola. Ludzie i historie to wydawnictwo Urzędu Dzielnicy Wola, który gromadził historie mieszkańców przez kilka lat (niektóre ukazały się w „Kurierze Wolskim”). Część wspomnień została zebrana przeze mnie – przy tej okazji dziękuję wszystkim osobom, które zechciały udzielić mi wywiadów.

Trzeba zaznaczyć, że książka ta nie jest pracą naukową, nie jest nawet spisana historią dzielnicy. Takie publikacje są już dostępne na rynku i nie ma potrzeby ich powielać. Moim zamiarem było pokazanie przede wszystkim emocji mieszkańców, świadków wydarzeń wolskiej historii. Dlatego, siłą rzeczy, nie wszystkie fakty historyczne są w książce opisane.

Należy się Czytelnikowi kilka uwag. Najważniejszą z nich jest kwestia obszaru, o którym mówię. Od 1916 roku Wola zmieniała swoje granice, a najistotniejsze modyfikacje to powojenne rozszerzenie dzielnicy o fragment Śródmieścia, czyli obszar od linii ulic Okopowej i Towarowej do alei Jana Pawła II, oraz wyodrębnienie z niej Bemowa w 1994 roku. W książce brałem pod uwagę cały ten „szeroki” obszar Woli.

Pisząc w skrócie „lata 50., lata 90.” itd., miałem zawsze na myśli wiek XX.

Starałem się nie ingerować w język wspomnień, żeby zachować ich cechy charakterystyczne i koloryt. Tam, gdzie konieczne było wyjaśnienie, pojawia się ono w nawiasach kwadratowych.

Jarosław Zuzga

Wola przed 1916 rokiem

Wiatraki na Woli w XIX wieku. Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy



Magna Wola Varsoviensis, czyli Wielka Wola Warszawska — tak nazywała się wieś, o której kroniki pisały już w XIV wieku. Leżała ona dokładnie tu, gdzie dziś jest dzielnica Wola, czyli na zachód od obecnej linii ulic Towarowej i Okopowej, a jej centrum było mniej więcej tam, gdzie teraz znajduje się kościół św. Wawrzyńca. Stała tam wówczas drewniana świątynia, otoczona drewnianymi domami. Wieś była na tyle duża i znacząca, że w 1575 r., w politycznym chaosie wywołanym ucieczką króla Henryka Walezego do Francji, właśnie tu postanowiono dokonać elekcji nowego króla. Zgromadzona na wolskich polach szlachta wybrała Stefana Batorego, choć nie obyło się bez konfliktów, przez chwilę bowiem groził Polsce nadmiar monarchów — część zgromadzonych wołała królem uczynić Maksymiliana II Habsburga, króla Czech i Węgier. Ostatecznie jednak królem Polski został Batory, a dziewięciu jego następców też było wybieranych na elekcyjnych polach Woli.

Ranga Woli wzrosła po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy w 1596 roku. Dynamiczny rozwój przerwany został jednak w czasie potopu szwedzkiego, większość ówczesnej drewnianej wolskiej zabudowy, wraz ze wspomnianym kościołem, spłonęła. Nowa świątynia, wybudowana z inicjatywy królowej Marysieńki Sobieskiej, była już murowana i otrzymała patronat św. Wawrzyńca. Podstołeczna Wola rozbudowywała się, przybywało jej majątków szlacheckich, kaptańskich i mieszczańskich, wokół powstawały kolejne wsie i tzw. jurydyki, czyli prywatne miasteczka arystokratów. Nazwy jurydyk brzmiały znajomo: Leszno, Grzybów, Nowolipie...

W 1770 r. marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski kazał wokół Warszawy usypać wały chroniące miasto przed zarazą. Od strony Woli przebiegły one tam, gdzie dziś ul. Okopowa — stąd jej nazwa. Linia ta aż do XX w. będzie wyznaczać wschodnią granicę Woli. Do miasta można było wjechać przez roгатki zlokalizowane u wylotu ul. Chłodnej. W następnych latach po wolskiej stronie wałów powstały cmentarze różnych wyznań, stając się swoistym pomnikiem wielokulturowości dzielnicy, ale też całej Warszawy.

Insurekcja kościuszkowska, a potem powstanie listopadowe mocno doświadczyły Wolę. W obu wypadkach wojska zaborcze atakowały miasto od zachodu, a walki koncentrowały się w rejonie kościoła św. Wawrzyńca, czyli przy tzw. Reducie 56. Prawdopodobnie tu właśnie 6 września 1831 r. poległ generał Józef Sowiński.

Ogromny wpływ na losy Woli miało uruchomienie w 1845 r. Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Stacje rozładunkowe zlokalizowane zostały właśnie tutaj, a rozległe przestrzenie dzielnicy pozwoliły na budowę zaplecza kolejowego i po-



Rogątki Wolskie projektu Jakuba Kubickiego.
Fot. Leonard Schmidtner / Muzeum Historyczne m.st. Warszawy

wstanie wielu fabryk, warsztatów czy magazynów. Na Wolę sprowadzają się Ulrychowie i zakładają swoje słynne gospodarstwo ogrodnicze. Powstaje browar „Haberbusch i Schiele”, który wkrótce stanie się największym producentem piwa w zaborze rosyjskim. Przy ul. Dworskiej buduje się Gazownia Warszawska. Nieco dalej sprowadza się ze Śródmieścia spółka „Lilpop, Rau i Loewenstein”, budując w krótkim czasie jedną z największych



Warsztaty Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.
Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy



Towarzystwo Przemysłowe Zakładów Mechanicznych S.A. „Lilpop, Rau i Loewenstein” w Warszawie — wnętrze hali montażowej wagonów kolejowych. Fot. A. Lipka / Muzeum Historyczne m.st. Warszawy

fabryk w stolicy. W 1908 r. na ulice Żelazną, Chłodną i Wolską wjeżdżają pierwsze tramwaje elektryczne.

Można byłoby długo wymieniać firmy, nazwy zakładów i nazwiska osób, które przyczyniły się do dynamicznego rozwoju Woli na przełomie XIX i XX wieku. Warto tu podkreślić, że za rozkwit ów odpowiadali w dużej mierze obcokrajowcy — Niemcy, Holendrzy, Francuzi, Szkoci. Ich rodziny na ogół asymilowały się i przyjmowały polskie obywatelstwo.

W 1914 r. wybuchła I wojna światowa. To wydarzenie miało dla Woli znaczące konsekwencje. Po pierwsze, wycofujący się przed Niemcami Rosjanie zabrali ze sobą dużą część wyposażenia wolskich fabryk, nierzadko również razem

z załogą, co spowodowało przyhamowanie produkcji, a nawet likwidację niektórych zakładów. Po drugie, wprowadzona nowa administracja niemiecka zdecydowała o przyłączeniu Woli do Warszawy, co, jak się potem okazało, dało dzielnicy szansę na dalszy rozkwit.

Wola w międzywojniu



Wyścig kolarski Warszawa-Berlin, kolarze podczas przejazdu ul. Wolską, w głębi widoczny kościół św. Wojciecha, sierpień 1938 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-S-537-7

W 1916 r. Hans Hartwig von Beseler, ówczesny generał-gubernator okupowanej części Królestwa Polskiego, w tym Warszawy, włączył w granice miasta zachodnie przedmieścia, w tym Wolę, Czyste i Koło. Od tego czasu liczy się historia Woli jako pełnoprawnej dzielnicy Warszawy.

Okres ten, aż do wybuchu II wojny światowej, był dla rozwoju Woli ze wszech miar korzystny. Przyłączenie do Warszawy, likwidacja carskich fortów, rozbudowa zaplecza kolejowego — to wszystko spowodowało, że na Woli zaczął gwałtownie rozwijać się przemysł i przybywało mieszkańców, głównie robotników. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1918 r., wszystko wskazywało, że przed dzielnicą jawi się świetlana przyszłość.

Oczywiście, nie obyło się bez problemów. Rosjanie, wycofując się z Warszawy, zniszczyli sporą część infrastruktury przemysłowej albo ją burząc, albo wywożąc ze sobą jej wyposażenie. Tak było m.in. z wolskimi zakładami „Lilpop, Rau i Loewenstein”, których maszyny wylądowały w rezultacie na Ukrainie, razem z częścią załogi. Do tego dochodziły zniszczenia wojenne. Ale mimo to, a także pojawiających się w ciągu następnych lat kryzysów ekonomicznych, wolski przemysł nabierał rozpędu. We wspomnianym „Lilpopie” produkcja szła pełną parą, produkowano wagony kolejowe, tramwajowe, kotły ciepłownicze, turbiny wodne, a później, dzięki licencji uzyskanej od amerykańskiej firmy General Motors, samochody osobowe, dostawcze, ciężarowe i autobusy.

W 1923 r. przy ul. Karolkowej, w Polsko-Holenderskiej Fabryce Lampek Elektronowych, przemianowanej później na Polskie Zakłady Philips S.A., rozpoczęła się produkcja żarówek. Do wybuchu wojny zakład rozrósł się w wielki koncern produkujący radioodbiorniki, oświetlenie, elektronikę i termosy. Fabryka Obić Papierowych i Papierów Kolorowych „J. Franaszek” przy ul. Wolskiej rozszerzyła produkcję o błony i papiery fotograficzne, zwiększyła zatrudnienie i rozbudowała się. „Dobrolin”, producent chemikaliów, znany z doskonałych past do butów, został wybudowany przy ul. Wolskiej, na wysokości ul. Redutowej. W 1927 r. zakłady zostały uhonorowane nagrodą Grand Prix na Międzynarodowej Wystawie Przemysłu w Paryżu. Przy ul. Dworskiej w 1919 r. ruszyła Państwowa Fabryka Karabinów, a w Zakładach Mechanicznych „Ursus” przy ul. Skierniewickiej w latach 1916-1918 powstał prototyp pierwszego polskiego ciągnika. A to tylko przykłady — w sumie na Woli było ponad 800 zakładów przemysłowych, które zatrudniały dziesiątki tysięcy robotników. Nad dzielnicą górowały kominy.

Rozwój przemysłu pociągnął za sobą rozwój budownictwa mieszkaniowego i komunikacji. Flagową inwestycją tamtych czasów były osiedla Banku Gospodarstwa Krajowego i Towarzystwa Osiedli Robotniczych, wybudowane przy ul. Obozowej. To pierwsze powstało jako wystawa i miało być wzorcowym przykładem osiedla z niedrogimi i wygodnymi mieszkaniami. W sumie wybudowano 26 domów oraz budynki wystawowe. Wystawa została otwarta w maju 1935 r. i można było na nią dojechać tramwajem, uruchomioną cztery lata wcześniej linią tramwajową na Koło. Zaraz potem wybudowano drugi kompleks mieszkalny, były to bloki Towarzystwa Osiedli Robotniczych. Stojące prostopadle do ul. Obozowej ciągnęły się po obu stronach ulicy aż do ul. Księcia Janusza. Mieszkania w nich były nieduże, ale za to



Kolonia domków jednorodzinnych między ulicami Bogumiła, Deotymy i Ożarowską — osiedle wzniesione przez BGK. Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, „Wiadomości Literackie” 1938



Pierwszy tramwaj linii „16” na nowej trasie przedłużonej na Koło. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-G-4032-1



Przebudowa ulicy Wolskiej, 1936 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-G-7381

niedrogie, przy tym nowoczesne i wygodne. I również tutaj, w 1937 r., uruchomiono linię tramwajową. Jej kraniec przy ul. Księcia Janusza zetknął się ze starszą linią idącą od ul. Górczewskiej na Boernerowo, gdzie od 1922 r. powstawało osiedle dla pracowników Transatlantycznej Radiostacji Nadawczej.

Przy tej okazji warto wspomnieć jeszcze o dwóch ważnych wolskich liniach tramwajowych — od 1920 r. funkcjonował odcinek wzdłuż ulicy Bema. Ta krótka linia obsługiwała gęsto zabudowaną okolicę skrzyżowania ulic Bema i Ludwiki, w tym słynną szkołę powszechną, a kończyła się za kościołem św. Stanisława przy ul. Bema. Miała iść jeszcze dalej i przebiec się tunelem pod torami kolejowymi

aż na Ochotę, jednak tych planów nie zdążono zrealizować, a po wojnie już do nich nie wracano. Drugą ważną linią był odcinek z ul. Wolskiej, od wiaduktu kolejowego, do cmentarza wolskiego, uruchomiony w 1924 roku. Jego kraniec przez długie lata wyznaczał granicę miasta i dał szansę rozwoju tego fragmentu dzielnicy, zwłaszcza okolic ulic Redutowej, Sowińskiego, Jana Kazimierza i Odolan.

Przy układaniu torów tramwajowych pracował Teofil Sekuła, wolanin z ul. Młynarskiej:

Pracę miałem ciężką (...). Trzeba się było starać, robić szybko i dobrze, źle pracujący byli natychmiast zwalniani. Na ich miejsce czekały tysiące bezrobotnych. Bardzo często musieliśmy pracować w nocy, gdy ruch tramwajowy ustawał. Nie wolno było się spóźnić do pracy. Korzystaliśmy z bezpłatnych przejazdów tramwajami.

Byłem uszczęśliwiony, że nareszcie mogłem zarobić na skromne utrzymanie. Zarabiałem 5 zł dziennie. Tygodniowo po potrąceniach dostawałem na rękę około 28 zł. Niewielka to suma, ale przy ówczesnych cenach artykułów żywnościowych (kajzerka — 5 gr, 1 kg dobrej kielbasy — 1,80 zł, ćwiartka wódki — 1 zł, 1 kg cukru — 1 zł) można było skromnie żyć.



Budynki szkolne przy ul. Okopowej, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

W 1927 r. oddano do użytku nowoczesny budynek szkolny przy ul. Bema 76. Ten wielki gmach mieścił w sobie aż trzy szkoły powszechne podstawowe, miał 26 sal lekcyjnych, świetlicę i salę gimnastyczną. Rok później otwarto polsko-żydowski kompleks szkół przy ul. Okopowej. Placówkę tę wspomina Tadeusz Chojnacki:

Na posesji przy ul. Św. Kingi (na śladzie której leży obecnie droga dojazdowa wzdłuż szkoły), za 4 miliony złotych, z Funduszu im. Leopolda Meyeta, wybudowano pod jednym dachem kompleks bliźniaczych budynków dla żydowskiej Szkoły Powszechnej nr 195 (im. L. Meyeta) oraz polskiej (im. I. Mościckiego), nr 196. Oprócz sal lekcyjnych, gabinetów i licznych pracowni wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia i pomoce



Widok z tarasu podstacji „Wola” na dawną ul. Prądzyńskiego, w stronę ul. Bema. Na zdjęciu Stanisław Hoch z ojcem Edwardem. W tle, od lewej widoczne: Gazownia Warszawska i dom Słowika przy ul. Prądzyńskiego, czerwiec 1938 r. Fot. z archiwum Stanisława Janusza Hoch

naukowe, były dwa kąpieliska i dwie sale gimnastyczne. Drzewa okalające budynki zasadzone zostały w 1935 r. podczas lekcji przyrody przez p. Emmę Pretsch i jej uczniów oraz p. Marię Smulikowską, od 1929 r. kierowniczkę szkoły nr 196 i administratorkę obu budynków. Kierowniczką szkoły nr 195 była p. Anna Natanblutówna. W środowisku biedoty żydowskiej ten gmach zwano „szkołą-pałacem”. Każda ze szkół liczyła po 1500 dzieci, 30 nauczycieli i 10 woźnych. Dozorcą był p. Michał Śledź, a pałacem p. Bolesław Korzeniak.

W ciągu 10 lat, do 1939 r., grona pedagogiczne i komitety rodzicielskie, przez zgodne współzycie dzieci podczas wspólnych przedstawień, pogadek i innych imprez doprowadziły do wzajemnej życzliwości i kulturalnego współzycia uczniów. (Za: „Kurier Wspomnień” — specjalne wydanie „Kuriera Wolskiego”, 23 grudnia 2010 r.)

Warto dodać, że od 1929 r. do obu szkół można było dojechać tramwajem, dzięki

uruchomieniu linii wzdłuż ul. Okopowej prowadzącej na Powązki.

Do 1938 r. Wola została w przeważającej części zelektryfikowana dzięki funkcjonującej przy ul. Prądzyńskiego podstacji „Wola”. Obejmowała ona swoim zasięgiem Wolę i leżące poza granicami miasta wsie Jelonki, Górcze, Groty i osiedle Boernerowo.

Przy ul. Ludwiki, dzięki wsparciu Fundacji Tanich Mieszkań im. Ludwiki i Hipolita małżeństwa Wawelbergów, w 1929 r. wybudowany został dom dla ubogiej inteligencji, a w jego sąsiedztwie powstało osiedle Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, wyróżniające się nowoczesną architekturą i nietypowym, jak na owe czasy, położeniem w stosunku do ulicy. W 1932 r. sprowadziła się tu z rodziną czteroletnia wówczas Barbara Jankowska-Tobijasiewicz:

Zamieszkaliśmy w budynku przy ul. Ludwiki 6, na parterze, w lokalu nr 78. Obok rozciągały się pola, a tam, gdzie był stadion Sarmata, w XIX w. płynęła jeszcze rzeczka Sadurka.

Tym, czym dziś są nowoczesne apartamentowce, które stanowią jakby enklawy pośród reszty miasta, była wtedy ulica Ludwiki. To były dopiero pierwsze próby poszukiwania nowoczesności. Nie zawsze zresztą szły w dobrą stronę. Tak było na przykład w przypadku układu mieszkań. Jednak ogólny efekt był wspaniały i nieporównywalny z dzisiejszymi osiedlami. Było tak pięknie! Do budynku prowadziły dwa wejścia. Jedno od Ludwiki, zamykane na noc, drugie koło dozorczy. Wokół ławek o niepowtarzalnym kształcie rosły piękne trawniki okolone żywopłotem. Na podwórku była piaskownica i basen dla dzieci ze stale zmienianą wodą, która sięgała mi do brzuszka. Osobno placzyk do gry w piłkę i olbrzymi trawnik z kwiatami, pięknie utrzymany przez dozorcę Przeddzieckiego z żoną. W zimę, na podwórku wylewano ślizgawkę dla dzieci, a w Ogródku Jordanskim dla dorosłych. Lód był pięknie utrzymany przez pracowników Ogrodu. Były światła, była muzyka, był luksus. Moim kłopotem, jako czteroletniej

Uroczystość otwarcia parku im. gen. Sowińskiego na Woli, sierpień 1936 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-U-7383-4



dziewczynki było to, że wokół mieszkało mało dzieci. Na szczęście, właśnie powstawał wspomniany Ogródek Jordanowski, który był ogrodzony i od początku strzeżony.

Wspomniany Ogródek Jordanowski przy ul. Ludwika jest jednym z pięciu wymienionych w przewodniku po Warszawie z 1937 roku.

W sierpniu 1936 r. otwarty został park im. Sowińskiego. Był to pierwszy tak duży publiczny teren zielony na robotniczej Woli. Rok później stanął w nim pomnik generała.

Oczywiście, obraz ówczesnej Woli nie był jednolity. Wielkie fabryki i piętrowe kamienice sąsiadowały z drewnianą, niską zabudową, licznymi warsztatami, komórkami, a nawet polami z kapustą. Nowoczesne, brukowane ulice krzyżowały się z błotnistymi traktami, tramwaje przeciskały się ciasnymi ulicami, by potem wjechać na rozległe, puste

pola. Południowa część Woli pocięta była licznymi bocznkami kolejowymi, którymi dowożono węgiel i półprodukty, a wywożono towar z wolskich fabryk. O warunkach, w jakich mieszkało się na Woli, i o beztróskim dzieciństwie pisze we wspomnieniach Weronika Tajak, urodzona w 1932 roku:

Rodzice moi mieszkali przy ulicy Wolskiej, ojciec był brukarzem, mama zajmowała się domem. Była szczęśliwą matką dwóch córeczek-bliźniaczek. Dom mój wciśnięty był między dwie czteropiętrowe kamienice. Były to dwa drewniaki, które łączyły się ze sobą i opierały bokami o mocne czerwone cegły wysokich czynszówek, jakby szukały w nich oparcia i bezpieczeństwa. Drewniaki ustawione były w czworobok i miały dwa podwórka, zakończeniem drugiego były dwie małe ubikacje z wyciętymi otworami w drzwiach, do których biegało się kilka razy dziennie. Było tam ciemno, toteż zawsze miałam uczucie, że za chwilę wpadnę do środka. Dobrze, że w pobliżu była moja siostra, a niejednokrotnie moja mama. Drewniaki miały parter i poddasze. Parter zajmowały rodziny żydowskie. Był tu sklep kolonialny, obok niego rzeźnik, zegarmistrz i szewc. A na poddaszu w pomieszczeniu z oknem wychodzącym na ulicę Wolską mieszkaliśmy my. Zajmowaliśmy mieszkanie jednoizbowe, które służyło za wszystko: tu była sypialnia, jadalnia, umywalnia i kuchnia. Wodę przynosiło się z ulicy, a brudną wylewało do rynsztoka płynącego przed domem i do ubikacji, tam na końcu drugiego podwórka. W mieszkaniu stały dwa łóżka, była też szafa i komoda — wszystko ustawione pod ścianami. Na środku stał stół i krzesła i reszta rzeczy w pobliżu kuchni. To był duży pokój i było w nim jeszcze miejsce na jeden „mebel”. Zimą na środku stał żeliwny piecyk, w którym buchał wesoły ogień, czerwieniła się długa blaszana rura, w popielniku można było upiec kartofle. Ciepło płynące od piecyka rozchodziło się po całym mieszkaniu, a od rury było widno i nie trzeba było palić lampy naftowej, która stała na stole. W naszym mieszkaniu słońce sięgało tylko do parapetu okna. Na podwórku było go więcej — więc dużo czasu spędzałam tam z siostrą i innymi dziećmi, bawiąc się w komórki do wynajęcia, berka i inne zabawy dziecięce. Przed domem można było rysować klasy i grać w nie. W czasie letniego deszczu biegać boso po dużych kałużach i puszczać okręty z zapalek. Miałam jeszcze jedno ulubione miejsce zabaw. Za naszymi drewniakami ciągnęła się Sadurka, tam były działki i dużo piachu, budowaliśmy wielkie domy i mieszkania, lepiłiśmy babki i placki, a gdy minęło lato i nadchodziła złota jesień, gdy już wszystko, co było zasiane, zostało zebrane przez właścicieli działek, my braliśmy je w nasze władanie. Chłopcy palili ogniska, a dziewczynki znajdowały

marchewkę lub ziemniaki i piekliśmy je w ognisku, patrząc, jak dym rozchodzi się nisko po ziemi, wznosi się coraz wyżej i wyżej ku niebu, przybierając najrozmaitsze kształty. Nad naszą ulicą górowała kopuła kościoła św. Wojciecha, drugi kościół stał przy ulicy Bema, a z drugiej strony Wolskiej między Okopową i Leszkiem był Kercelak. Kercelak to najbardziej znane, największe i oryginalne targowisko Warszawy. Bardzo lubiłam tam chodzić z siostrą i mamą, przepychaliśmy się przez tłumy kupujących, aby dotrzeć do straganów. Tu było wszystko! Ale od krzyków i nawoływań handlarek szumiało mi w głowie. Mama kupowała nam na Kercelaku sukieneczki, obuwie i wiele innych rzeczy — wszystko jednakowe — wiadomo, bliźniaczki. Oprócz Kercelaka każdego roku w naszym kościele św. Wojciecha odbywał się odpust, dla dzieciaków była to wielka frajda. Ileż różnych rzeczy można było kupić i wygrać: gliniane kogutki czy też tańczące baletnice. Do domu wracaliśmy z balonami i pańską skórką. I tak płynęły mi moje szczenięce lata.

Podobne wspomnienia ma Irena Mieszczyńska, która urodziła się i wychowała w kamienicy przy ul. Dworskiej:

Urodziłam się w 1919 r., w domu przy ul. Dworskiej 7 m. 26, na drugim piętrze ogromnej kamienicy o trzech klatkach schodowych. Na naszej ulicy takich domów nie było wiele. Kiedyś stał na tym terenie śliczny dwór Karola Schultza, z ogrodem i lasem.

Po jego śmierci dwór rozparcelowano, budynki przeznaczono na szpital (później był to szpital tzw. żydowski), pola kupił ogrodnik Kubalski, olejarnię rodzina Szelich, a lasy i promenadę oczyszczono i postawiono kilka kamienic. Pozostały tylko nazwy ulic: Dworska i Laskowa. W czasie I wojny wycięto wszystkie drzewa, zostały tylko kawałki ziemi, gdzie rosła trawa, i kilka górów — radość dzieci zimą przy zjeżdżaniu na sankach.

Dom, w którym mieszkaliśmy, był własnością Bobkowskich. Był to duży, narożny, czteropiętrowy dom z balkonami i sklepami. Rodzice nasi sprowadzili się w 1918 r., mieszkaliśmy na drugim piętrze, balkon wychodził na ul. Laskową, ale było z niego także widać ulicę Karolkową, ponieważ nie było żadnych innych domów. Kanalizacji jeszcze nie było, więc ścieki płynęły rynsztokiem. Z początku nawet nie było światła elektrycznego. Zlewy i krany były w korytarzach na każdym piętrze, ubikacja była oczywiście na podwórku.

W kamienicy było 126 mieszkań i ok. 500 mieszkańców.

W piwnicach były też mieszkania, tzw. sutereny. Na strychu z kolei były facjaty, które miały okna we wnękach, zimą było tam bardzo zimno. W ogóle w całym domu było pełno zakamarków. Nad domkiem, w którym mieszkał dozorca, był ogromny strych, ale baliśmy się tam wchodzić ze względu na ogromne szczury.

Mieszkali u nas ludzie różnych zawodów. W suterenie był szewc, do którego nosiłam do reperacji buty. Były praczki, krawcowe, był też sklep spożywczy i rzeźnik.

Podwórko było brukowane i bardzo małe, ale dostarczało wielu rozrywek, szczególnie dzieciom. W niedziele przychodził kataryniarz z papugą lub cyrkowcy, którzy wyczyniali różne akrobacje, z nożami i na potłuczonym szkłe. Czasami przyjeżdżał teatr kukielkowy i wtedy dzieci szalały z radości (pamiętam kukielki żony i męża, którzy się kłócili, potem bili, po czym przychodził policjant i godził małżonków...).

Latem pod bramą sprzedawała lody pani Jadźka Lewicka. Przychodzili także uliczni muzycy i śpiewacy, zrzucaliśmy im z okien pieniądze.

Latem dzieci ze wszystkich domów bawiły się razem, a wieczorem tworzyły wielkie koło i śpiewały, aż się niosło po okolicy.



Ul. Kasprzaka na wysokości ul. Laskowej.
Tutaj stała kamienica, w której mieszkała Irena
Mieszczyńska z rodziną. Fot. Jarek Zuzga

Do dziś istnieje ul. Laskowa, na rogu której stał dom Ireny Mieszczyńskiej. Nazwa tej ulicy jest pamiątką po tzw. „Lasku na Czystem”, który powstał jeszcze za czasów Karola Schultza, i w którym warszawianie chętnie spędzali majówki.

Przy ul. Pańskiej, na skraju ówczesnego Śródmieścia i Woli, swoje szczęśliwe, dziecięce lata przeżyła Leonarda Wiankowska, przez rodziców zwana Lilką. W porównaniu z ul. Dworską i jeszcze bardziej odległą ul. Ludwiki, tu od „zawsze” było miasto:

Rodzice Lilki Wiankowskiej w mieszkaniu przy ul. Pańskiej 116, 1930 r. Fot. z archiwum rodzinnego Leonardy Wiankowskiej



Od urodzenia mieszkałam w kamienicy przy Pańskiej 116. Z rodzicami i moimi dwiema młodszymi siostrami mieszkaliśmy w 30-metrowym pokoju, na pierwszym piętrze, z dwoma oknami. Dom był własnością pana Hermanowskiego, gospodarzem był Stanisław Zwierzyk. Zawsze, gdy gdzieś wyjeżdżaliśmy, to pan Stanisław opiekował się naszym mieszkaniem. W ogóle wtedy nie trzeba było zamykać drzwi na klucz, takie mieliśmy zaufanie do sąsiadów i dozorczy. Zaraz za naszym domem był mur odgradzający tereny bocznic kolejowych, tzw. Syberię. Wzdłuż Towarowej stały wozy konne, czekały na odbiór węgla. Pamiętam, że woźnicowie byli bardzo schludni i zawsze sprzątali po swoich koniach. Przy naszym domu, od strony Okopowej, był przystanek tramwajowy. Na tym przystanku często stały panie handlujące papierosami.

Naprzeciwko naszej kamienicy stał dom pod adresem Pańska 111, mieszkał tam mój kolega, Żyd, o nazwisku Fajfer. Jego ojciec miał w tym domu sodowiarnię. Kolega przynosił mi macę — stawał pod moim oknem i wołał: „Niuńka, przyniosłem ci chlebek”. Wtedy zrzucałam sznurek z okna, on przymocowywał

do niego chleb, a ja wciągałam przesyłkę na pierwsze piętro.

Obok sodowiarni była jatka końska, czyli sprzedaż koniny z takich dużych otwieranych wozów. Jeszcze dalej w stronę Miedzianej, na rogu domu pod numerem 111, była restauracja braci Mazerantów. Z Mirką, siostrzenicą jednego z braci, chodziłam do klasy, ona mnie zawsze zapraszała do restauracji na flaki lub ciastko. W sąsiednim domu, pod numerem 109 był szewc i sklep spożywczy państwa Dębskich. Dalej, za numerem 107, był placik, należał do pana Zajdla, który miał gospodarstwo ogrodnicze na Grochowie. Pod 105 był sklep mięsny pana Stradeckiego. To był bardzo dobry człowiek, ożenił się z Żydówką i poszedł za nią do getta, skąd już nie wrócił. Dalej stały domy 103 i 101 — ten drugi miał właściciela w Szwajcarii, ale pamiętam jego wizyty — był to elegancki pan, w kłapie marynarki nosił znaczek ze swastyką. W następnym domu, pod numerem 99 był sklep z materiałami piśmiennymi pana Wojno.

W mojej kamienicy nie było sklepów, ale obok, pod numerem 114, był spożywczy, a przy 112 dwa: opałowy oraz mydlarnia. Dalej, przy Pańskiej 110 sklep spożywczy mieli państwo Lewandowscy, a obok było kilka małych sklepików z mięsem.

Trudno sobie wyobrazić, jak żywa musiała być przedwojenna ulica Pańska. Podobnie było na wszystkich okolicznych ulicach, wówczas śródmiejskich, a dziś leżących na terenie Woli: Prostej, Wroniej, Miedzianej, Waliców, Łuckiej, Żelaznej, Chłodnej...

Przy ul. Waliców, w domu, który szczęśliwie stoi do dziś, mieszkał Zbigniew Chodnikiewicz. Jego dziecięce wspomnienia spisała córka Aldona Szpejn:

Przed wojną, aż do marca 1939 r., w kamienicy pod „10”, na pierwszym piętrze od frontu, mieszkał mój ojciec, syn wysokiego urzędnika warszawskiego Ratusza. Obok, w drugim mieszkaniu na piętrze, mieszkali państwo Hoffmanowie. Dom jeszcze stoi, zdewastowany, z poobtłukiwanymi sztukateriami i częściowo kamiennymi okładzinami ścian.

Była to wielka kamienica z oficynami, z klatkami schodowymi wykładanymi marmurem „dla państwa” i wąskimi, mało reprezentacyjnymi schodami służbowymi. Poza tym — miała windę! Budynek miał ciekawą konstrukcję, bo wchodząc do kuchennej klatki schodowej, można było dostać się na ostatnie piętro i poprzez wąski korytarzyk obok strychu przejść do sąsiedniej klatki w oficynie, gdzie mieszkali koledzy, między innymi synowie państwa Wierzbickich. Często wykorzystywano tę możliwość, zwłaszcza podczas zabawy w chowanego, ku niezadowoleniu dozorczy domu.

Przy Waliców 10, jak w większości tych śródmiejskich kamienic, mieszkali różni ludzie — Polacy i Żydzi, Niemcy, bogatsi i biedniejsi, inteligencja, przedstawiciele wolnych zawodów, urzędnicy i wyżsi rangą robotnicy. Podczas świąt chrześcijańskich chodzono do kościoła św. Karola Boromeusza na Chłodnej, albo dalej, na Krakowskie Przedmieście, zwłaszcza do kościoła św. Krzyża i do ewangelickiego zboru na Placu Małachowskiego. A podczas Święta Kuczek na podwórku domu mieszkańcy wyznania mojżeszowego stawiali symboliczne szałas z gałęzi i trzciny i nikogo to nie dziwiło.

A potem dzieciaki wspólnie bawiły się na podwórku w chowanego, grały w klipę albo zośkę, lub szły niedaleko, na róg ulicy Prostej, bo tam, przed szkołą handlową Zgromadzenia Kupców, był położony kawałek asfaltu, więc można było pograć w piłkę, pojeździć na wrotkach albo hulałnodze, albo wręcz „powalczyć” z uczniami „handlówki”, bo animozje między chłopakami były od zarania istnienia szkoły.

Kiedy zaś miało się choć odrobinę grosza, zaoszczędzonego na tramwaju w drodze do szkoły, a ojciec chodził do Reja przy Królewskiej, można było wpaść do sklepu pana Podgórskiego na rogu Waliców i Ceglanej, by kupić cukierki lub oranżadę. Z synem państwa Podgórskich, Jankiem, mój ojciec się przyjaźnił. Mieli oni jeszcze córkę Danusię, która po wojnie skończyła farmację i pracowała w aptece przy Mariańskiej. Tuż przed samą wojną ojciec odkrył nowy gatunek sztuki — film. Nie chodził do drogiego kina Kometa przy Chłodnej, ale do znacznie tańszego kina Czary lub jeszcze dalej, na Żelazną.

Wszyscy, którzy wspominają okolice ulic Grzybowskiej, Waliców, Krochmalnej, Ciepłej, przywołują specyficzny zapach, który unosił się nad tym kwartałem ulic. Był to zapach słodu, ziarna fermentującego w słynnych browarach Haberbuscha i Schielego. Jednakże mój ojciec, chyba z racji wieku, piwa nie polubił, zaś zawsze wspominał inny zapach, towarzyszący mu w drodze do szkoły (oszczędzał na rower!), zapach świeżo palonej kawy, z palarni kawy Pluton, która mieściła się przy ulicy Grzybowskiej.

Gęsta, miejska zabudowa, charakterystyczna dla tej części miasta, ustępowała, gdy dalej szło się od linii ulic Towarowej i Okopowej na zachód. Im bliżej granic dzielnicy, tym bardziej Wola zmieniała się w wielki ogród. We wschodniej części wsi Górcze działały słynne zakłady ogrodnicze rodziny Ulrychów. Przy ul. Mszczonowskiej na Odolanach, w ogrodniczym gospodarstwie mieszkała Zofia Zboralska (z d. Skirzyńska). W barwnych wspomnieniach opisuje ówczesne życie:

Mieszkałam z rodzicami przy ulicy Mszczonowskiej, w trzecim budynku licząc od strony ulicy Gniewkowskiej, po jej parzystej stronie, w całości zabudowanej. Strona nieparzysta stanowiła pole ciągnące się od torów kolejowych, aż do jedynego, za to bardzo rozległego, narożnego domu, ciągnącego się od rogu ulicy Gniewkowskiej do bramy wjazdu na wewnętrzną drogę gospodarstwa. Było to ogrodnictwo stryja Michała.

Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze własnej, niewielkiej kamienicy. Obok, w przyległym domu, pod „osiemnastką”, mieszkała najstarsza siostra mojego ojca, Bronisława, u której lokatorką była ich najmłodsza siostra, Helena. Po przeciwnej stronie ulicy rozciągało się gospodarstwo ogrodnicze należące do najstarszego brata ojca, stryja Michała, u którego z kolei, na rogu budynku, był sklep cioci Antosi, siostry ojca. Ojciec miał jeszcze dwóch braci, Janek mieszkał na Senator-skiej, a Mietek na Redutowej. To ogromne domostwo wujka miało kształt czworoboku i mieściło się pod oficjalnym adresem (tzw. policyjnym) — Gniewkowska 17.



Kamienica przy ul. Waliców 10, w której mieszkał
Zbigniew Chodnikiewicz. Fot. Jarek Zuzga

My, rodzina, wchodziliśmy na teren należący do stryja od strony ulicy Mszczonowskiej, drogą wewnętrzną, oddzielającą budynki od inspektów [wpuszczone w ziemię drewniane skrzynie, przykryte szklanymi oknami, pełniły funkcję podobną do szklarni] ciągnących się aż do orzecha, stojącego na granicy między inspektami i polem dochodzącym do torów kolejowych. Cały ten teren i wszystko, co działo się na nim, najlepiej widoczne było z naszego balkonu. Droga wewnętrzna rozdzielała to gospodarstwo na dwie części, lewą z inspektami i prawą z budynkami.

Za nimi znajdowała się duża przestrzeń pola ciągnącego się aż do państwa Szulców. Właśnie z tego balkonu lubiłam przyglądać się nieustającemu ruchowi wozów i platform wiozących ludzi do pracy na pola, przywożących ich, a także ładowaniu towaru przeznaczonego na Zieleniak [bazar warzywny, po drugiej stronie torów kolejowych, czyli już na Ochocie]. Najbardziej jednak lubiłam wszystko obserwować z wysokości ramion mojego ojca, który często mnie brał na rękę.

Obchodził zabudowania i pole, traktując całość jak swoją ojcowiznę, chociaż gospodarstwo dawno już należało do stryja Michała. Mój ojciec wstawał bardzo wcześnie. Miał to przyzwyczajenie jeszcze z dzieciństwa, kiedy żyli dziadek i babcia. Teraz był na emeryturze, pomimo że wieku emerytalnego nie osiągnął. Rano, kiedy siostry moje — Jadzia i Janka — poszły do szkoły, a czasem jeszcze przed ich wyjściem, bo wcześniej się budziłam i zaraz rozmawiałam, brał mnie na rękę, mówiąc — Chodź pani gadulska — i obchodziliśmy wszystkie cicie, a do cioci Reginy, żony stryja Michała, wchodził, żeby powiedzieć — „Dzień dobry Regince”.

Potem szliśmy już w obchód, przeważnie do stajni, gdzie stało kilka koni. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale bardzo lubiłam ten zapach. Ojciec poklepywał konia i wychodziliśmy. Na podwórzu, jeśli napotkał jakiegoś lokatora, zatrzymywał się. Strona zachodnia podwórka to była tzw. oficyna — zamieszkała przez tych biedniejszych lokatorów. Na środku była ogromna piwnica, do której schodziło się po schodach. Byłam tam raz z dziewczyną wysłaną po śmietanę do obiadu.

Następnie ojciec kierował się drogą wewnętrzną w prawo. Mijaliśmy tę przestrzeń zagonów kwiatnych i warzywnych oraz krzewów bzu i jaśminów, rosnących od drogi aż do osiatkowania na granicy z ulicą Gniewkowską. Tu droga zakręcała i zatrzymywaliśmy się przed szopą przylegającą do szczytu budynku państwa Szulców. Do szopy ojciec wchodził sam. Sprawdzał wszystko okiem i ręką gospodarza. Po oględzinach przeważnie wracaliśmy do miejsca, które rozdzielało inspekta na dwie części.

Był to zagon cztero- lub pięciometrowy, zdobny w kępy bzów i jaśminów na przemian posadzonych w dość dużej odległości od siebie, i dochodził do miejsca, gdzie rósł wysoki rozłożysty orzech. Było to przyjemnie ocienione miejsce, ze stołem i ławkami wokół. Tutaj zwykle przed obiadem siedział stryj i czekał na sprawozdanie ojca. Najprzyjemniejsza część obchodów zaczynała się właśnie na tym „zagonie”.

Po obu stronach tych kęp krzewów biegły ścieżki do komunikacji pieszej, bo droga ta nie była przejezdna dla wozów. Była miejscem składowym dla okien inspektowych i skrzynek przygotowanych do napełnienia towarem. Pomiędzy tymi kępami bzów i jaśminów pracowały kobiety zajmujące się zbiorem warzyw z inspektów, wiązaniem w pęczki, myciem i układaniem w skrzynki. Kobiety, dziewczyny siedziały w cieniu krzewów zgromadzone wokół ogromnych, wkopanych głęboko w ziemię beczek napełnionych wodą i pracowały. Wiązały rzodkiewkę, marchewkę, koper i różne inne nowalijki lub jakieś warzywa. Śmiały się i czasami śpiewały.

Mężczyźni odnosili gotowe skrzynie do drogi wewnętrznej. Tam układano je na platformę. W nocy naładowane warzywami wozy odjeżdżały na Zieleniak, gdzie hurtem sprzedawano tak przygotowany towar i powracano do naładowania następnych partii. Mogło to być tym razem zupełnie co innego, np. kapusta, pomidory czy kalafiori, w zależności od pory roku. Zbiór był duży i różny, bo stryj posiadał pola rozrzucone w kilku miejscach, nie tylko to, tutaj, przy ulicy Mszczonowskiej.

Ojciec, niosąc mnie, a czasem prowadząc za rękę, zaglądał wszędzie jak we własnym gospodarstwie. Żadna usterka nie uszła jego uwadze. Kiedy przechodziliśmy obok pracujących kobiet, zawsze chwilę z nimi rozmawiał.

Czasami była to subtelna uwaga, a czasem dowcip, tak że wybuchały śmiechem. Wtedy, chcąc się przypodobać, zaczynały szybciej pracować. Przy okazji dostawałam od którejś z nich wymytą i otartą w fartuch rzodkiewkę lub marchewkę.

Ojciec, poinformowany przez bandoszki — „Pan dziedzic już na pana czeka, panie gospodarzu”, ruszał w stronę orzecha, pozostawiając za sobą rozradowane kobiety. Chrupałam podaną mi nowalijkę. Mijała nas, idąca w stronę orzecha, panienka — z tacą niesioną pewnie, ale i ostrożnie, bo ścieżka nie była równa. Panienka miała białą przepaskę na głowie i małe białe fartuszek.

Ojciec szedł wolno. Spoglądał w każdy rząd między inspektami, czasem po coś się schylał, mocniej wówczas mnie przytrzymując. W międzyczasie ta ładna i miła dziewczyna powracała i znów słyszałam to samo — „Pan dziedzic na pana czeka, panie gospodarzu”.

Kiedy byliśmy już pod orzechem, stryj Michał nalewał do dwóch filiżanek kawę. Ojciec siadał naprzeciw stryja i zdawał relację z obchodu. Mówił, które okna inspektowe i z jakim warzywem trzeba otwierać i na jaką wysokość, a które należałoby zamknąć lub też nakryć matami na noc.

Innym razem, kiedy przemierzaliśmy z ojcem wte i wewte włości, mówił, że należałoby przejść, niektóre liście ponadłamywać i przykryć zawiązki kalafiorów. Relacjonował wszystko, co zauważył, że wymaga naprawy. Stryj uważnie słuchał i zapamiętywał.



Ul. Mszczonowska, miejsce, gdzie wychowywała się Zofia Zboralska, widoczny fragment przedwojennego bruku, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Wujek, bo tak Go nazywałam, często powtarzał słowo „panie”. Mówił na przykład: „To mówisz, panie, że tam trzeba, panie, posłać ze trzy kobiety, panie?”; „Dobrze, panie, wydam dyspozycje, panie”.

Bardzo podobało mi się to wujkowe „panie”, dużo bardziej niż pana Trojanowskiego „tego”. Podczas kiedy mój ojciec, nazywany „panem gospodarzem”, bo był właścicielem kamienicy, i „pan dziedzic” — właściciel posiadłości ziemskich — rozmawiali pod orzechem, który sadził dziadek, ja biegałam i bawiłam się listkami i patyczkami, uganiając się za każdą mrówką.

Kiedy zabawa nudziła mi się, wchodziłam ojcu na kolana. Dostawałam cukierka i był to znak, że rozmowa została zakończona. Wracaliśmy już do domu. Po drodze ojciec wstępował do cioci, która mówiła do niego „Kazio” albo „pan Kazio”, ale w taki zupełnie inny sposób, niż gdyby zwracała się do obcego — „Niech no Kazio powie, co tam Kazio zauważył”.

Ojciec, nadając oczom specjalny uśmiechnięty wyraz, odpowiadał — „A wie, Reginka, zauważyłem, że Reginka dzisiaj pięknie wygląda i po to właśnie jeszcze raz wstąpiłem”. Ciocia odpowiadała — „Niech Kazio nie opowiada żartów, tylko poważnie”. Ojciec brał jej rękę i całował, mówiąc — „Poważnie to odpowie Michał — «pan dziedzic», a ja już znikam, Reginko”.

W 1939 r. zabudowania tego wspianego gospodarstwa spłonęły. [Za: „Kurier Wolski” 49/350 (11 marca 2010), 50/351 (25 marca 2010)]

Wiele innych gospodarstw, domów i fabryk spłonęło na Woli w 1939 roku. Wybuch wojny przerwał ten nabierający rozpędu rozkwit dzielnicy i bezpowrotnie zniweczył wiele jej osiągnięć. Dla Woli, jak i dla całej Warszawy, zaczął się najtragiczniejszy okres w historii.

Wola pod okupacją
i w powstaniu warszawskim



Fotografia lotnicza płonącej Woli, 1939 r. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 2-8913

Kilka dni po wybuchu II wojny światowej niemieckie wojska, po szybkim marszu przez Polskę, zbliżały się do Warszawy od zachodu i południa. Reduta Wolska z kościołem św. Wawrzyńca po raz kolejny w historii musiała stać się szczytem obronnym, a Wola — dzielnicą, na której skoncentruje się atak wroga. Niemcy byli przekonani, że zdobędą stolicę bez większego wysiłku. Jak się później okazało, byli w błędzie.

Mieszkańcy Warszawy, a przede wszystkim Woli i wsi leżących na zachód od stolicy, wobec perspektywy zbliżania się oddziałów Wehrmachtu, musieli szukać bezpiecznego schronienia. Ci spoza granic miasta próbowali przedostać się na Wolę, z kolei mieszkańcy dzielnicy opuszczali domy przy ul. Górczewskiej i ul. Wolskiej, bo spodziewali się — i słusznie — że tymi ulicami Niemcy będą próbowali przebić się do Śródmieścia. Tymczasem na wysokości fabryki „Dobrolin”, czyli właśnie przy Reducie Wolskiej, stały już barykady zbudowane z przewróconych tramwajów i kamieni.

Był początek września. Mieszkańcy Woli, mając świadomość zbliżającego się zagrożenia, pomagali w kopaniu rowów przeciwczołgowych i budowaniu barykad. Próbowali też, póki się dało, normalnie żyć. Dzieci miały iść do szkoły.

Jerzy Janowski, świadek tamtych dni, dziś przewodnik społeczny w Muzeum Powstania Warszawskiego, wspomina:

Pierwszego września 1939 r. miałem siedem lat. W pokoju stoi już spakowany tornister, w środku kredki od Majewskiego i elementarz Falskiego. Rano po raz pierwszy miałem pójść do szkoły powszechnej przy Bema. Czekałem niecierpliwie na spotkanie z nowymi kolegami, zastanawiałem się, jacy będą profesorowie. Plany i marzenia dziecka wysadził w powietrze wybuch wojny. Dosłownie.

Z rodzicami — Czesławą i Janem Janowskimi — siostrami Irenką i najmłodszą Janinką mieszkaliśmy na krańcu ulicy Wolskiej, po południowej stronie. Od pierwszych dni wojny trwały przygotowania do odparcia niemieckiego ataku. Kopano rowy, z przewróconych tramwajów budowano barykady. Pomagaliśmy podobnie jak wiele innych rodzin. Kilkaset metrów od naszego domu, na Reducie Wolskiej i w okolicach fabryki Dobrolin stacjonował oddział 40. Pułku Piechoty „Dzieci Lwowskich”, dowodzony przez ppor. Zdzisława Kuźmirskiego-Pacaka. Dowódca zasłynął wciągnięciem Niemców w pułapkę przy wykorzystaniu łatwopalnej terpentyny z Dobrolina. Po próbach przedarcia się przez polskie pozycje pozostały zniszczone czołgi i trupy nieprzyjaciela. Niemcy nie są w stanie sforsować polskich umocnień, aż do podpisania kapitulacji miasta.

Chociaż pierwsze bomby spadły na Wolę już 1 września, prawdziwe uderzenie nastąpiło 8 dni później. Niemcy chcieli zdobyć Warszawę z marszu, najpierw zbombardowali miasto, potem do ataku rzucili wozy pancerne. Tuż przed bitwą nasza rodzina uciekła z domu, który nagle znalazł się w środku pola walki. Budynek z dobytkiem został doszczętnie zniszczony. Straciliśmy wszystko.

Jednym z wydarzeń, które mocno napsuły Niemcom krwi, był wspomniany epizod z beczkami terpentyny z fabryki „Dobrolin”. Dowodzący obroną por. Zdzisław Kuźmirski-Pacak, obawiając się, że zgromadzone w fabryce zapasy łatwopalnej cieczy w razie bombardowania spowodują wielki pożar, postanowił wykorzystać je do obrony. Nakazał żołnierzom wytoczenie ich poza linię ulicy Redutowej, a następnie podpalenie. Płonąca barykada zniszczyła ponad 40 niemieckich czołgów i na jakiś czas powstrzymała wejście Niemców na Wolę.



Jerzy Janowski.
Fot. archiwum prywatne

Warszawa broniła się bohatersko niecały miesiąc, dużo dłużej niż zakładali Niemcy. Po kapitulacji, którą złożono na Rakowcu, zaczął się dla warszawian czas okupacji. Życie — na ile to było możliwe — wracało do normy. Zofia Zboralska była wtedy małą dziewczynką, dorastającą w rodzinnym gospodarstwie ogrodniczym przy ul. Mszczonowskiej na Odolanach. Oto jak ona opisuje ówczesną Wolę, przy okazji wspomnień wizyty rodziny spoza Warszawy:

Podczas zimowych ferii świątecznych, ciocia, wujek i Kubek przyjechali do nas, do Warszawy na Wolę, w odwiedziny.

Nie mogłam Kubka wziąć za rękę, (...), pojechać z nim tramwajem i chociaż przez okno pokazać mu miasto. Nie było na to czasu. Jak pokazać Kubkowi przez jedną godzinę to, co najważniejsze, tu u nas? Wszędzie działo się coś ciekawego, ale trzeba się w to wsłuchiwać godzinami. Ja rosłam tu razem z tym hałasem narastającym wokół mnie i bez wyglądania przez okno umiałam rozpoznać w tym całym chaosie głosów, jaki dźwięk skąd pochodzi. Ale Kubek, tak jak każdy tu przybywający, słyszał zwykły zbiorowy hałas. Na odległość rozróżniałam pisk obrotowej piły i wiedziałam, że ten przeraźliwy, ściągający szczęki odgłos pochodzi z tartaku. Stukot młotków prostujących blachę z warsztatów samochodowych pod numerem 24. Odróżniałam świst pary wypuszczanej wąską strugą z parowozu i świst pary wypuszczanej z pieca w Bekobie. Inne i jakże różne te odgłosy dochodziły z niedalekich torów kolejowych. Uderzanie o siebie buforów przetaczanych wagonów, słaby odgłos przekładanych zwrotnic, stukot kół jadących po szynach składów wagonów i całych pociągów, zgrzyty hamowania, piski gwizdków i gwizdy o różnym nasileniu, odgłos trąbek, tuty krótkie i długie, każde z innym poleceniem lub ostrzeżeniem, odgłosy wypuszczanej pary i cała gama różnorodnych nasileń głosowych związanych z przetaczaniem wagonów, pracą przy obsłudze parowozów i ich przygotowaniem do wyjazdu w dalekie rejsy.

Kubek w Chotomowie miał łatwiej. Tam wystarczyło wyjść za stodołę, by dostrzec urok zieleni i zapaść się w tę głęboką ciszę, a na jej tle usłyszeć czyste, piękne głosiki ptaków, każdy inny, i wchłaniać ten zapach leący z pól i od lasu. Można było stanąć z zamkniętymi oczami i wdychać w siebie to świeże, czyste powietrze. U nas na Woli to nie był brzydki zapach, to był zwykły, ohydny smród ze stale dopalających się między torami żarzących węgielków wypadających z przyjeżdżających parowozów i ten wiecznie unoszący się żółto-czarny dymek nad kanałami ze szlaką w parowozowni. Te wyziewy z parowozów i ten mdły zapach węgla — czad — mieszały się z fetorem ubikacji stojących na każdym podwórku i zapachem cebuli i selerów unoszącym się nad polami licznych ogrodników.

Czym więc mogłam mu zaimponować?

Stanęliśmy przy szlabanie szóstego posterunku PKP. Pokazywałam ręką, gdzie jest niewidoczna stąd „górką rozdzielczą”, remiza, czyli parowozownia, lub „depo”. Tłumaczyłam, dlaczego te parowozy jeżdżą tam i z powrotem. Pokazywałam mu kolejarzy przekładających zwrotnice, co powodowało zmianę kierunku, po którym poruszał się parowóz wekslujący, czyli pracujący przy przetaczaniu albo wagonu pojedynczego, albo składu wagonów na inny tor, w celu sformowania całego pociągu już gotowego do odjazdu w wyznaczonym kierunku. Przeważnie całym takim pociągiem kierował już z nastawni dyżurny ruchu, ten w czerwonej czapce. Ręką wskazałam budyneczek, wąski, jednopiętrowy, z okna którego swoje znaki dawał dyżurny ruchu. Był hałas i ogromny stukot, bo przejeżdżały w różne strony, po różnych torach, z pustymi węglarkami, pociągi towarowe. Kubek był przerażony tym nieprzerwanym ruchem na torach i zdezorientowany. Zatykał uszy rękami, bo raził go ten straszliwy hałas. Nie chciał już iść (a może się bał?) przez ten okropnie długi przejazd z 28 torami kolejowymi i kilkoma szlabanami, aż do kamienia, gdzie wyleciała w powietrze „Reduta Ordona”.

Zawracając, natknęliśmy się na gromadę dzieciaków myjących ręce w rynsztoku w tym miejscu, gdzie wylatywała woda z „Polskiego Tłenu”. Tam była najczystsza, bo niezabrudzona ściekami z domów. (...)

Dochodziliśmy już do naszej kamienicy i Kubek pociągnął mnie za rękaw.

— Chodź do domu — powiedział, ale w tym momencie wpadłam na pomysł, żeby pokazać mu sztyld fabryki pod „24”, która teraz była warsztatem naprawczym samochodowym. Z radosnym uśmiechem powiedziałam:

— Przeczytaj — i wpatrując się w jego zdumione oczy, sama odczytałam:

— Hrabina Maria De Lavois, „delawo”. (...) Ta fabryka to jej własność.

— Widziałas ją? — zapytał z ciekawością i zaraz dodał:

— Nigdy nie widziałem hrabiny.

— To bardzo bogata i elegancka pani, przychodzi czasami do pani Niuty, tej, co mieszka u nas na pierwszym piętrze. Widziałam ją też, jak przyjeżdżała otwartym samochodem w towarzystwie oficerów niemieckich.

— To Niemka! — powiedział i aż zatrzymał się zaskoczony.

— Wiesz, tata mówi, że ona robi tak dla pucu, bo w tej fabryce jest przechowalnia akowców, gdyż dają dobry auswaj i ich w łapankach nie łapią Niemcy. W biurze pracuje jakiś książę, czy hrabia, Mazaraki i czasami wysyła samochody na wschód, niby do swego majątku. Na pewno ma jakiś cel i powód.

— Twój tata jest w AK?

— Coś ty! On się boi, był 3 miesiące na Pawiaku i go tam bardzo bili, zęby ma powybijane. Mama z trudnością go stamtąd wydostała. Mówił, że można dużo wiedzieć i trzymać język za zębami, a jak trzeba, to ostrzegać. I to też jest służba.

Kiedy weszliśmy do domu, a nie było nas z godzinę, nikt nie zwrócił na nas uwagi. (...)

Nie rozbierając się, przeszliśmy na balkon. Z lewej strony mieliśmy teraz kolej, a z prawej ulicę Gniewkowską. Przed nami niezabudowana strona ulicy i na rogu całe duże pole zastawione ceglami ze spalonego i rozebranego w 1939 roku domu stryja Michała. Hen w dali ogromne cysterny rafinerii firmy „Drago”.

Kubus się ożywił. Stąd kolej widzieliśmy dokładniej, cały skład węgla z wagonikami w ruchu z węglem, a kiedy dojeżdżały na wysokość parowozu, przechylały się, wysypując całą zawartość do tendra i zwracały puste do miejsca nad składem węgla, gdzie pociągano i ładowano je na nowo. I tak w kółko wędrowały. Parowozy pobierały wodę z ogromnej pompy, tzw. „kaczki”, co właśnie mógł Kubek obserwować. Widać było też parowozownię z parowozami w otworach, gdzie oczyszczaly się ze szlaki. Po torach nadal był nieustanny ruch. Wszystko widać było jak na dłoni, i kolej, i zabudowania ogrodników przy ulicy Gniewkowskiej.

Kubek popatrzył i powiedział do rymu:

— Same fabryki i ogrodniki.

— Te, co pokazywałam ci, to są fabryczki. A prawdziwe fabryki to Lilpop i Gerlach. Jeśli chcesz, pokażę ci je, ale widać tylko z dachu.

Przemknęliśmy więc przez pokój do kuchni. Z wieszaka zdjęłam duży, ciężki klucz od góry. Był w domu, to znaczy, że nikt z lokatorów nie miał prania na strychu. Weszłam pierwsza na schodki drabiny umocowanej na stałe i otworzyłam z pomocą Kubka „szyberdach”. Kubek aż zachichotał z radości, cała Warszawa gdzieś daleko widniała przed nami. Tuż pod nami był długi budynek tartaku z bardzo wysokim, dymiącym kominem. Pomiędzy parcelami naszej ulicy a Bekobą, bo tak nazywał się ten tartak, leżał na całej jej długości pas ziemi pana Frejlaka. Ponad Bekobą koniec ulicy Gniewkowskiej łączył się w dali z ulicą Ordona, i tam, za tym drewnianym płotem, rozciągała się aż do Bema fabryka Lilpopa. To była fabryka wagonów, amunicji i armat, tak ludzie mówili.

Wyciągnęłam rękę i pokazując na rogu Ordona i Gniewkowskiej wysoki kilkupiętrowy dom, poinformowałam konspiracyjnie Kubka, że tam w podwórzu jest skład broni i wystarczy jej, jakby co, dla całej Warszawy. (...)



**Ruiny zakładów Polski Tlen. To tu spacerowała mała Zofia Zboralska ze swoim kuzynem Kubą.
Fot. Filip Kwiatkowski**



Tu na dachu to ja byłam zawsze tą słuchającą, dzisiaj ja mogłam informować. Pokazałam orientacyjnie, gdzie jest fabryka Gerlacha, dwie charakterystyczne sylwety budynków gazowni i daleko, daleko górujący nad dachami miasta „drapacz chmur”, a w prawo widoczna była „kreska” Alei Jerozolimskich. Kubkowi aż oczy świeciły się z zadowolenia. Jednak gdy zobaczył sylwetkę samolotu schodzącego gdzieś na Polach Mokotowskich do lądowania, nie posiadał się z radości. Po jakimś czasie nadleciał od naszej strony inny samolot, zrobił ogromne koło i znikł, siadając na niewidocznym stąd lotnisku.

— Gdybym wdrapał się na ten komin od tartaku, to na pewno widziałbym całe lotnisko — powiedział.

Zaczął gestykulować, obie ręce rozprostował, z gardła wydobył głos naśladujący huk motorów, i zataczając koło swoim tułowiem, mocno wychylił się do przodu. Złękałam

się, że spadnie z dachu, przytrzymałam go i ciągnęłam do zejścia. On jednak wpatrzony w niewidoczne lotnisko krzyczał (...):

— Chcę zobaczyć samolot z bliska. Jak tylko wojna się skończy, zostanę lotnikiem i będę latać!

Jeszcze drżąc z przerażenia, tym „lotem” Kubka nad dachem, zamykałam kluczem drzwi. Kubek był nie ten sam, oczy mu płonęły. Dopiero teraz był zadowolony z pobytu na Woli, cieszyłam się i ja.

Po południu wracali. Na kilka dni jechałam razem z nimi. Spóźniliśmy się na pociąg i oczekiwaliśmy na dworcu na następny. Czas się dłużył, chciało nam się pić. Drzwi prowadzące do bufetu były obleżone przez mężczyzn czekających na od czasu do czasu ukazującego się kelnera. Podeszliśmy z Kubkiem do tej grupki mężczyzn. Dwa razy drzwi uchyliły się, kelner przyjął zamówienia i znikł za drzwiami, a my ciągle nie mogliśmy się doczekać. Zrobiło mi się głupio, czułam się tutaj w moim mieście gospodynią, ja fundowałam i nie mogłam wywiązać się z roli gospodyni. (...) Mój ojciec był biednym kamienicznikiem, ale czuł się obywatelem warszawskim. Na pewno nie czekałby pod drzwiami na szklankę wody, bo to by mu ubliżało. Wzięłam Kubka za rękę i schylając głowę, przeszłam pod łokciami mężczyzn aż pod same drzwi. Nie czekałam na kelnera, nacisnęłam klamkę. Znaleźliśmy się w przestronnej sali dobrze oświetlonej. Z prawej strony była lada bufetowa, a za nią barman, z lewej stoliki przykryte białymi obrusami. W końcu sali przy trzech stolikach siedzieli, głośno szwargoczący, oficerowie niemieccy. Trzy stoliki w różnych punktach sali zajęte były przez żołnierzy. Różnica była w mundurach i zachowaniu. Pierwszy rząd od bufetu był wolny. Zdecydowałam, że usiądziemy przy stoliku znajdującym się najbliżej drzwi. Byłam ładnie ubrana, moje niebieskie paltko, z popielatym kołnierzem futrzanym, fantazyjnie zapiętym pod szyją tworzącym kokardę, stwarzało wrażenie szlachetnego wyglądu. Kelner przyjął zamówienie i nalał lemoniady (...). Zapłaciłam i rozmawialiśmy ze sobą. Wyraziłam swoje zdziwienie, dlaczego tamci stoją i czekają pod drzwiami, podczas gdy tu sala prawie pusta. Wypowiadałam swoją opinię w rozmowie z Kubusiem. Barman przywołanemu kelnerowi coś mówił z widoczną naganą w oczach. Kelner mocno przyglądając się piegowatemu Kubkowi, podszedł do mnie i zapytał:

— Czy panienska jest Niemką?

— Ja? Nie proszę pana.

— A ten kawaler też na pewno nie. Ta restauracja jest tylko dla Niemców, proszę to szybko wypić i wyjść — powiedział.

Głos nie był rozkazem, wyczuwało się lekkie drżenie i strach. Zrobiło mi się nijako, głupio przed Kubkiem. W swoim mieście nie mogłam czuć się swojo. Dopijałam już mniej smakującą lemoniadę...

Niestety, jak się później okaże, los będzie dla Zofii okrutniejszy niż w historii z lemoniadą na dworcu...

W okupacyjnej rzeczywistości próbowali odnaleźć się wolskie szkoły. Odbływały się w nich zajęcia, choć okrojone z niektórych lekcji. Działyły też w szkołach różne organizacje niosące pomoc poszkodowanym w atakach, pogorzelcom, uchodźcom. Niestety, Niemcy chętnie zajmowali budynki szkolne, by urządzać w nich koszary. Henrykowi Okraśińskiemu szkołę przenoszono z tego powodu trzy razy:

Do szkoły podstawowej, do pierwszej klasy zacząłem uczęszczać na ulicę Leszno, między Wronią a Okopową. Z powodu tego, że szkołę zajęły wojska okupacyjne, to nas przeniesiono na Karolkową. Potem na ul. Młynarską, a w końcu (...) do budynku Collegium na rogu Żelaznej i Leszna.

Podobną „wędrówkę” odbyła też Lilka Wiankowska:

Najpierw chodziłam do szkoły Sióstr Urszulanek na Siennej, potem one przeniosły się do Milanówka, więc ja poszłam na Waliców do gimnazjum handlowego. Na dole była tam szkoła dla dzieci, pamiętam, że do klasy chodziło dużo dzieci żydowskich, m.in. moja koleżanka Irena Wajs, wspinała dziewczyna, która zniknęła z dnia na dzień i nie wiem, co się z nią stało. Potem przenieśli nas na ulicę Karolkową, potem na Młynarską do tramwajarzy, w końcu trafiam do szkoły przy Miedzianej 8 i tam zastało mnie powstanie.

A Zofia Zboralska pamięta:

Prawie wszystkie dzieci chodziły do szkoły. Nauka trwała krótko nie tylko ze względu na skrócony program przez wyrzucenie z niego ortografii, gramatyki, historii, ale też dlatego, że duże gmachy szkolne były zajęte przez Niemców i zrobiono z nich koszary. W „Barakach” i w szkole „Grot”, do której uczęszczałam, nauka odbywała się na zmianę. O różnych godzinach wracaliśmy więc do domu.

Przy ul. Okopowej, gdzie działały obok siebie szkoła chrześcijańska i żydowska, nim budynki zostały zajęte przez wojsko niemieckie, funkcjonowało schronisko i punkt pomocy lekarskiej. Wspomina o tym Tadeusz Chojnacki:

We wrześniu 1939 r. p. Smulikowska wraz z komitetami rodzicielskimi obu szkół utworzyła Komitet Obywatelski, który przy pomocy V Okręgu Opieki Społecznej zorganizował w szkole schronisko dla uchodźców i pogorzelców, w którym trzy razy dziennie wydawano posiłki przyrządzane przez kobiety-ochotniczki. Przez to schronisko przeszło 2300 osób zarejestrowanych przez córkę M. Smulikowskiej, Ewę, która również pracowała w zorganizowanym w pokoju lekarskim punkcie opatrunkowym, obsługiwanym z początku przez dwie higienistki szkolne, a po ich odejściu do szpitala, przez bratową Irenę Smulikowską i kobiety przeszkolone na kursach PCK. Udzielano pierwszej pomocy rannym znoszonym z ulicy. Ciężko ranni byli przez mężczyzn odnoszeni do szpitala wolskiego, zaś rodzące kobiety do szpitala św. Zofii przy ul. Żelaznej. Udzielano pomocy chorym, jak np. tym z rozstrojem żołądka po nadmiernej konsumpcji szprotek w oliwie i ogórków konserwowych z rozbitych magazynów palących się w sąsiedztwie fabryk.

Po paru dniach od wybuchu wojny przybyły spod Łodzi czy Bydgoszczy rolnik zapewnił przewóz chorych i rannych furmanką do szpitali na pl. Napoleona czy chleba z pobliskiej piekarni i mięsa z padłych na ulicach koni. Jego zmarła sześciolatnia córeczka



Henryk Okraśiński.
Fot. archiwum prywatne

była jedną z pierwszych pochowanych na prowizorycznym cmentarzyku na dziedzińcu szkoły, z którego wiosną 1940 r. ekshumowano 12 osób. Michał Śledź i Bolesław Korzeniak zapewniali ochronę przeciwpożarową budynku, zrzucając z jego dachu pociski zapalające i gasząc powstałe pożary. (...)

Pod koniec 1939 r. budynek należało przekazać Wehrmachtowi. W związku z tym dzieci chrześcijańskie przeniesiono do okolicznych szkół, zaś żydowskie — do baraków na ul. Gęsiej, gdzie po utworzeniu getta początkowo nawet zorganizowano inspektorat. Kierowniczka szkoły nr 196 została skierowana do szkoły nr 125 przy Górczewskiej 9, zaś kierowniczkę szkoły nr 195 i kierowniczkę przedszkola wysiedlono. W szkolnym budynku pozostali tylko Maria Smulikowska, dozorca i palacz.

Zajęcie budynków przez wojsko poprzedziło spalenie na dziedzińcu zbiorów szkolnych i książek z biblioteki oraz zniszczenie pomocy naukowych. W gmachu zakwaterowała się m.in. generalicja. Z Belwederu zwieziono stylowe meble. Później budynek obsadziło SS, a przy wjeździe od Okopowej zbudowano bunkier. (Za: „Kurier Wspomnień” — specjalne wydanie „Kuriera Wolskiego”, 23 grudnia 2010 r.)

Dzieci, choć przyszło im dorastać pod okupacją, spędzały czas — jak to dzieci — nie tylko na nauce, ale też na zabawach i „psoceniu”. Wspomina Tadeusz Ciepliński:

Na Działdowskiej przeżyłem lata dziecinne, choć wojenne. Był to okres, w którym mieszały się zabawy dziecięce z grozą okupacji, z łapankami, egzekucjami niewinnych ludzi na ulicach, nocnymi bombardowaniami i innymi emocjami wojennymi. Ale dzieci zawsze korzystają po swojemu ze swego prawa do dzieciństwa, zapominając w trakcie zabaw o całym świecie. Tak też było i z nami. Ale najpierw o obowiązkach. Mieszkając na Działdowskiej, zostałem zapisany do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Kierownikiem tej szkoły był sympatyczny i lubiany pan Lewandowski, który dwoił się i troił, aby wlać do naszych opornych organizmów jakąś wiedzę. Lekcje zaczęliśmy na ul. Bema w pięknym przedwojennym budynku szkolnym. Ale Niemiaszki wypędziły nas z tego budynku i przenieśli do nowych drewnianych baraków przy ul. Wolskiej (...). Zgodnie z planami i zarządzeniami hitlerowców edukacja Polaków miała się kończyć na szkole podstawowej. Ci światli ludzie uznali, że siłę roboczej, na co przeznaczyli Polaków, to wystarczy, a będzie też dla Niemców bezpieczniej, gdy ci robotnicy nie będą znali historii swojego narodu. Jednak jako mali chłopcy nie mieliśmy o tym pojęcia i jak większość „mikołajków” myśleliśmy głównie o zabawach i psotach. W pierwszej klasie przeżyłem pierwszą nieodwzajemnioną miłość. Była w naszej klasie Tereska, piękna, zgrabna, kędzierzawa blondyneczka, w której wszyscy chłopcy się

kochali. Nie ominęło i mnie to uczucie. Chcąc zademonstrować swą gorącą namiętność, ciągnąłem ją na przerwach za te śliczne kędziorki, a będąc dalej od swej ukochanej, strzelałem do niej z małej procy, z którą się nie rozstawałem. Podobnie robili inni zalotnicy. Nie przyniosło to niestety nam żadnego pomyślnego rezultatu. Sami zresztą wtedy nie wiedzieliśmy, jaki jest cel zalotów. Po pomyślnym zdaniu do drugiej klasy dojrzałem do pewnej samodzielności. Wyrażała się ona tym, że większość czasu przeznaczonego na lekcje szkolne spędzaliśmy na wagarach w pobliskim Parku Sowińskiego. Właziliśmy też czasem przez dziurę w płocie do sąsiedniego cmentarza prawosławnego, gdzie zbieraliśmy piękne kasztany. Panował tam zawsze dziwny spokój i niezwykle tajemniczy urok, a w dni upalne miły chłód, a więc było się gdzie schować i odpocząć. Doskonałą naszą rozrywką



Lilka Wiankowska na podwórku kamienicy przy ul. Pańskiej 116, lata okupacji. Za płotem ul. Towarowa. Fot. z archiwum Leonardy Wiankowskiej

było też „czepianie się” tramwajów, czyli wskakiwanie i wyskakiwanie w czasie jazdy tramwaju. Wyższą sprawnością była jazda na tzw. „cycku”, czyli na tylnym zderzaku, lub też na stopniu z drugiej strony wagonu, przy zawsze zamkniętych drzwiach, gdzie czyhały migające słupy trakcyjne. Przy tej zabawie zginął mój kolega, rozbijając sobie głowę o słup. Zawsze skakałem do i z ostatniego pomostu, bo ci, co nie przestrzegali tej zasady, czasem kończyli pod kołami tramwaju. Ale raz rozzuchwalony swą sprawnością, zachciało mi się skoczyć do pierwszego wagonu na ul. Górczewskiej, która była wyłożona tzw. „kocimi łbami”, czyli okrągłymi kamieniami polnymi. Jednak coś mnie tknęło w ostatniej chwili i skoczyłem do ostatniego pomostu. Jednak jak tylko dotknąłem poręczy, rzuciło mnie na bruk i wałęsałem zębami o kamienie, które ukruszyły mi końcówki dwóch górnych zębów przednich, nie licząc odrapanych kolan i rąk. Zorientowałem się, że leżę po prostu na szynach. A więc instynkt mnie uratował, znów mi się poszczęściło. Od tej pory skakałem już tylko do ostatniego pomostu.

Zofia Zboralska wspomina podwórkowe zabawy przy ul. Mszczonowskiej:

W kamienicy mojego ojca, w części przeznaczonej w przyszłości na mieszkanie dla mojej najstarszej siostry, mieszkało kilku lokatorów i było dużo dzieci, najwięcej z całej ulicy. U nas, pod „dwudziestką”, było zawsze gwaro i, jak niektórzy narzekali, „za głośno”. Wszystkie zabawy odbywały się albo przed domem, albo na podwórku. Przed domem wówczas, kiedy graliśmy „w klasy”, rysując komórki na przestrzeni między budynkiem a chodnikiem, a na podwórku wówczas, gdy bawiliśmy się w „berka” lub w „chowanego” albo graliśmy w „dwa ognie”. Czasami swoją ogromną huśtawkę udostępniała nam, dzieciakom, pani Szultz z Gniewkowskiej. To była wielka frajda, ale trudno się było dostać na kolejkę. Bardzo lubiłam się huśtać, a na swojej zawieszanej w drzwiach, już się nie mieściłam. Wszystkie zabawy odbywały się we wspaniałej atmosferze.

Te z pozoru sielskie zajęcia współistniały z wydarzeniami tragicznymi, takimi, których dzieci zrozumieć nie mogły, a które odciskały piętno na całym ich dalszym życiu. W Warszawie trwały przecież aresztowania, łapanie, zdarzały się egzekucje publiczne, panował terror. O jednej z takich historii w emocjonalny sposób pisze pani Zofia:

Pewnego dnia byłam w domu wcześniej niż Teresa. Niecierpliwiłam się, bo chciałam, uprzedzając inne dzieciaki, pochwalić się nowością, którą usłyszałam i którą to już każde dziecko powtarzało sobie z ust do ust. Nie mogąc się doczekać jej powrotu, wyszłam naprzeciw i stanęłam na rogu Gniewkowskiej i Mszczonowskiej. Nie szłam, ale biegłam, gdy ujrzałam ją wychodzącą z ul. Chrzanowskiej. Dobiegając do niej, zaczęłam prawie krzyczeć:

— Teresa! Wiesz, stawiają nam huśtawki! Jeszcze większe niż ta u pani Szultz! To mają być huśtawki dla wszystkich dzieci z ulicy Mszczonowskiej!

— Gdzie stawiają? — pytając popatrzyła na mnie z góry.

Zaczerpnęłam powietrza i zaczęłam wyjaśniać:

— W te dołki, co je wykopywali mężczyźni na polu, naprzeciw „Polskiego Tłenu”, posadzali wysokie słupy, takie jak telegraficzne. Na te słupy położyli poprzeczki, też z belek, a teraz chyba... — i widząc jej zdziwioną minę, zaczęłam słowa cedić przez zęby:

— Na pewno zaczną przymocowywać huśtawki — niepewnie dokończyłam.

— Kto ci to powiedział? — zapytała.

— Jerzyk i Zbyszek! Mówili, że będziemy mieć huśtawki.

— Ależ dziewczyno! I ty wzięłaś to dosłownie, ty im uwierzyłaś? Przecież to nie będą huśtawki, a na pewno szubienice! Tak mówił mój wujek Wincenty!

— Szubienice z belek? — zapytałam — w szubienice gra się na kartce papieru, w kółko i krzyżyk — powiedziałam zdziwiona.

— A co to takiego ta szubienica? — zapytałam zaniepokojona i niezadowolona.

— Nie wiesz? Szubienica to straszna rzecz. Na szubienicy wiesz się ludzi — powiedziała szybko Teresa.

— Jak to wiesz się ludzi? — zapytałam — dlaczego się ich wiesz?

— Ach, głupia, żeby ich zabić w taki okropny sposób, żeby wiseli tak na postrach dla innych. Popatrzyłam na nią przerażona. Moja radość nagle znikła. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem. Nie mogłam tego pojąć, nie mogłam sobie tego wyobrazić, nie mogłam się z tą wiadomością oswoić. Teresa to zauważyła i powiedziała pocieszająco:

— Jak tylko zjem obiad, to ci coś pokażę, przyjdiesz?

— Pewnie, że przyjdę.

Weszłam na pierwsze piętro do siebie, bo już byliśmy w naszym domu, ale gdy tylko na parterze, gdzie mieszkała, zamknęły się drzwi, zesłam cichutko po schodach i usiadłam na najniższym schodku naprzeciw drzwi państwa Lewandowskich, czyli Teresy. Cały czas rozmyślałam o tym, co mi powiedziała i nie dowierzałam jej. Ona na pewno się myli. Czekałam z wielką niecierpliwością. W końcu ukazała się w drzwiach i zawołała mnie do środka. Pachniało kluskami ze słoninką. Wyjęła plik pocztówek i zaczęła mi je pokazywać.

— To są takie zdjęcia — mówiła — ilustracje do tych bajek, które czytałyśmy.

Popatrzyłam na te ilustracje i rzeczywiście odnalazłam Niezabudkę z warkoczem, Żołnierzyka pod mostkiem i różne inne. Gdy ja tak oglądałam, Teresa szybko przekładała pozostałe, szukając jakiejś, aż w końcu tę właściwą, odnalezioną podała mi do obejrzenia.

— Co to jest? Ależ to okropne, czy to też bajkaa? — przeciągnęłam pytająco i z niedowierzaniem.

Pocztówka przedstawiała niesamowitą scenę. Na tle chmur pędzonych wichrem, stała szubienica. Tak samo wysoka jak te, które budowali przy Mszczonowskiej. Na niej wisiało kilku mężczyzn. Teresa nazwała ich wisielcami. O szubienice oparta była drabina, po której schodził chłopak z przerzuconym przez ramię ciałem wisielca. Przed szubenicą było rozpalone ognisko, wokół którego głupi Jaś, jak go nazwała, sadzał trupy, opierając jedno o drugie.

Zaniemówiłam, zrobiło mi się niedobrze i ledwie dochodził do mnie cichy głos Teresy:

— To jest bajka o głupim Jasiu, który chce ocieplić i ożywić wisielców. Tak wygląda szu-bie-ni-ca!

— Nigdy nie słyszałam o takiej bajce i nie chcę jej czytać! Pokaż — prosiłam — inne pocztówki.

I choć oglądałam „Księżniczkę na grochu” i inne piękne ilustracje do bajek, to miałam w oczach tylko szubienice. Rozmowa się urwała.

Pod pretekstem obiadu wyszłam od Teresy. Pobiełam w stronę fabryczki Żyta, przykucnęłam pod parkanem prawie przy transformatorze i przyglądałam się szubienicom. Wreszcie wstałam i powracając do domu, podskakiwałam raz na jednej, raz na drugiej nodze, cicho śpiewając „Kółko krzyżyk, kółko krzyżyk, kółko krzyżyk, powieszony!” Och, co ja śpiewam, głupia gra. Nie będę grała w powieszono. Nigdy!

W mieszkaniu zaskoczyła mnie inna niż zwykle atmosfera. Zupa zimna, bo nie przyszłam, jak mnie wołali i nie było bury. Ojciec stał przy stole i do teczki wkładał koszule i ręcznik, upominając mnie, żebym już nigdzie nie wychodziła. Mówił jakoś nerwowo, jakby się tłumaczył, że idzie do Cyrańskich na Elekcyjną, bo tu mogą aresztować mężczyzn, bo po co to stawiali. Tam jednak jest dalej od tego miejsca. Myślał o szubienicach. Ja już wiedziałem dlaczego i co to oznacza.



„Huśtawka” przy ul. Mszczonowskiej, która okazała się szubenicą, 2011 r. Fot. Jarek Zuzga

Gdy było już późno, wyszedł z domu.

Wyszłam na balkon i rozejrzałam się. Dopiero teraz zauważyłam, że na ulicy nie ma ludzi. Przeciwna strona naszej ulicy była niezabudowana, a na całej przestrzeni uprawnych pól nie było widać żywej duszy.

Jutro miały być imieniny Jadwigi, jak one się odbędą? Na 15 października schodziła się tam cała młodzież z rodziny i bywało wesoło, uroczysto i czasem z tańcami. Nazajutrz było cicho, a kwiaty przysyłano przez gońca od „Lutka”, od „Tadeusza”, od „Dzieciaków” z Ordona. Coś wisiało w powietrzu, ale niezupełnie zdawałam sobie z tego sprawę. Na każdy odgłos dochodzący z ulicy obie siostry biegnęły do okna. Wieczór był bardzo długi i do końca nie doczekałam, zasnęłam. Za to rano pierwsza byłam na nogach i obudziłam łaskotkami Jadwigę. Wcale się nie śmiała. Wskoczyła z łóżka na równe nogi, odsunęła mnie na bok i bez żadnego słowa podbiegła do okna. Krzyknęła i osunęła się na podłogę. Janka, moja druga siostra, pospieszyła jej z pomocą, a ja wspierałam się na parapet okna. Tam w lewo, o jakieś 150 metrów od naszego domu, naprzeciw „Polskiego Tłenu”, na uprawnym polu, w odległości piętnastu metrów od ulicy, na dwóch szubienicach wisiało na pętach zaciśniętych na szyi dziesięciu mężczyzn.

Tak samo jak na pocztówce, z tą różnicą, że tam był to okropny pomysł na bajkę, a tutaj okrutna rzeczywistość. W tym miejscu, gdzie na pocztówce było ognisko, stało na warcie dwóch Niemców z karabinami. Ten dzień był cichy, a burzył umysły stale donoszonymi nowymi wiadomościami: że przed powieszeniem krzyczeli „Jeszcze Polska nie zginęła”, „niech żyje Polska”. Nikt jednak tego człowieka, który był świadkiem tego wydarzenia, nie znał. Przekazywano sobie tylko, że „ten” mówił, że „tamten” to słyszał. Naocznego świadka nikt nie znał i nikt nie widział. Najbliżej byli kolejarze na szóstym posterunku PKP, ale w domniemanej godzinie drugiej w nocy na pewno też albo bali się wyglądać, albo było im to zabronione. Wszyscy byli jednak pewni jednego, że to wiszą polityczni z Pawiaka. Po południu zaczęli pomału ukazywać się ludzie z innych ulic i dzielnic, gromadkami, żeby obejrzeć i sprawdzić, czy nie ma wśród pomordowanych kogoś bliskiego czy znajomego. Następnego dnia było jeszcze więcej przybywających, a trzeciego jeszcze więcej. Ludzie szli całą wolną przestrzenią, trotuarem, ulicą, a nawet rowem biegnącym wzdłuż ogrodzenia tej niezamieszkałej strony ulicy.

Ludzie tam mieszkający byli przerażeni, bo obawiali się łapanek i ostrzegali przybywających, ale ten tłum następnego dnia zniknął. Temu wszystkiemu przyglądałam się z balkonu i widziałam te kobiety, które rozpoznawały syna, ojca, męża, brata i słyszałam ich pełne bólu okrzyki. Rozpacz ogromna. Płakali nawet obcy.

Na 1 listopada moje siostry Jadwiga i Janka skradając się nocą pod dawno już puste szubienice, postawiły świece, a na drutach ogrodzenia wywiesiły hasło „Cześć Polakom pomordowanym, cześć Polsce walczącej”. Były też i takie akcenty pamięci, nadjeżdżała dorożka, przed szlabanem zakręcała, a na wysokości szubienicy wysiadła elegancko ubrana kobieta, kładła wiązanek kwiatów i wsiadała z powrotem. Dorożkarz podcinał batem konia i zanim warta na 6 posterunku się zorientowała, dorożka wjeżdżała w Gniewkowską. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, uciekałam od każdego, kto proponował mi zabawę w szubienice. Inne zabawy straciły urok. Huśtawka, którą tak lubiłam, przypominała tych niemych dwóch świadków strasznych wydarzeń — stojące w polu szubienice.

Z Warszawy wyjechałam w 1946 roku. Siostra zabrała mnie do siebie po tragicznej śmierci mojej matki. Warszawę odwiedzałam nieregularnie. W 1983 r. odwiedziłam swoją ciotkę mieszkającą nadal na Mszczonowskiej. Poszliśmy na to miejsce straceń, tyle że było już to między torami, których przybyło aż do numeru 14. Teren wydzielono i ogrodzono. Wchodziło się furtką. Naokoło trawnika wyrosły brzozy, a w głębi stała jedna szubienica. Tę drugą w 1945 r. odrąbano na krokwie dachu pobliskiego domu, odbudowywanego po spaleniu. Tę ocalałą zawdzięczamy przytomności pani Cepuchowej, która krzyczała, biegnąc na przełaj przez pole: to hańba zabierać to drewno na dach! To musi tu zostać i świadczyć o dokonanej zbrodni! Przysłuchiwałam się wówczas tej kłótni i nie byłam tego taka pewna. Nie byłam zadowolona, że ta druga tu zostanie, bo wciąż przypominała ten okropny dzień, a właściwie noc z 15 na 16 października 1942 roku.

Teraz po latach jestem innego zdania (...). [Za: „Kurier Wolski” 61/362 (26 sierpnia 2010), 62/363 (9 września 2010)]

Szubienica przy ul. Mszczonowskiej stoi do dziś.

O zwykłym dziecięcym życiu, choć podszytym wszechobecnym strachem, pisze też w swoich wspomnieniach o ulicy Ludwiki pani Maria Kalina Zalewska:

Dzieciństwo upłynęło mi przy ul. Ludwiki. Po parzystej stronie ulicy, pod numerem 2 i 4 stał Ogródek Jordanowski, prężnie działający do czasów powstania PRL-u. Na spacery przychodziły tam matki z dziećmi. W czasie okupacji pod okiem nauczycieli dzieci uprawiały swoje metrowe działeczki. W Ogrodzie była górka, która wtedy wydawała mi się bardzo wysoka. Jeszcze po powstaniu zjeżdżało się z niej na sankach, były też ślizgawki. Przy Ogródku stała buda dla dozorczy. Wieczorem usłyszeliśmy strzały, a rano z chodnika zapakowano do tej budy młodą kobietę. Na nogach miała buty oficerki, które za okupacji były w modzie. Konspiracja zastrzeliła ją za współpracę z Niemcami. Idąc dalej, przy ul. Ludwiki 5, na rogu stał sklep rzeźniczy rodziny Ciszków. Mieli oni syna i dwie córki: Barbarę i Władkę (jedna jest dziś lekarzem). Kolejny sklep mieścił się pod „ósemką”, w narożnej kamienicy. Nie pamiętam, co w nim było. Na półkolu między numerami 6 i 8 sklep spożywczo-mydlarski mieli państwo Orlańscy. W czasie okupacji na podwórkach przy ul. Ludwiki stały kapliczki. Wieczorami ludzie śpiewali i modlili się przy nich. Czasami w nocy, kiedy ogłaszano alarm, zbiegali do piwnic. Pomimo wojny podwórka były zadbane i ukwiecone. Nasze otaczało ogrodzenie, a po godzinie 22 bramę otwierał dozorca, za co pobierał opłaty. Na Boże Narodzenie dawało się dozorczy prezent: buty dla jego czwórki dzieci, kupione u Baty przy ul. Wolskiej 66. Nieopodal, pod nr 68 była cukiernia Zagoździńskich, gdzie mama kupowała mi ciastka — ósemki drożdżowe.

Wydawałoby się, że w okupacyjnej rzeczywistości nie ma miejsca na czas wolny i rozrywkę. Ale taka jest natura ludzka, że nawet w trudnych warunkach poszukuje normalności — odpoczynku i rozrywki:

W czasie okupacji takim miejscem rozrywkowym na Woli była Wenecja — obiekt na Wolskiej przy Młynarskiej. Chodziłem tam bardzo często, były tam karuzele, teatr „Chochlik”, beczka śmiechu i inne atrakcje. Często korzystałem z karuzeli z innymi chłopcami. Kręciłem pięć razy po kilka minut i potem mogłem się bezpłatnie przejechać. (...) Budowano też w Warszawie betonowe kwadratowe zbiorniki przeciwpożarowe. Jeden z nich był na Okopowej, niedaleko Wolskiej i Kercelaka. Używaliśmy ich w czasie lata jako basenów do pływania. (Henryk Okrański)

O tym samym miejscu mówi we wspomnieniach Gabriel Stypiński, dziś opiekun miejsc pamięci narodowej:

Z chłopakami kręciliśmy się po dzielnicy, czasami zaglądaliśmy do lunaparku Wenecja. Pamiętam, że przy wejściu stał zamontowany na szynach czołg z zabawnym siłomierzem, który miał udowadniać siłę dziecięcą, damską lub męską. Coś mnie podkusiło, ale nie dopchnąłem nawet do dziecięcej. W pobliżu stał wyglancowany słup z faszka bimbru — śmiałek, który zdołał wejść na szczyt, otrzymywał zdobycz. (...) W pierwszych latach okupacji z braćmi ciotecznymi z ul. Długosza i Karolkowej chodziliśmy do kina Italia przy ul. Wolskiej 32, aż do dnia, kiedy w sali kinowej rozpylono środki chemiczne. Mieliśmy szczęście, spóźniliśmy się na seans o tej godzinie i kasjerka nie sprzedawała nam biletów. Kazała iść do domu, „bo zaraz będzie tu gestapo”.

W okupacyjnych warunkach działały też kina, choć głoszone były hasła ich bojkotu — Niemcy wykorzystywali je do szerzenia swojej propagandy:

Ogródek Jordanowski przy ul. Ludwiki, ok. 1942 r. W głębi, w białym kapelusiku, Maria Kalina Zalewska. Fot. Mieczysław Gracjan Kozłowski



Chodziliśmy do kina „Roxy” na ul. Wolskiej, gdzie obejrzałem filmy o Królownie Śnieżce, komedię „Siedem lat nieszczęść”, „Paracelsusa” o największym lekarzu średniowiecznej Europy, jakiś kryminał ze wspaniałym psem owczarkiem niemieckim i kilka innych, których już nie pamiętam. Z zainteresowaniem, ale oczywiście przez odpowiedni „filtr” oglądaliśmy też propagandowe kroniki filmowe, które dostarczały nam jednak dużo wiadomości z frontów na całym świecie. Na zakończenie każdej kroniki pokazywano na ekranie ogromne V i wzniosłym głosem ogłaszano: „Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach!” (Tadeusz Ciepliński)

Miejscem, w którym szukano pociechy i spokoju, były kościoły. Tu na Woli przede wszystkim kościół św. Wojciecha, którego historia miała skrzyżować się z losami mieszkańców przynajmniej jeszcze raz, w tragicznych niestety okolicznościach, oraz kościół św. Wawrzyńca. Świątynię tę wspominają Janina Mańkowska i Jerzy Janowski, rodzeństwo, które wychowało się w samym sercu Woli:

W trudnych latach okupacji kościół św. Wawrzyńca wraz ze swymi duchownymi stanowił dla wiernych Woli autorytet i przeciwwagę dla ekstremalnego życia codziennego. Żyliśmy w skromnych warunkach, a władze niemieckie serwowały Polakom ograniczenia. Sięgając pamięcią do tamtych lat — byliśmy dumni z wyjątkowej historii naszego kościoła, jednak najbardziej ceniliśmy duchownych tej parafii. W szczególności księdza proboszcza Mieczysława Krygiera i rezydenta ks. biskupa Karola Niemirę, który osiadł tu w 1939 r., po zabranii Polsce przez Związek Sowiecki Kresów Wschodnich. Księża ci byli nie tylko duszpasterzami, ale też powiernikami w sprawach życiowych, doradcami w problemach politycznych i konspiracyjnych, z którymi borykała się prawie każda rodzina na Woli. My, dzieci, byliśmy przez tych księży traktowane szczególnie, powiedziałabym nawet hołubione. Odczuwałyśmy to na każdym kroku, odwzajemniając się im przywiązaniem i dziecięcą żarliwością. Kościół był otwarty dla ludzi, a działalność jego była bardzo wyrazista. Parafianie chętnie się w nim gromadzili. W suterenie plebanii działała świetlica pod nadzorem fachowej „świetliczanki”. Dzieci spędzały tu czas na zabawie, mogły też znaleźć pomoc w rozwiązywaniu zadań szkolnych. Dostawały małeńki, ale smaczny podwieczorek (ja i moje rodzeństwo nie korzystaliśmy ze świetlicy, pozostając pod opieką i nadzorem szkolnym mojej mamy). Przy kościele działało też prężne koło „bielanek”, do którego uczęszczałam ze starszą siostrą. Początkowo w czasie procesji sypałam kwiaty, później byłam normalną uczestniczką koła. Jerzy przez okres okupacji był ministrantem. Było to normalne, pozaszkolne życie dziecięce. Nasza trójka, choć w różnym czasie, przystąpiła do komunii oraz bierzmowania w kościele św. Wawrzyńca, a sakramentów tych udzielał nam ks. biskup Niemira. Miło wspominałyśmy też święta Bożego Narodzenia, kiedy gromadziliśmy się przy żłóbku Pana Jezusa w towarzystwie księdza Krygiera, śpiewając jak najpiękniej i jak najgłośniejsze kolędy. Na zakończenie zawsze częstowano nas cukierkami (były to jedyne cukierki w latach okupacji).

Przemysł na Woli funkcjonował, choć często ze zmienionym profilem produkcji (na ogół nastawionym na potrzeby niemieckiej armii) lub pod niemieckim zarządem (wyjątkiem była fabryka Franaszka). W fabryce Philipsa przy ul. Karolkowej produkowano urządzenia radiowe na potrzeby Wehrmachtu. Adam Drzewoski był tam wówczas praktykantem,



Ul. Wolska, w tle neon kina „Roxy”.
Fot. archiwum prywatne Antoniny
Zbyszewskiej-Mildner



Fragmenty oryginalnej elewacji budynków zakładów Philips przy ul. Karolkowej, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

korzystając ze swojej wiedzy i możliwości poruszania się po zakładzie, konstruował odbiornik radiowy na potrzeby polskiego wywiadu:

Jako praktykant u Philipsa posiadałem przepustkę wewnętrzną, zezwalającą mi na poruszanie się po całym zakładzie, poza oddziałem nadajników. W tym czasie pracowałem na kontroli oddziału głównego odbiorników radiowych, gdzie były produkowane odbiorniki specjalne dla łodzi podwodnych, kutrów pościgowych, ale też dla ludności niemieckiej. I między innymi był taki odbiornik bakelitowy o nazwie Volksempfänger DKE. Pracował na jednej lampie i kiedyś przez przypadek, podczas kontroli takiego odbiornika, nastawiłem go na 220 V, ale zapomniałem przełączyć zasilanie ze 110 na 220 V. I o dziwo, działał tak samo dobrze! To podsunęło mi myśl, by wykorzystać tę lampę (VCL11) w taki sposób, żeby mogła pracować na baterię, bez akumulatorów. Chociaż jej napięciem było 90 V, to już od 45 V była czynna. Opracowałem więc odbiornik, którego schemat zachował mi się do dnia dzisiejszego, a który mógł pracować na napięcie stałe, zmienne, 220, 120 i baterie. Ponieważ baterii anodowych, takich specjalnych bloków, raczej nie można było dostać, bo było to zbyt niebezpieczne, z kolegą skonstruowaliśmy odbiornik w prostszy sposób. Ja opracowywałem część elektryczną, radiową, a on mechaniczną i obudowę. Co ciekawe, radia były schowane w skrzyneczkach na nici, i podobnych obudowach niewzbudzających podejrzeń, a do zasilania używaliśmy

płaskich baterii 4,5 V, które były powszechnie produkowane i dostępne. Spinaliśmy je spinaczami tak, że nie było nic widać, że ktoś coś przy tym robił. Nawet banderola na bateriach była niezdjęta. Jak takich baterii spięliśmy 14 czy 15, to wystarczyło do zasilania takiego odbiornika. Zrobiłem jeden prototyp, który został zaakceptowany, a potem wykonaliśmy serię 10 odbiorników, z czego oddaliśmy do dyspozycji 8. Wszystkie pracowały dobrze. (Za: „Kurier Wolski” 25/326, 2 kwietnia 2009)

Trzeba tu dodać, że w działaniach sabotażowych i dywersyjnych brały udział prawie wszystkie wolskie zakłady produkcyjne, poczynawszy od gigantów jak „Lilpop, Rau i Loewenstein”, kończąc na małych warsztatach. Na potrzeby podziemia produkowane były karabiny, pistolety, granaty, fałszowane były pieczętki i dokumenty, sabotowany był transport kolejowy.

Rok po zajęciu Warszawy utworzone zostało getto. Graniczyło ono z ówczesną Wolą wzdłuż ul. Okopowej. Ten okrutny podział zmienił funkcjonowanie dzielnicy i jej mieszkańców. Żydzi, których przesiedlono do getta, zostawili po sobie puste mieszkania, zamknięte sklepy i zakłady usługowe. Ich byli sąsiedzi zdawali sobie sprawę z nieszczęścia i próbowali — w miarę możliwości — nieść im pomoc. Henryk Okraśiński wspomina:

Mury getta były strzeżone przez wojsko łotewskie, ale mimo tego były robione dziury w murze, którymi dzieci żydowskie przechodziły na aryjską stronę, gdzie zaopatrywały się w żywność, głównie warzywa i owoce, po czym wracały, wykorzystując nieuwagę strażników. Ja miałem bardzo dobry kontakt z dziećmi żydowskimi, wspólnie robiliśmy zakupy, a czasami nawet razem spaliliśmy w częściowo zburzonym domu przy ul. Leszno 87.

Moja matka bardzo ubolewała nad losem dzieci żydowskich. Nieraz udzielała im gościny w naszym domu przy Leszno 90. Raz, gdy przrzucała żywność przez mur getta, zauważył to niemiecki żandarm, podszedł i kilka razy uderzył ją w twarz. Pamiętam, że kilka miesięcy mieszkał też u nas znajomy mojego ojczyma z czasów przedwojennych, na nazwisko miał Warszawski. Wiem, że przeżył wojnę i potem wyjechał do Izraela.

Pewnego dnia spotkała mnie taka przygoda: z zaprzyjaźnionymi dziećmi żydowskimi udałem się do getta, a tam złapali nas Niemcy. Aresztowali nas i zamknęli w jakiejś piwnicy przy ul. Żelaznej, siedzieliśmy tam całą noc. W ramach kary dostaliśmy chłostę — każdy dostał tyle batów, ile miał lat. Ja miałem osiem, ale skłamałem, że mam pięć, bo na tyle wyglądałem. Dostałem pięć batów, trzymał mnie żydowski policjant, a karę wymierzył niemiecki żandarm. Potem wyprowadzili nas do bramy getta i puścili do domu.

Ośmioletni wówczas Tadeusz Ciepliński bardzo przeżył fakt utworzenia getta i losy jego mieszkańców, a zwłaszcza swoich rówieśników:

Pamiętam też z czasów okupacji, jak Niemcy robili getto dla Żydów w Warszawie, gdzie spędzali ogromne tłumy ludzi, przeznaczając ich na zagładę zgodnie z ich rasistowską doktryną.

Patrzyliśmy na to przerażeni, tym bardziej, bo wiedzieliśmy, że z czasem zrobią to samo z Polakami. Jak się później okazało, taki los rzeczywiście planowali zgotować Polakom i innym Słowianom. Mimo drakońskich kar, ludzie rzucali tym wygłodniałym tłumom chleb, cebulę i co kto mógł. Małe, wychudzone, głodne i brudne, a jednocześnie bohaterские dzieciaki żydowskie chcąc uchronić swoich od śmierci głodowej, wykrażały się podkopami pod wysokimi murami otaczającymi getto, mimo grożących im okropnych kar ze strony bezlitosnych strażników. Nocami wyszukiwały po śmietnikach resztki nadające się do jedzenia. Tam też spały, odpoczywając po ciężkich trudach. Wczesnym rankiem pukały do mieszkań, prosząc o cokolwiek. Pamiętam, że pewnego razu zapukały też do nas i gdy otworzyliśmy, stało pod drzwiami dwoje bardzo mizernych, nieprawdopodobnie zabiedzonych dzieci: starsza dziewczynka w wieku około dziesięciu lat i może sześcioletni chłopiec. Powiało od nich okropnym śmietnikowym smrodem. Popatrzyły na nas smutnymi, proszącymi, a jednocześnie bardzo zmęczonymi oczami i wygłosiły następującą melorecytację: „Proszę pań! Jestem bardzo głodny! Jestem bardzo zimny!” Powtarzały to w kółko. Mama natychmiast wcisnęła im w ręce ziemniaki, chleb, cebulę i jakiś tłuszcz. Wszystko to od razu wrzuciły do przepastnych worków, które miały przewieszone przez oba ramiona przy pomocy jakichś sznurków czy pasków, oraz do wielkich kieszeni wszytych w długie poły ubrań. Scena ta wryła się szczególnie w pamięć ośmiolatka, jakim byłem wtedy, gdyż zrobiła na mnie okropne wrażenie. Wiadomo było też, że te dzieci czeka jeszcze bardziej niebezpieczny powrót do getta, gdyż były objuczone nadmiernymi ciężarami. Mama po zamknięciu drzwi nakazała nam zachowanie najgłębszej tajemnicy o tym wydarzeniu, gdyż za udzielanie pomocy Żydom, Niemcy karali śmiercią całe rodziny.

Do getta prowadziły bramy, jedna z tych na Woli znajdowała się przy skrzyżowaniu z ul. Gęsią (obecnie ul. Anielewicza), od strony ul. Okopowej. Henryk Okraśiński jeździł tamtędy tramwajem na Cmentarz Powązkowski:

Była to dość wąska ulica, po lewej stronie mijaliśmy cmentarz żydowski, a po prawej mury getta. Na rogu Gęsiej i Okopowej była brama, przez którą wywożono na wózkach zmarłych z powodu głodu lub chorób zakaźnych. To był straszny widok, nie można go zapomnieć. Matka moja bardzo współczuła tym ludziom. Wśród zmarłych często były dzieci. Te obrazy uwarściły nas na cierpienia i niedolę innych ludzi.

Żydowskie dziecko poszukujące żywności na terenie getta. Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy



Niemcy niechętnie podejmowali się takich robót, jak wywożenie zmarłych za bramę (bali się chorób zakaźnych) czy rozbieranie domów i prace porządkowe na terenie getta. Zwykle wynajmowali do tego Polaków, dla których była to i szansa zarobku, i okazja do utrzymania kontaktów z mieszkańcami getta. Na zamknięty teren Polacy mogli wchodzić wyłącznie w grupach. Te organizowane i zarządzane były przez tzw. majstra, na ogół Polaka. W jednej z takich ekip, przy ul. Okopowej, pracował Witold Ćwirko-Godycki:

(...) Usłyszałem, że przy Gęsiej będzie nowa, lepiej płatna robota. Chodziło o plantowanie terenu u zbiegu Gęsiej i Okopowej, gdzie było gruzowisko po rozbiorce wysokiej zabudowy. Stawiłem się więc przed bramą, ludzi werbował majster o nazwisku Wróbel.

Na budowie obowiązywały prawa majstra Wróbla, nowy pracownik po tygodniu dostawał dniówkę 8 zł, a jeśli w następnym tygodniu majster nie dał mu 10 zł, to musiał grzecznie odejść. Mi dał 10, więc zostałem jego stałym pracownikiem. Majster był prawie analfabetą, ale nadrabiał pracowitością i inteligencją. Otaczali go familianci, którzy nie robili na mnie dobrego wrażenia, tak że wybrałem sobie część do pracy blisko Okopowej w stronę Cmentarza Powązkowskiego, aż do pierwszych zwałów po rozbiorce garbarni. Mój kompan miał nos geciaża [prawdopodobnie jest to skrót od słowa „geszefciarz”, oznaczającego człowieka obrotnego, sprytnego, cwane go, spekulanta]:

— Tu są pod samym parkanem od Okopowej jakieś warsztaty. Coś po nich musiało pozostać.

Ukradkiem odchodził i coś grzebał. Pewnego dnia z tryumfem pokazał — na podłodze warsztatu pod cienką warstwą gruzu leżały płyty cynku, na oko o wymiarach 30 na 50 cm (...). Kolega od razu znalazł kogoś, kto wywoził złom z getta, przyprowadził go i w trójkę zaczęliśmy ładować płyty na wóz. W międzyczasie przyjechał do getta duży transport Żydów, prawdopodobnie z obozu w Czechach. Z tego powodu Niemcy zaczęli nas poganiać (działo się to na początku marca 1940 r.).

Całą scenę załadunku obserwowała grupa familiantów majstra, a to były zwykle zachlane oprychy. Zawołali mnie, wyjaśniłem, że kumpel dopiero pojechał to sprzedać i jak wróci z pieniędzmi, to podzielimy. Tak też się stało, ale przy podziale na tyle osób wyszła każdemu mała kwota.

Następnego dnia przyszlismy i wzięliśmy się normalnie do pracy. Po chwili podszedł do nas jeden z familiantów majstra i bez wstępu zażądał:

— Dawajcie moją dołę!

Kumpel odpowiedział, że przecież dał już wczoraj na wszystkich pięciu. Niestety, oni to przepili przez noc.

— Mnie to nie obchodzi, dawajcie.

Widząc, że mamy do czynienia z pijanym chamem, powiedzieliśmy, że dziś będzie druga tura i tym razem damy mu dwie racje.

— Mnie to nic nie obchodzi, dawajcie natychmiast!

— Ale wiesz, że nie wolno wносить pieniędzy do getta...

— Dawajcie natychmiast albo idę do Niemców — zagroził i pomimo naszych zapewnień odwrócił się i poszedł w stronę posterunku.

Nie wróżyło to nic dobrego, więc ukryliśmy się za zwaliskiem następnego domu. Zrobiło się groźnie, bo po chwili pojawił się sam komendant obozu, prowadząc ze sobą grupę sześciu Żydów, z łopatami i kilofami. Podszedł blisko i jednemu z nich kazał kopać, ale nie w tym miejscu, w którym ukryliśmy resztę płyt. Nic nie znaleźli, więc zaczęli w innym miejscu, aż w końcu trafili na kryjówkę. Struchleliśmy. Żyd zawołał komendanta i coś mu pokazywał. Efekt był nieoczekiwany — komendant wyrwał mu łopatę i zaczął nią z furją bić wszystkich pozostałych, po czym popędził ich z powrotem, a gdy któryś wywrócił się, to pastwił się nad nim.

Był to widok przerażający i odrażający. Siedziałem w bezruchu, obejrzałem się na kumpla — tkwił w bezruchu, przerażony, oczy w słup, usta otwarte... Klepnąłem go mocno w plecy, żeby się ocknął.

— Zaraz przyjdą po nas!

Uspokoilem go:

— To nie na skarb Rzeszy pójdzie, on to zgarnie do własnej kieszeni, inaczej od razu kazałby odkopywać.

Siedzieliśmy tak ukryci cichutko, aż do fajrantu. Wyszliśmy razem z całą grupą, nikt się do nas nie odezwał. Kumpel zapowiedział, że już więcej nie przyjdzie. Powiedziałem mu, że rano już nie będzie na pewno śladu po płytach — i tak rzeczywiście było.

Pan Witold był jednym z tych, którzy nie byli obojętni wobec losu mieszkańców getta i, gdy tylko mógł, starał się nieść im pomoc.

Belg [Żyd] przydzielony do mnie musiał być osobą zamożną i kulturalną. Ja trochę mówiłem po francusku, więc jakoś się pracowało. Skrycie go dokarmiałem, co było jak najsurowiej zakazane. Wśród Żydów z getta miałem dobrą opinię, bo chętnie ze mną rozmawiano, często proszono mnie o lekarstwa, jedzenie.

Dzięki pomocy Polaków wielu Żydów zostało uratowanych. Aleksander Werba, ukrywający się pod nazwiskiem Jan Soboń, dzięki pracy w zakładzie fotograficznym i opiece, którą otoczył go właściciel zakładu Apolinary Niemirowski, przetrwał wojnę. Mieszkał przy ul. Chłodnej, gdy wybuchło powstanie w getcie. Tak wspomina tamte wydarzenia:

Wiosną 1943 r. zaczęło się powstanie w getcie. Niemcy wprowadzili do getta czołgi, a po kilku dniach zaczęli podpalać dom za domem. Powstańcy nie dali za wygraną, butelkami zapalającymi własnej roboty zniszczyli kilka czołgów. Schowani w bunkrach nie wychodzili z podniesionymi rękami. Woleli zginąć pod gruzami, a ci, co znaleźli kryjówki na strychach, woleli skoczyć w dół na pewną śmierć, aniżeli dać się zaprowadzić na Umschlagplatz.

Wiatr przyganiał do nas woń spalenizny. Byliśmy bezradni. (...) W zakładzie [fotograficznym] mówiło się cały czas o powstańcach w getcie, o czołgach spalonych prymitywnymi miotaczami ognia z odległości kilku metrów. O bohaterskich czynach nielicznych powstańców. Na aryjskiej stronie czatowali w pobliżu pokryw żelaznych miejscowi zbrodniarze — a nuż płyta się podniesie? I z podziemia wygramoli się oślepiiony światłem Żyd, którego można będzie natychmiast wydać Niemcom, albo szantażować, torturować, żądać horrendalnych sum, a potem bez skrępowań oddać w ręce żandarmerii. [Za: „Kurier Wolski” 54/355 (20 maja 2010)]

Pomnik w miejscu wjazdu do kanału, którym Marek Edelman wraz z grupą żydowskich powstańców wydostał się z terenu getta, ul. Prosta, 2012 r.
Fot. Jarek Zuzga



Żydzi pod strażą Niemców podczas powstania w getcie warszawskim, 1943 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-348-2

Powstanie w getcie trwało niecały miesiąc i zakończyło się wysadzeniem w powietrze Wielkiej Synagogi na Tłomackiem oraz słynnym oświadczeniem Jürgena Stroopa: „Była żydowska dzielnica mieszkaniowa przestała istnieć”. Nieliczni bojownicy, wśród nich Marek Edelman, zdążyli uciec poza teren getta, wydostając się na powierzchnię włazem przy ul. Prostej.

Już kilka miesięcy później pojawiły się w Warszawie pierwsze pogłoski o zorganizowaniu w stolicy powstania, które w założeniu miało przygotować grunt polityczny wobec nieuchronnie zbliżającej się od wschodu ofensywy

Armii Czerwonej. Dowództwo Armii Krajowej liczyło, że powstanie zwróci uwagę aliantów na sytuację Polski, która w perspektywie sowieckiej inwazji wyglądała nieciekawie. Miał też to być czas zemsty na okupancie niemieckim, zwłaszcza że sytuacja warszawian na przełomie lat 1943 i 1944 znacznie się pogorszyła. Henryk Okraśiński wspomina:

Wiosną 1944 r. zbrodniczy okupanci przy ul. Leszno, w budynku naprzeciwko sądów, za murami getta, powiesili na balkonach 27 Polaków. Ojciec mojego kolegi był woźnym w sądzie i pamiętam, że podczas jednej z wypraw weszliśmy z kolegą do sądu na pierwsze piętro. Stamtąd widziałem powieszonych. To był straszny obraz. Niemcy przez tę zbrodnię chcieli złamać nasz opór.

Życie mieszkańców Warszawy przed wybuchem powstania pogarszało się. Na ulicach było więcej strzelanin, wyroków śmierci. Przez Warszawę wozami przemierzały setki uciekinierów znad Morza Czarnego, nazywaliśmy ich czarnomorcami. Sytuacja żywnościowa pogarszała się, pomimo że mieliśmy kartki na żywność. Zaczęło brakować kartofli, mąki.

A Lilka Wiankowska pamięta egzekucje organizowane nieopodal jej domu przy ul. Łuckiej 16:

Na Towarowej, naprzeciwko Łuckiej, było miejsce straceń, myśmy widzieli to z okien na 4 piętrze. Pamiętam, jak Niemcy jechali Towarową i wszystkich zaganiali do bram i zabraniali wyglądać na ulicę. Potem przyjechały samochody z jeńcami, rozstrzelano ich właśnie na wprost Łuckiej, szybko posprzątano i pojechali.

W ostatnich dniach lipca przeczuwano już, że coś wisi w powietrzu. Teofil Sekuła wspomina:

Wśród ludności krążyły ciche pogłoski o wybuchu powstania w Warszawie. Nikt jednak nie wiedział, kiedy to nastąpi. Wystąpiły dotkliwe braki w zaopatrzeniu w żywność.

Niemcy ewakuowali się z Warszawy, likwidowali swoje urzędy, zabierając co ważniejsze dokumenty, resztę niszczyli ogniem, podpalając zajmowane budynki. Cała dzielnica Wola zaślana była roznoszonymi przez wiatr niedopalonymi papierami.

Decyzję o wybuchu powstania podjęto w końcu lipca 1944 r., głównie dlatego, że sowieckie czołgi stały już na Pradze (choć, jak się później okazało, był to tylko niewielki zwiad, który dość szybko się wycofał), i pomimo płynących z Londynu ostrzeżeń, że alianci mogą nie mieć możliwości skutecznego wsparcia Warszawy. Czasu na mobilizację było mało. Pamiętnego 1 sierpnia o godzinie 17.00 w wolskich punktach zbórnych stawiono się zaledwie 40% powołanych, byli oni w dodatku słabo uzbrojeni. W dzielnicy zaczęło się piekło:

1 sierpnia 1944 r. zaczęło się powstanie warszawskie. Mieszkamy przy ul. Sokołowskiej 26, idąc od kościoła św. Wojciecha, przed ul. Górczewską. Strzały padają częściej, z różnych stron. Tata zarządza — schodzimy do piwnicy, tam mamy przygotowane spanie, jest też piecyk podłączony do komina, są zapasy żywności, wody, warzyw, wszystkiego, co potrzebne do życia. Mam lat 9, siostra 14. Tata wiedział, że będzie powstanie, bo należał do konspiracji, i w domu z nami rozmawiał, że dwa, może trzy tygodnie i Warszawa będzie wolna od Niemców. Nie sądził, że będzie taka tragedia, że dojdzie do zagłady ludzi i miasta. Drugi dzień powstania, coraz więcej strzelaniny, po torach jeździ pociąg pancerny, strzela z wielkiego dział, huk ogromny. Na ul. Gostyńskiej w naszej szkole nr 125 koszarują Niemcy. Kontrolują wszystko dookoła, ponieważ budynek jest wysoki, mają na dachu punkty obserwacyjne i strzelają do wszystkiego, co się rusza. Drugi oddział Niemców jest w pobliżu kościoła, jesteśmy pod obstrzałem. Jest po obiedzie, godziny nie pamiętam, słyszymy walenie do bramy i krzyki Niemców: otwierać! Wpada duży oddział, na podwórzu ustawiają karabin maszynowy na wysokich nóżkach, pozostali żołnierze posiadają automaty, jest też kilku,

może kilkunastu dziwnych z bańkami na plecach, później się dowiedziałem, że były to miotacze ognia. Wypędzają wszystkich z mieszkań i piwnic, nie pozwalają nic zabrać. Mężczyzn ustawiają pod murem w półkołu z rękami na karku, przed karabinem maszynowym. Nas dzieci i matki upychają w bramie. Oficerowie krzyczą, że z dachu strzelano do żołnierzy, gdzie są ci bandyci. Jesteśmy przerażeni, co z nami będzie? Oficerowie o coś się spierają, wreszcie pada rozkaz uciekać, ale tylko do kobiet z dziećmi, jest wielkie zamieszanie. Mama łapie mnie i siostrę za ręce i tłoczemy się do wyjścia. Za bramą mama dostrzega córeczkę sąsiadki, która się zgubiła. Ją też zabiera, jest nas troje dzieci. Uciekamy do Górczewskiej, pod wiaduktem kolejowym leżą zabici, tak z jednej i z drugiej strony, w prawo za wiaduktem jest ulica Zagłoby, tam mieszka nasza babcia, domki stoją puste. Oglądamy się za siebie, z naszego domu bucha ogień, kamienica płonie. Wracamy do ul. Górczewskiej, opłotkami przekradamy się dalej, zabici leżą na chodniku, docieramy do domku ciotki dziewczynki. Znajdujemy jej mamę ze starszą córką, radości jest wiele, lecz długo to nie trwa, na drugi dzień zjawia się oddział wojska. Podobni do tych, co byli na ul. Sokołowskiej, wypędzają nas grożąc karabinami. Tułaczka nasza zmierza w stronę „Ulrycha”, tam znajdujemy schronienie u znajomych. Jest nas czworo dzieci i trzy kobiety, tu dopadają nas znów żołnierze, sytuacja się powtarza, jak poprzednio. (Witold Skrzecz) (Za: „Kurier Powstańczy” — specjalne wydanie „Kuriera Wolskiego”, 29.07.2011)

Cywilni, którzy zostali w dzielnicy, pomagali przy budowie barykad i kopaniu rowów przeciwczołgowych. Teofil Sekuła budował zaporę w poprzek ul. Młynarskiej, przy ul. Górczewskiej:

Wykopaliśmy głęboki rów. Z wyrzuconej ziemi i kamieni utworzył się wał osłaniający rów od strony ostrzału nieprzyjacielskiego, tj. ul. Wolskiej. Załoga barykady składała się z młodych żołnierzy — powstańców wchodzących w skład batalionu „Zośka”. Siłę ognia stanowiły dwa CKM-y, granaty i ręczna broń palna. (...)

Groza pożogi wojennej ogarnęła całą dzielnicę Wola. Niemilknąca strzelanina, walące się domy od bomb lotniczych, łuny pożarów, znaczyły pochód wdzierających się Niemców w głąb miasta. Coraz więcej rannych i zabitych w walce, a jeszcze więcej zamordowanych wśród ludności cywilnej. Wszyscy mężczyźni schwytani przez Niemców byli rozstrzeliwani na miejscu.

Żeby przeciąć drogę wdzierającym się czołgom, na skrzyżowaniu ulic Młynarskiej i Wolskiej utworzyliśmy barykadę z przewróconych wozów tramwajowych. Ciężkie czołgi niemieckie z łatwością pokonały tę przeszkodę.

Następnej nocy przecięliśmy ul. Wolską potężnym rowem. Teraz Niemcy stracili więcej czasu nad pokonaniem tej przeszkody. Poradzili sobie w ten sposób, że liną stalową szepiali dwa czołgi. Gdy jeden utknął w rowie, drugi wyciągał go. Po kilku takich próbach rów został spłycony, burty rozjeżdżone. Teraz pojedyncze czołgi przejeżdżały bez większych trudności. W tym miejscu tylko jeden czołg został zniszczony. Ukryci za filarami narożnego budynku (róg Młynarskiej i Wolskiej), w którym mieściło się kino, trzej młodzi chłopcy obrzucili czołg butelkami z benzyną, a następnie rzucony granat spowodował pożar czołgu. Wyskakująca załoga została skoszona z automatu.

Henryka Okraśińskiego wybuch powstania zaskoczył, gdy wracał od znajomych z ul. Chłodnej na Leszno:

1 sierpnia [moja mama] posłała mnie do naszych znajomych na ul. Chłodną, obok Hal Mirowskich. Miałem pożyczyć graczkę

Ul. Chłodna w czasie powstania warszawskiego.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1720-2



do kopania kartofli. Niestety, nikogo nie zastałem. Było około 17.00. W drodze powrotnej na skrzyżowaniu ulic Chłodnej i Żelaznej usłyszałem nagle strzelaninę. Szybko wpadłem do bramy w budynku przy ul. Żelaznej 74. Myślałem, że strzelanina zaraz się skończy. Ale końca nie było. Nie było też mowy o wyjściu na ul. Żelazną. Nagle na podwórku pojawili się mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami z napisem AK. Byli uzbrojeni w pistolety i karabiny. Mówili, że wybiła godzina 17.00 i zaczęło się powstanie. W domu, gdzie się ukryłem, mieszkali granatowi policjanci [potoczna nazwa funkcjonariuszy polskiej policji pozostającej pod zarządem niemieckim]. Do powstańców odnieśli się z przychylnością, oddali im nawet broń krótką. Walki trwały cały czas. Na rogu Chłodnej 25 i Żelaznej mieściła się kwatera żandarmerii niemieckiej (Nordwacha), która ostrzeliwała Żelazną. Z bramy widziałem, jak płonął samochód ciężarowy stojący przed bunkrem żandarmerii. Powstańcy rzucili tam granat, ale Niemcy stawiali duży opór. Polacy ustawiali w oknach manekiny, aby sprawdzić skąd będzie szedł ogień. Nie mogłem wyjść, więc postanowiłem przenocować w piwnicy. Szczęśliwym trafem spotkałem tam mojego współtowarzysza. Drugiego dnia wyszliśmy przez dziurę wybitą w budynku. Udaliśmy się do drugiej posesji przy ul. Białej, gdzie chłopak użyczył mi gościny u swoich rodziców. Trzeciego dnia znalazłem się na Chłodnej przy Hali Mirowskiej. Okrężną drogą wracałem do domu. Po drodze zatrzymałem się na Chłodnej, gdzie budowałem barykadę. Żandarmerię wzięto do niewoli. Gdy dotarłem do domu przy ul. Leszno 90, radość była wielka. Moja matka bardzo się martwiła, byłem jednakiem. Myślała, że zginąłem podczas walk ulicznych. Z poszewek uszyła biało-czerwoną flagę i z wielką dumą zawiesiła na domu. Przez kolejne dni budowaliśmy barykadę na Lesznie. Miała nas chronić przed atakiem wojsk niemieckich nacierających z zachodu Warszawy. Praca była niebezpieczna, bo ostrzeliwano nas z samolotów niemieckich. Budynek obok nas, na rogu Żelaznej i Leszno (budynek szkoły, gdzie obecnie mieści się Urząd Dzielnicy Wola), był w posiadaniu niemieckich wojsk. Okupanci byli bardzo dobrze uzbrojeni, a dodatkowo dostawali pomoc z niemieckich samolotów.

Wojciech Prośniewski pomagał przy budowie barykady na wysokości ul. Wronej, nieopodal swojego domu przy ul. Chłodnej:

Wszyscy spodziewali się wybuchu powstania, aż nadszedł ten dzień. Pierwszego sierpnia usłyszeliśmy strzały, a w bramie zobaczyliśmy uzbrojonych żołnierzy AK. To powstanie! Na naszym, podobnie jak i na innych warszawskich podwórkach stała kapliczka, przy której odmawiało się podczas okupacji co wieczór modlitwy i litanie. Tym razem, już w dzień, jedni skupili się przy niej, a inni tłoczyli się przy bramie, ciekawi wydarzeń. Z otwartego na pierwszym piętrze okna usłyszałem grany na fortepianie hymn narodowy i wszyscy, jak na komendę zaczęli go po latach odważnie śpiewać. Już drugiego czy trzeciego dnia samorzutnie powstał w naszym domu punkt sanitarny, zorganizowany przez mieszkającego tu lekarza. Przydał się, bo wkrótce „gołębiarze” [niemieccy snajperzy ulokowani na dachach

budynków lub w innych wysoko położonych miejscach] zaczęli polować na co odważniejszych mieszkańców przemyskających Chłodną. Ich ostrzał nie trwał na szczęście zbyt długo, bo nasi wkrótce ich zlikwidowali. Rozpoczęła się też budowa barykady blisko naszego domu, przed Wronej, przy której i ja miałem, proporcjonalny do mego wieku, udział. Za budulec służyło prawie wszystko, nawet wynoszone z domów meble, nie mówiąc już o mocniejszych elementach, jak płyty chodnikowe. Wkrótce walki zaczęły zbliżać się do nas. Niemcy starali się otworzyć wolną drogę z zachodu na wschód, w kierunku Ogrodu Saskiego, placu Piłsudskiego i dalej, na wschód. Jeden z ataków został odparty z naszego balkonu będącego doskonałym punktem strzeleckim. Wysunięty mocno przed elewację budynku dawał dobry wgląd w zachodnią perspektywę ulicy, a mając mocną obudowę, stanowił skuteczną ochronę. W dodatku posiadał ozdoby w postaci okrągłych otworów, stwarzające wymarzone stanowiska do walki. Niestety, wycofujący się „tygrys” wystrzelił w odwecie pocisk, trafiając w mieszkanie piętro niżej, niszcząc salon naszego sąsiada, pana Gniatkowskiego. Jeszcze wtedy nikt nie wiedział, że wkrótce cały dom przestanie istnieć. Gdy szóstego sierpnia rano wpadli do nas AK-owcy z ostrzeżeniem, że się wycofują, żeby natychmiast uciekać, że hitlerowcy są już o parę domów dalej, nie czekaliśmy ani chwili. Zналиśmy już relację tych,



Kamienica przy ul. Żelaznej 74, w której schronił się Henryk Okraśiński w chwili wybuchu powstania, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

którym udało się w porę ująć z życiem z Woli czy Ochoty. Nie było nawet czasu, by zabrać z mieszkania coś cenniejszego (...). Uciekliśmy w tym, co mieliśmy na sobie. Przekopami łączącymi poszczególne domy przedostaliśmy się do Krochmalnej, a dalej już płonąca i bombardowana ulicą Żelazną, pod ogniem pokładowym z pikujących stukasów, uciekaliśmy na Marjańską (...), a dalej na Zielną, do Palladium, by wreszcie w połowie września wylądować na Wilczej (...).

Lilkę Wiankowską i jej rodzinę wybuch powstania zastał w domu dziadków przy ul. Łuckiej 16:

Tata powiedział, że trzy, cztery dni i będzie po wszystkim. 6 sierpnia zaczęli bombardować nasz dom przy Łuckiej, uciekliśmy wtedy w stronę Wroniej, ale tam nie bardzo chcieli nas przyjąć, więc wróciliśmy następnego dnia. Na naszym podwórku leżała wtedy bomba zapalająca. Dom był mocno uszkodzony, część mieszkańców musiała przenieść się do hal Norblina, a my zostaliśmy z babcią w piwnicy. 15 sierpnia staliśmy w bramie, koło 16.00, gdy nagle usłyszeliśmy taki przeraźliwy zgrzyt. Okazało się, że był to pocisk zwany „krową”, który uderzył w oficynę, i zważył ją mniej więcej do pierwszego piętra. Akurat bawiły się tam dzieci, jeden chłopiec zginął na miejscu. Wtedy mama zdecydowała, że tu się nie da już żyć, przenieśliśmy się do piwnicy kamienicy Pańska 96. Właściwie całą drogę z Łuckiej na Pańską przeszliśmy piwnicami, tylko na Prostej trzeba było przebiec pod barykadą. Tam mieszkaliśmy do 9 września.

Kapitan Henryk Przybylski, ps. „Kruk”, wspomina:

W dniu wybuchu powstania odnalazł mnie łącznik podporucznika Jerzego Piszczyka „Jeża”, w którego plutonie byłem w okresie okupacji. Powiadomił mnie, że zbiórka jest o godzinie 16.00 w browarze Haberbuscha. Teren i zabudowania browaru zostały opalone przez powstańców jeszcze przed godziną „W”, dzięki współpracy z pracownikami browaru. Następnym celem było zdobycie Nordwache. Nasi dowódcy usiłowali w pierwszej chwili zaskoczyć stacjonujących tam Niemców, ale wielka przewaga ognia przeciwników uniemożliwiła szturm. Od pierwszych godzin powstania czołgi niemieckie wdzierały się z dzielnicy Ochota ulicami: Towarową, Chłodną, Żelazną do Alej Jerozolimskich, ostrzeliwując ze swoich karabinów i dział domy po obu stronach ulic, powodując znaczne straty. Powstańcy, rozlokowani wzdłuż tych ulic, w większości w oknach domów, utrudniali ruchy czołgów, rzucając granaty i butelki z benzyną. Zadaniem czołgów było początkowo zduszenie w zarodku działań powstańców oraz rozpoznanie liczebności, uzbrojenia i rozlokowania sił polskich. Przez całą noc z 1 na 2 sierpnia oraz w dniu następnym trwały walki z czołgami.

Przez pierwsze dni powstania trwała nierówna walka polskich oddziałów z nieprzyjacielem nacierającym — jak w 1939 r. — głównymi ulicami Woli. Normą były braki w uzbrojeniu. Zgromadzoną w magazynach Ulrycha broń Niemcy przejęli



Widok z okna kamienicy przy ul. Łuckiej 16, w której Lilka Wiankowska i jej rodzina mieszkali w dniu wybuchu powstania. Widoczne drewniane zabudowania należały głównie do dorożkarzy, spalony 6 sierpnia 1944 r.
Fot. z archiwum Leonardy Wiankowskiej



Żołnierze z Batalionu „Czata 49” na Woli wyciągają z zasobników zrzucone miotacze przeciwpancerne „PIAT”. Fot. Wikimedia Commons

jeszcze przed wybuchem powstania. Można było liczyć na zrzuty broni z alianckich samolotów, choć te łączyły się z wielkim ryzykiem — piloci musieli maksymalnie zniżyć pułap, a z ziemi ostrzeliwały ich niemieckie działa przeciwlotnicze:

Trzeciego dnia w nocy przyszła pomoc w postaci zrzutu środków do walki przez samoloty z Zachodu. Skrzynie opadły na ul. Wolską. Fakt ten powitany był gromkim okrzykiem — hurra! Najcenniejszym zrzutem była broń przeciwczołgowa tzw. „Piat”. Za pomocą tego urządzenia można było bezwybuchowo miotać pociski przeciwpancerne. Czołg trafiony takim pociskiem nie pojechał już dalej. Teraz Niemcy byli ostrożniejsi, a dla nas bezpieczniej. (Teofil Sekuła)

Jerzy Kurzela, ps. „Jurek”, żołnierz batalionu Armii Ludowej „Czwartacy”, wraz z kompaniami dostał rozkaz obrony młyna Michlera przy ul. Wolskiej, naprzeciw fabryki Franaszka:

Była to kamienica pięciopiętrowa, położona w głębi podwórza, a od ul. Wolskiej ogrodzona drewnianym parkanem. Jeden z jej narożników wychodził na Wolską, co stwarzało dobre warunki do walki. Przy ul. Wolskiej stały dwie kamienice murowane, które chroniły nas przed bocznym ogniem z czołgów lub ogniem piechoty, zmuszając nieprzyjaciela do ustawienia się naprzeciw nas. Z drugiej strony ulicy kamienice oddalone były jedna od drugiej o około 70-80 m, tworząc pole ostrzału o tej szerokości. Chyłkiem, biegnąc jeden za drugim pod murami domów ul. Młynarską w kierunku Wolskiej, dobiegliśmy do jednej z kamienic, w której były poprzębijane przejścia w piwnicach. Tą drogą dotarliśmy do młyna Michlera. Otrzymaliśmy od „Karlika” [Tadeusza Karlickiego, dowódcy batalionu] polecenie udania się na trzecie piętro i zajęcia pozycji bojowej. Po zabezpieczeniu okien workami z piaskiem i przyszykowaniu pozycji strzeleckich, obserwowaliśmy ul. Wolską i fabrykę Franaszka. (...) Nagle doszedł do naszych uszu warkot motorów. Po kilkunastu minutach ukazały się pierwsze samochody pancerne. Oficerowie lustrowali przez lornetki kamienice przylegające do ul. Wolskiej. Na ten widok krew uderzyła nam do głowy. Chciałoby się plunąć ogniem w te znienawidzone twarze. Po kilku minutach usłyszeliśmy odgłos kroków, a później ujrzeliśmy pochylone postacie, idące z bronią gotową do strzału w kierunku Śródmieścia. Padł rozkaz: „Ognia!” Ze wszystkich stron otworzono do Niemców morderczy ogień, z bliższych pozycji poleciały granaty. Wśród Niemców powstało zamieszanie, jakby włożono kij w mrowisko. Padają pierwsze trupy i ranni. Słychać przekleństwa i rozkazy nakazujące przygotowanie kontrataku. Piechota niemiecka podejmuje próby otworzenia ognia, nie poprawia to jednak ich sytuacji. Niektórzy próbują chować się za młode drzewka, którymi wysadzona jest Wolska, inni usiłują wyważyć bramę fabryki Franaszka. Po półgodzinnym zmaganiu Niemcy wprowadzają do akcji czołgi. Nie posiadaliśmy broni przeciwczołgowej, jedyną nadzieją były butelki zapalające, można było je rzucać jedynie z bliska. Niemcy, jakby to przewidując, trzymali się w odpowiedniej odległości i rozpoczęli skomasowany ogień na nasze pozycje. Pociski rozrywały zewnętrzny mur, a wdzierając się do wnętrza burzyły sufity i klatki schodowe. W pewnym momencie, chcąc zobaczyć, jak są ustawione czołgi, podpełzłem do okna. Trzeba trafić, że w tej chwili jeden z czołgów skierował lufę na nasze piętro. Było za późno na cofnięcie, padłem więc na podłogę przy oknie i w tej sekundzie pocisk rozerwał się poniżej okna, dosłownie po drugiej stronie muru, przy którym leżałem. Całe szczęście, że mur był gruby, poczułem tylko lekkie uderzenie w bok. (...). Ostrzeliwanie naszych pozycji trwało blisko dwie godziny, potem wszystko ucichło. Czekaliśmy, co będzie dalej. Leżąc patrzyliśmy na ocalałą część sufitu,

która przy powtórnych wybuchach mogła runąć. Po kilkunastu minutach czołgi odjechały. Wkrótce otrzymaliśmy rozkaz cichego wycofania się. Schodząc po porozrywanych schodach, wiszących dosłownie na włosku, zobaczyłem kilku zabitych kolegów. [„Kurier Powstańczy” — specjalne wydanie „Kuriera Wolskiego”, 30.07.2009 (za: *O Czwartkach AL*, Warszawa 2003)]

Wspomniana przez Henryka Okraśińskiego „Nordwacha”, czyli niemiecki posterunek w kamienicy na rogu ulic Żelaznej i Chłodnej, była jednym z kluczowych miejsc, które powstańcy dostali polecenie zdobyć. Nie było to łatwe zadanie, gdyż przed posterunkiem, na chodniku od strony ul. Żelaznej 75a, stał betonowy bunker, z którego ostrzeliwano ulicę, z kolei od strony ul. Chłodnej na balkonach urządzono stanowiska strzeleckie. Zdobycie „Nordwache” było o tyle istotne, że leżała ona dokładnie na trasie, którą oddziały niemieckie próbowały przebić się z Woli do Śródmieścia. Henryk Przybylski „Kruk” był w oddziale, któremu powierzono to zadanie:

Zdobycie Nordwache atakiem frontalnym było niemożliwe z uwagi na niemieckie umocnienia i siłę ognia. Kapitan „Sosna” [Gustaw Billewicz] opracował więc plan zaatakowania żandarmerii przez wyłom w ścianie domu przylegającego do Nordwache od strony ul. Żelaznej. Do tego zadania przystąpiło kilkunastu powstańców, którzy przy użyciu młotów kruszyli ściany dzielące budynki na pierwszym piętrze. Przed świtem większa część załogi niemieckiej (około 80 żołnierzy), przewidując zbliżającą się klęskę, opuściła posterunek i pod osłoną świec dymnych i ognia broni maszynowej przedostała się na drugą stronę ulicy Chłodnej do cukierni Sommera, a następnie w kierunku getta do silnego punktu oporu u zbiegu ulic Żelaznej i Leszna. Na posterunku pozostało 20 Niemców, którzy osłaniali ten odwrót. O świcie 3 sierpnia, po wykonaniu wyłomu w ścianie, podporucznik „Jeż” wraz ze mną i grupą żołnierzy zdołał wejść na dach oficyny w podwórzu Nordwache od ulicy Żelaznej.

Początkowo weszło tylko pięciu ludzi, reszta zaś ubezpieczała ewentualny odwrót. Wśród tej piątki byli „Jeż”, Nowakowski, Szpulka i ja. W pomieszczeniu, w którym się znaleźliśmy, były drzwi. Zatrzymaliśmy się przed nimi, nie wiedząc gdzie prowadzą: na korytarz czy do następnego pokoju. „Jeż” polecił Nowakowskiemu otworzyć drzwi, sam oddał w kierunku sąsiedniego pomieszczenia serię z pistoletu maszynowego.

Znaleźliśmy się w kuchni, dalej w lewo był korytarz. W pewnym momencie, otwierając kolejne drzwi wywołałem wybuch granatu-pułapki zawieszonego na klamce. Jak się później okazało, Niemcy rozmieścili granaty w miejscach, gdzie słychać było kucie.

Z piątki powstańców, która weszła jako pierwsza do Nordwache, cało wyszli tylko Poczciaz, który zginął następnego dnia, i ja. Podchorąży Nowakowski stracił oko, podporucznik „Jeż” doznał kontuzji głowy, pozostali mieli lekkie rany.

Pozostali, przy wsparciu ubezpieczenia, zajęli najwyższe piętra budynku żandarmerii, otwierając z broni maszynowej silny ogień w dół klatki schodowej i utrzymując zajęte pozycje. Wybuchy granatów i wzniesiony na dole klatki pożar osłabił ogień przeciwnika.

Rozmieszczeni po przeciwnej stronie ulicy Chłodnej żołnierze z plutonu „Klima” ostrzeliwali pozycje Niemców na balkonach i w oknach budynku żandarmerii. W tym czasie grupa uderzeniowa podporucznika „Jeża” prowadziła walkę w środku gmachu,



Miejsce, w którym stał niemiecki bunker, przed siedzibą „Nordwache”, 2013 r.
Fot. Jarek Zuzga

wypierając Niemców z całego skrzydła i ostrzeliwując ich pozycje w pomieszczeniach frontowych. Od strony ulicy Chłodnej oddziały „Klima” przesunęły się aż do cukierni Sommera, ostrzeliwując budynek od czoła.

Oddziałom tym przerzucano granaty i amunicję za pomocą przeciągniętej przez jezdnię ulicy Chłodnej stalowej liny. Nieliczna załoga niemiecka, okrążona ze wszystkich stron, nie mogła już liczyć na żadną pomoc. Ich czołgi zostały zatrzymane przez nasze barykady. W trakcie walk w dniu 3 sierpnia nastąpił wybuch amunicji lub został wysadzony Zespół Szkół Podstawowych przy Chłodnej 9/11. Szkoły te znajdowały się około 300-400 m od gmachu żandarmerii. W czasie okupacji były zajęte przez Wehrmacht. Wybuch spowodował zawalenie się kilku domów w okolicy — byli zabici i ranni zarówno wśród ludności cywilnej, jak i naszych grup szturmowych.

Niemcy, którzy pozostali w Nordwache, również byli zaskoczeni wybuchem i obawiając się, że wysadzimy ich gmach, postanowili się poddać. Wskoczyli na ulicę bez broni, z podniesionymi rękami, kierując się w stronę getta. Zostali jednak zatrzymani i odprowadzeni do dowództwa batalionu, który mieścił się w browarze Haberbuscha.

Podporucznik „Jeż” wraz ze swoim oddziałem zszedł na dół, a z zewnątrz weszła do środka grupa „Klima” i „Wiernego”, zajmując gmach oraz dzieląc się znaną tam bronią, amunicją i umundurowaniem. Z piwnic budynku wypuszczono kilkudziesięciu cywilów, którzy siedzieli tam aresztowani lub złapani w ostatnich dniach przed wybuchem powstania.

„Nordwacha” została zdobyta 3 sierpnia i był to jeden z nielicznych sukcesów odniesionych przez powstańców na Woli. Do dziś co roku świętowana jest rocznica tego wydarzenia, porównywanego czasem do zdobycia śródmiejskiej PAST-y.

Warto wspomnieć, że przez tych kilka pierwszych dni powstania uległ zmianie stosunek mieszkańców Woli do powstania i samych powstańców. Na początku żołnierze byli serdecznie witani przez cywilów, ale z dnia na dzień te reakcje stawały się chłodniejsze. Coraz więcej domów było spalonych, coraz więcej było ofiar, okupant wykazywał się rosnącym okrucieństwem wobec zwykłych mieszkańców. Skutkowało to tym, że w niektórych miejscach powstańcy byli przeganiani albo wyzywani jako pośredni sprawcy tragedii; łatwo sobie wyobrazić, jak to musiało być dla nich trudne i przykre. Lilka Wiankowska, która z rodziną ukrywała się w piwnicach domu przy ul. Pańskiej 96, wspomina:

Pamiętam, że niektórzy lokatorzy tego domu wyzywali powstańców od bandytów, oskarżali ich o rozpętanie wojny w mieście.

Dwa dni po zdobyciu „Nordwachy” miały miejsce wydarzenia, które przeszły do historii pod nazwą „czarna sobota”. Tego dnia Niemcy rozpoczęli rzeź ludności cywilnej na niewyobrażalną, niespotykaną do tej pory skalę. Okrucieństwa, którego dopuścili się oddziały złożone w dużej części z kryminalistów, wypuszczonych z niemieckich więzień, nie spodziewali się ani mieszkańcy Woli, ani dowództwo powstania. Helena Wojciechowska była wtedy matką dziewczynką, jednego dnia straciła większość swojej rodziny i przyjaciół:

5 sierpnia przyszli po nas rano o 9.00 Niemcy i Własowcy [tak potocznie nazywano żołnierzy pochodzących z wschodniej granicy Polski, będących w służbie niemieckiej]. Powiedzieli: „Natychmiast wychodzić z domu!”. No więc wszyscy, czyli ja, moja siostra, mama i tata, wyszliśmy. Każdy wziął w rękę tobolek, bo zdawało nam się, że gdzieś nas wypędzą z Warszawy. Doprowadzili nas do Elekcyjnej, gdzie był duży plac, z lewej pierwszy wysoki budynek — chyba sprzedawali tam siano, potem były piętrowe komórki i to wszystko się już paliło. Dalej parterowe budynki zataczały takie półkole, dochodząc aż do prawej strony, do dwupiętrowego domu. Niemcy kazali nam się położyć na środku placu, na trawniku pomiędzy tymi budynkami i zaczęli strzelać. Nie stawiali nas pod ścianą, tylko strzelali ruchem koszącym. Kogo zabili, to zabili. Było dużo rannych. Jęki straszliwe. Matki z dziećmi, kobiety



matką (Zofią Bekier) opuszczamy mieszkanie. Na podwórku widzimy dużą grupę ludzi: sąsiadów, kuzynów, nieznajomych. Jak stado owiec jesteśmy pędzeni na ul. Wolską. Pod siatką Parku Sowińskiego widzimy leżące stopy zabitych ludzi. Przerażona tulę Leszka do siebie. Boję się myśleć, co nastąpi dalej. Błagalnie spoglądam na stojącą w pobliżu kapliczkę i krzyż. Nagle z zadumy wyrwa mnie salwa z karabinów maszynowych. Wszyscy padamy na ziemię, na leżące stopy żywych, rannych lub martwych ciał. Leżymy. Jak długo? Trudno powiedzieć. Czas płynie powoli. Słońce grzeje. Złowrogą ciszę przerywają salwy karabinów maszynowych, jęki rannych i pojedyncze strzały. To żołnierze dobijają rannych i tych pozostałych jeszcze przy życiu. Myśli kłębią się w mej głowie. I zwątpienie... Boże! Czy ty istniejesz, czy to wszystko widzisz? (...) Rozważania przerywa cichutki szept Leszka: „Mamusiu, zdrętwiały mi nóżki...”. Poruszył się i zapłakał. O Boże! Słyszę zbliżające się kroki. Wojskowym buciorem otrzymuję kopnięcie w nogę. O jaki ból... I pada strzał. Ciało Leszka bezwładnie osuwa się na mnie. Jeszcze czuję jego oddech... (...).

Nagle coś się dzieje. Strzały cichną. Czyżby Bóg nas wysłuchał? Słyszę polską mowę: „Egzekucja wstrzymana!”. Powoli, z trudem i niepewnością podnosi się garstka niedobitków. Wstaję i ja. Obok mnie postrzelona w biodro moja matka (Zofia Bekier). Błędym wzrokiem błądzę w koło. A moje dzieci? Mój mąż? Szukam kogokolwiek z rodziny. Niestety. Zostałyśmy same. Czy się cieszę, że żyjemy? Nie wiem...

Jeśli można mówić o szczęściu w takim wypadku, to Wacława Gałka i jej matka je miały. Leżąc bez ruchu, udając martwe, ocalały. Niemcy stosunkowo szybko zorientowali się, że takie przypadki często zdarzają się podczas masowych egzekucji, i od pewnego momentu przyprowadzali tresowane psy, które wykrywały żywych w stosach zwłok.

Tadeusz Ciepliński wraz z rodziną w tych dniach ukrywał się w piwnicy rodzinnego domu przy ul. Działdowskiej:

Siedzieliśmy w piwnicy z resztą mieszkańców kamienicy, gdy na zewnątrz trwały najpierw walki, a potem już tylko odbywała się masakra ludności. Jeszcze w trakcie walk, gdy nasza ulica przechodziła z rąk do rąk, na dachu naszej kamienicy, przylegającej do wyższego budynku szpitala z ulicy Płockiej, ulokował się za dużym kominem, mając za plecami ścianę, niemiecki strzelec, tzw. „gołębiarz”, który strzelał do wszystkich przebiegających ulicę. Początkowo nie było wiadomo, skąd padają strzały, ale w końcu powstańcy go dopadli. Po wycofaniu się powstańców z naszej okolicy, Niemcy rozstrzelali systematycznie pozostałych przy życiu mieszkańców naszej i sąsiednich ulic. (...)

Zbrodniarze rozstrzelując pozostałych przy życiu bezbronnych mieszkańców Woli dotarli do naszej kamienicy. Zaczęło się od tego, że żołnierze wrzaskami nakazali nam wychodzić z piwnicy. Wiedzieliśmy, że wszystkich ludzi z sąsiednich domów już rozstrzelali i że nas też to czeka. Ale nie było rady, trzeba było wyjść. Ktoś wpadł na pomysł, żeby mnie wysłać pierwszego jako najmłodszego, to może nie będą od razu strzelać. No więc wyszedłem trzymając w rękach worek z plackami upieczonymi z mąki i wody na płycie pieca, które stanowiły tzw. „żelazny zapas”. Na widok tak groźnej postaci nieustraszeni żołnierze niemieccy wycelowali we mnie karabiny i automaty wrzeszcząc „Hände hoch!”, czyli „ręce do góry”. Nie miałem siły podnieść rąk z tymi cennymi plackami, ale gdy jeszcze groźniej ponowili rozkaz, instynkt samozachowawczy nakazał mi rzucić worek i podnieść ręce do góry. To mnie na razie uratowało.

Ponieważ mnie nie zastrzelili, zaczęli wychodzić następni. Był wśród nas dość młody, ciemnowłosy, bliżej nieznanego mężczyzna, który schronił się w naszej piwnicy. Gdy tylko wyszedł, Niemcy natychmiast go zastrzelili i widziałem oglądając się, że jeszcze się ślaniał podtrzymywany przez innych, ale na jego białej koszuli powiększała się gwałtownie czerwona plama krwi. Umarł po kilku krokach na rękach ludzi, którzy musieli go położyć na chodniku. Tymczasem nas popędzili ul. Działdowską w kierunku ul. Wolskiej i mijając wejścia do klatek schodowych widzieliśmy trupy naszych sąsiadów. Jak nas Niemcy prowadzili pod eskortą ul. Wolską, widzieliśmy też zwały trupów na podwórkach przy tej ulicy. Jak się później dowiedziałem, wprowadzali ludzi na duże podwórza, takie jak przy fabrykach Franaszka czy Gerlacha, i rozstrzelali z karabinów maszynowych, a brygady Polaków rzucały

trupy na zwały sięgające wysokości trzech metrów, po czym polewali je benzyną i palili. Na koniec rozstrzelali także i te brygady. (...) Nas na szczęście popędzili dalej, bo do pustego jeszcze kościoła św. Wojciecha przy ul. Wolskiej.

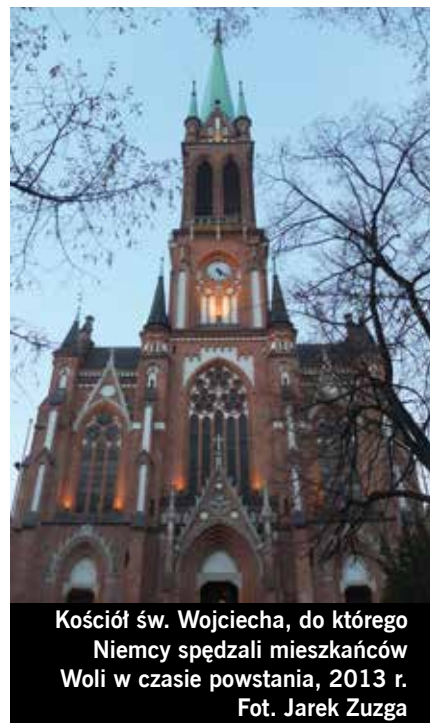
We wspomnianym kościele Niemcy urządzili punkt zborny, gdzie selekcjonowali wolską ludność na zdolnych do pracy, i tych wysyłali na ogół do obozu przejściowego w Pruszkowie, oraz pozostałych, których albo na miejscu rozstrzelali, albo zlecali im jakieś dorywcze prace. Miejsce to stało się dla wielu osób punktem informacyjnym, na ceglanych ścianach świątyni zapisywano, kto kogo szuka, kogo gdzie zestano, tu schodzili się ocaleli z rozstrzeliwań i uciekinierzy z transportów w poszukiwaniu swoich rodzin. Napisy na murach istniały jeszcze długo po wojnie, zostały zniszczone w czasie jednego z remontów kościoła.

Ci przeznaczeni do obozu w Pruszkowie kierowani byli wzdłuż ul. Bema, obok zakładów Lilpopa, do Dworca Zachodniego, skąd wiezono ich pociągami do obozu. Jerzy Janowski mieszkał wtedy przy ul. Sowińskiego 14b; opowiada o tragedii, która wydarzyła się właśnie na tym szlaku:

9 sierpnia 1944 r. Niemcy wyselekcjonowali z kolumny ludzi osoby kalekie, z widocznymi protezami, kobiety ciężarne i małe dzieci, pod pretekstem udzielenia im pomocy w budynku, na którym wywieszone były flagi czerwonego krzyża. Niemcy również mieli na rękawach opaski z tym znakiem. Oddzieleni od reszty sądzili, że otrzymają dodatkową opiekę. Tak jednak nie było. Przez cały dzień upychano tych ludzi w piętrowym, drewnianym budynku, a wieczorem zabito deskami drzwi i okna, i budynek podpalono. To makabryczne wydarzenie odbyło się w ramach wyrafinowanych selekcji, wszak transporty z Warszawy miały zasilać niemiecki przemysł zbrojeniowy ludźmi zdolnymi do pracy. Świadkowie słyszeli krzyki ludzi w palącym się domu, dzieci krzyczały „mamo, mamo!”.

Nie wszyscy zestani do pruszkowskiego obozu docierali tam pociągami, część zestanych musiała iść piechotą. W jednej z takich grup był Tadeusz Ciepliński:

Z kościoła [św. Wojciecha] wyprowadzili nas Niemcy kolumną i zaprowadzili na jakąś dalszą ulicę, wzdłuż niej był długi mur. Ustawiono nas pod tym murem w pojedynczym szeregu i zobaczyliśmy, że wycelowane są w nas lufy karabinów maszynowych na dwóch nóżkach (były to RKM-y, ulubiona przez Niemców broń do mordowania ludzi). Na ten widok, wiedząc, że to już koniec naszego życia, tym bardziej że widać było na ziemi ślady po krwi po poprzedniej egzekucji, posypane dla higieny wapnem, zaczęliśmy się głośno na klęczkach wszyscy modlić. Jednak zanim przygotowani już do strzelania żołnierze niemieccy dostali odpowiedni rozkaz, podjechał na motocyklu czarny na twarzy od kurzu i dymu łącznik, który wykrzyczał dowódcy oddziału jakiś rozkaz i odjechał. W wyniku tego zebrano nas znów w kolumnę i popędzono dalej. Sytuacja powtórzyła się przy następnym



Kościół św. Wojciecha, do którego Niemcy spędzali mieszkańców Woli w czasie powstania, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



Tu stał dom, w którym Niemcy spalili żywcem ok. 70 osób z kolumny prowadzonej na Dworzec Zachodni. Ul. Bema 57a, wówczas nr 54, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



Wypędzanie mieszkańców Woli podczas powstania warszawskiego. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1696

napotkanym murze, przy którym też były ślady sprzątania po kałużach krwi posypane wapnem. (...) Znów nas tu ustawiono pod murem i RKM-y były gotowe do strzelania, a strzelcy leżeli przy nich gotowi do wykonania kolejny raz takiego samego rozkazu. Znów podjechał umorusany motocyklista, znów coś wykrzyczał i pojechał dalej. Wtedy podszedł do nas oficer niemiecki i zaczął rzucać nam kostki cukru. Jaka była nasza reakcja? Niestety w wyniku gwałtownych przeżyć była chorobliwa, a nawet patrząc dziś — śmieszna. Padły głosy, żeby nie jeść, bo mogą być zatrute, inni zaś mówili, że jeżeli dają cukier, to chyba go nie zmarnują. I rzeczywiście popędzili nas dalej. Wszędzie było dużo ciał pomordowanych, a ponieważ było dość gorące lato, wielkie ilości trupów gniły i epidemia groziła samym oprawcom, a więc Niemcy na razie odłożyli unicestwianie Polaków na później. (...)

Po przerwaniu egzekucji Niemcy spędzili wszystkie małe grupy w jedną wielką kolumnę, której nakazano maszerować w nieznane. Szliśmy tak od strony Woli całą noc po obrzeżach Warszawy, w niekończącej się kolumnie, eskortowani przez żołnierzy niemieckich gotowych do strzelania w kierunku uciekinierów. (...) Ponieważ byłem potwornie zmęczony i niewyspany, w momencie zatrzymania natychmiast siadałem na ziemi i zasypiałem, choćby na chwilę. Jeźdźnią bardzo blisko nas przejeżdżały (...) kolumny czołgów i samochodów. Kto był na tyle nieostrożny, że wychylił się z kolumny, mógł być rozjechany przez pędzące pojazdy, (...) na drodze leżały resztki rozjechanych ludzi. (...) Przypuszczam, że kierowcy tych czołgów nie zwracali uwagi na idących w kolumnie ludzi albo specjalnie polowali na wychylających się z kolumny. Noc była dość jasna i oświetlona dodatkowo pożarami. Nad całą Warszawą unosił się jeden wielki ciemny dym. W wielu miejscach podsycały go żółte i czerwone płomienie. Krańcowo zmęczeni ludzie zwracali głowy w kierunku swego palonego miasta. Pamiętam, jak jakiś stary mężczyzna wygrażał pięścią w stronę palącej się Warszawy i wołał, że winni tego poniosą kiedyś karę. (...) Nad ranem doszliśmy do Pruszkowa na stację kolejową. (...) Tam załadowali nas do wagonów towarowych nazywanych bydłecymi i pojechaliśmy jako siła robocza do Niemiec.

Drugim takim miejscem, gdzie Niemcy spędzali wolską ludność, był nieistniejący już dziś Fort Wola, leżący na pograniczu Woli i wsi Jelonki. Było to wygodne miejsce, bo z wałów łatwo było strzec zgromadzonych w dole wygnańców. Ci mieli tam jeszcze gorzej, bo nie było dostępu do wody, a sierpień był wówczas upalny. W to miejsce została zesłana rodzina Zbigniewa Sobczaka:

W czasie powstania warszawskiego mieszkaliśmy z rodzicami i młodszym bratem na Woli przy ul. Młynarskiej 14. W dniu 6 sierpnia 1944 r. około godziny 5-6 rano wpadli do naszego mieszkania hitlerowscy oprawcy i wraz z innymi mieszkańcami tego domu pędzili nas na drugą stronę ulicy (Młynarska 13). Tam zobaczyłem prawie całe podwórze usiane zabitymi ludźmi, którzy leżeli w kałużach krwi ze zmasakrowanymi twarzami, wśród których poznałem kilka osób z naszego domu. Ojciec niósł na rękę mego młodszego brata myśląc, że to go uchroni przed rozstrzelaniem. Hitlerowiec wyrwał ojcu z rąk brata, którego wzięła moja mama, natomiast ojcu kazał iść pod mur budynku, gdzie już stało kilkunastu mężczyzn. Nas popędzono dalej do wyłomu w murze, w kierunku ulicy Staszica. Przed tym przejściem obejrzałem się do tyłu i wówczas zobaczyłem, jak hitlerowiec strzelił do mego ojca w tył głowy. Krzyknąłem do mamusi, że tatusia zabili. Niemcy pędzili nas ulicą Staszica do ulicy Górczewskiej. Na ulicy Górczewskiej przy Staszica był wykopany w poprzek ulicy głęboki rów przeciwczołgowy. Jacyś mężczyźni znosili i wrzucali do tego rowu zabitych ludzi, a nam Niemcy kazali rękoma sypać na nich ziemię. (...) Po krótkim czasie coraz więcej przybywało w to miejsce

ludzi, więc popędzono nas dalej. Ciągłe wraca mi w pamięci widok, jak ustawiono nas w grupie około 100-200 ludzi przed jakimiś garażami, gdzie stał już karabin maszynowy przygotowany do egzekucji. Przed nami chodzili Niemcy z psami. Kobiety klękały i błagały Niemców, aby nas nie zabijali. Działy się tam dantejskie sceny. Po jakimś czasie popędzono nas dalej ulicą Górczewską. Na ulicy widać było zwłoki ludzkie. Największe wrażenie zrobił na mnie widok, gdy zobaczyłem pod wiaduktem kolejowym na wysokości ulicy Sokołowskiej zastrzeloną kobietę, a na jej piersiach prawdopodobnie zastrzelone dziecko. Nikt z pędzonej kolumny nie odważył się wychylić, gdyż natychmiast rzucał się na niego poszczuty pies lub Niemiec strzelał do tej osoby. Za wiaduktem kolejowym na Moczydle znajdował się barak, do którego nas wpędzono. Przed wejściem do baraku Niemcy odbierali pędzonym kobietom biżuterię (pierścionki, obrączki, kolczyki, zegarki). Po krótkim czasie popędzono dalej całą naszą kolumnę. Pamiętam, że pędzono nas drogą, gdzie na poboczach rosły warzywa: marchew, pomidory itp. Pomimo upału, jaki w tym dniu panował i ogromnego pragnienia, nikt z kolumny nie odważył się wychylić, aby wyrwać rosnące warzywo w celu zaspokojenia pragnienia, gdyż zdawał sobie sprawę, że groziło to utratą życia. W ten oto sposób w kolumnie, w której nie było widać początku ani końca, dotarliśmy z mamą i bratem do fortu Wola. Był to ogromny dół porośnięty trawą, o głębokości kilku, a może nawet kilkunastu metrów i bardzo dużej powierzchni. (...) Sądzę, że mogło tam nas przebywać nawet kilka tysięcy osób. Na koronie tego ogromnego dołu chodzili z bronią Niemcy, którzy nas pilnowali. Po południu zauważyliśmy, że na stoku ustawiono beczkę, do której wążem wlewano wodę. Jak już wyżej opisałem, panował tego dnia ogromny upał, pragnienie oraz głód coraz bardziej dawały się we znaki. Ludzie rzucili się w tamtym kierunku. Woda szybko wypełniła beczkę i zaczęła spływać po stoku, robiąc ślizgawkę, po której zjeżdżali ci nieszczęśliwi ludzie, a my razem z nimi. Nie udało nam się zdobyć ani kropli wody, aby zaspokoić choć częściowo pragnienie. Za to Niemcy mieli piękny widok, aby się z nas śmiać. Pod wieczór usłyszeliśmy pogłoskę, że podobno Niemcy wypuszczają kobiety z dziećmi. Mamusia wzięła mnie i brata za ręce i zaczęła przepychać się w stronę miejsca, którym nas wpędzono do tego dołu. Przed wejściem stało kilku Niemców, którzy nie pozwalali nam zbliżyć się do wyjścia. Jednak w jakiś sposób udało nam się wydostać z tego „piekła”. W oddali widać było stojących ludzi, prawdopodobnie mieszkańców Jelonek. Udaliśmy się w ich kierunku. Tam wzięła nas do swojego domu nieznana, dobra kobieta.

Prawdopodobnie w tej samej kolumnie ze Zbigniewem Sobczakiem szedł młody Sławomir Szubko, wygnany z rodziną z mieszkania przy ul. Tyszkiewiczza:

W dniach 6-7 sierpnia Niemcy, przeszukując wszystkie domy, znaleźli w naszym domu nie do końca opróżnione beczki z benzyną. Wówczas mężczyzna dowodzący zarządził przekwaterowanie nas wszystkich do sąsiedniego budynku. Była to willa przy ul. Tyszkiewiczza 11, która stoi tam do dziś. Budynek przy ul. Tyszkiewiczza 7 został zburzony. Niemcy, domyślając się, że wszyscy zasiedleni w tej willi jesteśmy mieszkańcami z ul. Tyszkiewiczza 7, wtargnęli do budynku i bijąc nas kolbami karabinów, wyprowadzili z willi, krzycząc głośno: „Hände hoch! Raus!”. Doprowadzeni zostaliśmy (ok. 150 osób) na ul. Górczewską. Tam miała się odbyć egzekucja. Wyrok wykonać miał jeden z żołnierzy armii sprzymierzonej z Niemcami — Ukraińiec.



Wypędzeni warszawianie na Dworcu Zachodnim, w drodze do obozu w Pruszkowie. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1701-1



Nieistniejąca dziś kamienica przy ul. Tyszkiewicza 7, w której mieszkał Sławomir Szubko z rodziną.
Fot. z archiwum Sławomira Szubki.

Miał on karabin maszynowy i dwie taśmy pocisków zawieszane na ramionach, tak że tworzyły coś w rodzaju skrzyżowanych szelek. Mama, ja i siostra staliśmy w pierwszym szeregu. Ktoś z sąsiadów zasugerował mamie, by wzięła nas na ręce, tak żeby nasze głowy były na tej samej wysokości. Mnie na ręce wziął jakiś mężczyzna, siostrę wzięła mama. Egzekutor bardzo długo zastanawiał się, jakby chciał odwlec wykonanie wyroku, delektując się widokiem przerażonych ludzi. Za jego plecami ul. Górczewską szła w kierunku zachodnim w niekończącej się kolumnie ludność Warszawy. Patrząc w lufę karabinu maszynowego myślałem, kiedy polecą pociski. W pewnym momencie zobaczyłem oficera niemieckiego przechodzącego w pobliżu egzekutora. Niemiec ręką ubraną w rękawiczkę pochylił lufę karabinu do ziemi i coś powiedział po niemiecku do Ukraińca. Padł rozkaz, abyśmy dołączyli do kolumny wypędzonych z Warszawy. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

(...) Niemcy, którzy po obu stronach eskortowali kolumnę, nadawali przez megafony ostrzeżenia w języku polskim, żeby zachować spokój, ład i porządek oraz właściwe tempo marszu, a jeśli ktoś ośmieli się wyjść z kolumny po wodę do przydrożnej studni, będzie rozstrzelany. Niemcy byli słowni — idąc w kierunku Jelonek, widziałem, jak przy każdej studni leżało po kilkanaście ciał zastrzelonych ludzi. Maszerując zastanawiałem się, gdzie jest początek kolumny. Dopiero na łuku drogi zauważyłem, że na początku szły zakonnice, księża, a ranni byli niesieni na noszach. Za nimi szła ludność wypędzona z pałacej się Warszawy. Na dalszym odcinku drogi nie było już studni, ale po prawej stronie drogi zauważyłem ogród-

dek, w którym rosły pomidory. W pewnym momencie jakiś ryzykant wybiegł z kolumny. Chciał narwać pomidorów, schować je za pazuchę i do spodni, aby zaspokoić pragnienie zwilżenia ust dla wielu spragnionych ludzi. Niestety, nie udało mu się. Został zastrzelony w upragnionych pomidorach.

Zbliżał się zmierzch. Przekraczaliśmy strefę izolacji od Warszawy. Przy punkcie kontrolnym były rozstawione trzy krzyżaki, a przez megafon z polecenia Wehrmachtu informowano, co i gdzie należy składać. Pod pierwszym krzyżakiem z lewej strony należało składać cukier, pod drugim pieniądze — monety i banknoty, a pod trzecim krzyżakiem należało składać złoto, srebro i biżuterię. Żołdacy Wehrmachtu byli w tym bardzo dokładni — zaglądali nawet do ust, szukając złotych zębów. Byłem naocznym świadkiem, jak jeden z oprawców wybił kolbą od pistoletu złoty ząb jakiemuś mężczyźnie. Po przekroczeniu tego piekła, zostaliśmy wprowadzeni do wielkich drewnianych hal. Z tego, co pamiętam, były to prawdopodobnie warsztaty remontowe. Przed ułożeniem się do snu zrobiłem obchód całego baraku. W pamięci utkwilo mi, jak ranni, jęczący z bólu powstańcy leżeli na gołym żużlu, jak kobiety na warsztatowych blatach w bólach rodziły dzieci. W hali były tylko dwie latryny. Ludzie bez względu na płeć załatwiali się na oczach wszystkich. W pewnym momencie zrobiłem się znużony. Mama miała jakąś bekieszę i z niej ułożyła na żużlu siostrze i mnie posłanie. Za podgłówek służyły nam szyny kolejowe. Przed zaśnięciem patrzyłem w dach hali i przez dziury w poszyciu widziałem przelatujące pociski w kolorze czerwonym jak marchewki.

Rano zostały otwarte wrota i wszyscy zostaliśmy wprowadzeni do wykopu porośniętego trawą. Była pora śniadaniowa. Każdy, kto miał jakieś jedzenie, dzielił się z innymi. Z lotu ptaka mogło to wyglądać jak wielka biesiada. W pewnej chwili usłyszeliśmy: „Achtung! Zrobić szpaler!” Wszyscy byli tak zajęci konsumpcją, że nie zdążyli wykonać rozkazu. Natychmiast jeden z Niemców dosiadł konia i popędził galopem prosto w zgromadzonych ludzi. Kto zdążył uchylić się w bok, ten szczęśliwie uniknął okaleczenia. Jednak część ludzi została trafiona końskim kopytem.

Około godziny 13 temperatura sięgała 35 stopni Celsjusza. Wszyscy byliśmy ogrodzeni drutami kolczastymi. Mieszkańcy Jelonek donosili z pobliskich domów wodę w wiadrach i nalewali ludziom do wyciągniętych rąk z naczyń. Ja również wyciągnąłem rękę z naczyniem. Niestety, miałem pecha. Nalewający podał moje naczynie komuś innemu, a woda się skończyła i wróciłem do mamy i siostry z niczym. Zbliżała się godzina 14 — pora obiadowa. Przyjechała kuchnia polowa z czterema kotłami zupy dla kilku tysięcy ludzi. Po ciepły posiłek ustawiła się kolejka. W tym czasie pojawiło się wielu Niemców z aparatami fotograficznymi, którzy robili nam zdjęcia dokumentujące, jak armia niemiecka dożywia ludność Warszawy (zgodnie z propagandą Goebbelsa). Teren internowanej ludności strzeżony był z czterech stron — po zewnętrznej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego stali żołnierze Wehrmachtu, trzymając broń gotową do strzału. Wieczorem zostały wyznaczone sektory. „A” dla kobiet w wieku od 16 do 55 lat, „B” dla mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat. Ludzie z obu tych sektorów przeznaczeni byli do wywiezienia na roboty do Niemiec. Sektory z literami „C” i „D” — dla kobiet powyżej 55 lat i mężczyzn powyżej lat 60 przewidziane były do zwolnienia ze względu na brak przydatności do pracy. W sektorze „E” były kobiety z małymi dziećmi. Ludzie z tego sektora mieli wyjść na wolność. Ponieważ mama miała nas dwoje, kobiety bezdzietne proponowały mamie „pożyczenie” jednego dziecka, by oszukać okupanta i wyjść na upragnioną wolność. Mama nie przyjęła żadnej propozycji.

Tuż przed zachodem słońca wrota stanęły otworem. Patrząc mamie w oczy, widziałem jak rozmyśla, w którą stronę ma z nami iść. Wiedząc, że nasz dom na ul. Tyszkiewicza został zburzony, mama podjęła decyzję, żeby przenocować w najbliższym zabudowaniu obok obozowiska. Następnego dnia po skromnym śniadaniu, około godziny 9-10 odbywało się mycie przy studni. Okazało się, że w zabudowaniu nocowało też kilka sąsiadek z ul. Tyszkiewicza. Po przywitaniu z nami zaczęły z mamą rozmawiać, gdzie która idzie. Jedna szła do Grodziska Mazowieckiego, inna do Milanówka. Mama powiedziała, że idzie do rodziców mieszkających w Błoniu. 30 kilometrów od Warszawy. Doszliśmy tam około godziny 19. To był koniec naszej gehenny.

Tymczasem, jak mówił Tadeusz Ciepliński, Warszawa płonęła. Wgnani w kierunku zachodnim widzieli wielką czerwoną tunę nad Wolą. Ci, którzy nie zostali wypędzeni przez Niemców, próbowali uciekać na własną rękę. Niektórzy w dość zaskakujących okolicznościach:

6 sierpnia (...) znalazłem się w piwnicy [przy Elektoralfnej], w której kilkanaście zbitych z desek prycz z pościelą ustawionych było prostopadle do ścian. Była ze mną Janina Kowalska, ps. „Żaneta”, sanitariuszka z pobliskiego szpitala powstańczego w sądach przy Leszno, który już wcześniej został ewakuowany na Stare Miasto. Okazało się, że wraz z nami znalazło się tutaj około 10 osób, kobiet i mężczyzn w różnym wieku, którzy z różnych powodów woleli ukryć się, niż iść do Niemców na niepewny los. (...) Piwnice były pootwierane. W niektórych na stołach były talerze i sztućce, a rozsunięte krzesła wskazywały na ich pośpieszne opuszczenie. W innej stał tylko pośrodku odrutowany kufer. Po jego rozerwaniu bagnietem i podważeniu wieka ukazały się nam monety Zygmunta III. Wszystko w piwnicach było pokryte popiołem. Wśród odzieży grubej i ciepłej tylko niektórzy znajdowali piżamy, by móc chodzić półnago z poobcinanymi nogawkami. Potem zaczęliśmy szukać jedzenia i picia. W magazynku sklepu spożywczego nie znaleźliśmy produktów nadających się do natychmiastowego spożycia. (...) W korytarzach piwnicznych rozstawione były beczki pełne żółtej wody. Dla oszczędności myśliśmy tylko ręce i twarze. (...) Tak mijały dni, w czasie których niekiedy zaglądali na podwórze Niemcy. Ukrywaliśmy się pod poprzeczną oficyną, jak najdalej od bramy, którą mogliśmy skrycie obserwować przez okienko „naszej” piwnicy. Pewnego dnia, jak zwykle, większość z nas w niej się znajdowała, jedni drzemali leżąc w półmroku, inni — bliżej płonącej pośrodku świecy — cicho rozmawiali (...). I w takiej właśnie chwili, za drzwiczkami zamykającymi wykuty przełaz do dalszej części piwnic, dał się słyszeć jakiś szmer. Zamarliśmy w bezruchu. Nie spodziewaliśmy się z tej strony żadnego niebezpieczeństwa. Po chwili, jeden z nas desperacko podszedł cicho do drzwiczek i raptownie je otworzył. W blasku świecy ukazała się w otworze głowa Niemca w hełmie. Był zaskoczony, ale po oprzytomnieniu zapytał — „Haben Sie Fotoaparate?”.

W tym samym czasie w pobliżu przełazu do piwnic sąsiedniego budynku numer 30 pojawili się następni dwaj Niemcy. Ci zaś pytali: jeden o damskie pończochy, a drugi o wódkę. Któryś z ukrywających się zaczął spokojnie rozmawiać po niemiecku. Inny wskazał piwnicę sklepu spożywczego, z której pomógł żołnierzowi wynieść na ulicę dwie skrzynki wódki.

„Panie poruczniku, ci dwaj dali nam wódkę, chcą żeby ich zebrać na samochód”. Oficer w eleganckim mundurze i błyszczących butach z cholewkami wysłuchał, spojrzął, odwrócił się i odszedł nic nie mówiąc. Wróciliśmy do piwnicy, by w pośpiechu wrzucić na grzbiet co popadło, ciepłego. Inni — mimo przeczesywania piwnic przez żołnierzy — woleli znów się ukryć. Ale jeszcze jedna niespodzianka miała mnie spotkać. „Na ja, das ist gut” — powiedział jeden z żołnierzy i zawiesił mi na ramieniu pistolet maszynowy. Zdrętwiałem. Gdybym nacisnął spust, dałbym im pretekst, żeby nas „rozwalić”.

Na ulicy stała kolumna pustych samochodów ciężarowych. Moja uwaga skupiona na samochodzie, przy którym stałem, nie widziałem więc, aby coś na te samochody ładowano. Ruszyliśmy. Jadąc rozglądaliśmy się dyskretnie. Na ulicy Chłodnej i Wolskiej mijaliśmy grupy cywilów rozbierających barykady i oczyszczających jezdnie dla swobodniejszego przejazdu. Wszędzie pełno wojska, czołgów, samochodów ciężarowych.

Wzdłuż ulic domy wypalone lub dopalające się. Ogień, dym, strzały. Kto? Do kogo? Kościół przy ulicy Wolskiej otoczony wojskiem. Nasza trójka na ciężarówce jedzie milcząco z sercami w gardle. Mijamy wachę na ulicy Wolskiej i granicę miasta. Jedziemy szosą na Grodzisk, ale w pobliżu Milanówka nas wyrzucają. Ocaleliśmy za dwie skrzynki wódki. (Tadeusz Chojnacki, ps. „Czarny”). [Za: „Kurier Wolski” 43/344 (10 grudnia 2009), 44/345 (23 grudnia 2009)]

Na własną rękę próbowali ewakuować się też pracownicy wolskiego przemysłu, choć nie wszyscy mogli to zrobić — fabryki działały przecież na potrzeby Niemców. Ci jednak, jakby przeczuwając, że prędzej czy później będą musieli się z Warszawy wycofać przed zbliżającą się Armią Czerwoną, burzyli zakłady, a co było cenne, wywozili na zachód. Edward Hoch wspomina powstańcze dzieje podstacji Wola przy ul. Wschowskiej:

5 sierpnia 1944 r. grupa wojsk niemieckich (...) natknęła się na podstacji Wola na ukryte samochody, które kazali przeprowadzić w kierunku ul. Wolskiej grupie pracowników podstacji (...). Ludzie ci już niestety nie powrócili i wszelki ślad po nich zaginął. Był to okres największych rozstrzeliwań i oni najprawdopodobniej też zginęli.

Po najkrwawszych represjach w pierwszych dniach powstania na Woli, w miarę upływu dni Niemcy przystąpili do systematycznego wywożenia i burzenia urządzeń elektrycznych w terenie. (...) Między innymi kompletnie zdemontowano i wywieziono urządzenia fabryk Lilpop, Gerlach, przędzalni Wola oraz niemal wszystkie urządzenia stacji i kiosków ulicznych. Poza tym demontowano sieci napowietrzne.

15 sierpnia przyjechał z elektrowni w Pruszkowie inżynier Szymborn w mundurze niemieckiego oficera, krytym samochodem ciężarowym wraz z przyczepą i polecił załadować najpotrzebniejsze rzeczy osobiste i znajdujące się na terenie podstacji rodziny pracowników. Na przyczepę załadowano transformatory i inne materiały elektryczne, i tak zamaskowany transport przemycano przez „wachę” znajdującą się przy cmentarzu na Woli, gdzie wszystkich wychodzących z Warszawy rewidowano i kierowano do obozów. Tak więc pod pretekstem, że z Warszawy wywożone są materiały elektryczne, szczęśliwie udało się wywieźć rodziny Hoch, Tarnowskiego, Dukaczewskiego, Wojdaka oraz Pańskiego, razem 15 osób.

(...)

W dniu następnym, tj. 16 sierpnia, Niemcy gwałtownie przyspieszyli niszczenie Warszawy. Wysadzono w powietrze m.in. fabrykę Lilpopa (...). Znajdujące się w pobliżu podstacji fabryczne składy desek ogarnął potężny pożar. (...) Spłonęły warsztaty, garaże, magazyn i biuro podstacji. Ludność była już wypędzona i nie było komu bronić się od ognia. Wiatr przenosił ogień na budynek podstacji okryty wówczas papą. Pozostała na miejscu załoga pięciu ludzi stanęła z całym poświęceniem do ratowania (...). Pilnujący

podstacji oddział niemiecki spakował się do odmarszu wążpiąc w uratowanie obiektu, toteż zachowywali się biernie przy gaszeniu. Tylko upór pracowników zrobił swoje (...), walka z żywiołem trwała do rana następnego dnia i zakończyła się zwycięstwem.

Na podstacji przebywaliśmy i po upadku powstania, gdyż Niemcy stale chcieli mieć prąd i nie tylko pilnowali obiektu, ale też pod karabinami prowadzili nas na roboty w terenie.

Z kolei mieszkańcy osiedla przy ul. Ludwiki postanowili nie czekać, aż okupant zapuka do drzwi, 5 sierpnia spakowali się i sami ruszyli w drogę. Jak się później okazało, była to słuszna decyzja. Dzięki niej część mieszkańców ulicy przeżyła powstanie, wśród ocalałych była Maria Kalina Zalewska i jej matka:



Fragment Woli po wybuchu pocisku z niemieckiego moździerza salwowego „szafy”. Gruzy wysadzonej szkoły na ul. Chłodnej 11/13, róg Waliców 34, 3 sierpnia 1944 r. Fot. Stefan Bałuk / Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1464-2

5 sierpnia w południe, po obiedzie, za namową mojej mamy, wyszliśmy w kilkanaście osób z domu przy ul. Ludwiki. Szliśmy bokiemy ulicy Bema w stronę Lilpopa. Z dala widać było szosę Wolską, mama wspominała, jak we wrześniu 1939 r. wchodzili tędy Niemcy do Warszawy. Widzieliśmy też, jak tą samą drogą Niemcy pędzili warszawiaków z kościoła św. Wojciecha do Pruszkowa.

Po drodze zatrzymali nas Ukraińcy. Ograbili nas z zegarków, złota i pieniędzy, i przy nas, w przydrożnej, rozsypującej się budzie zgwałcili dwie dziewczyny z naszego domu. My w tym czasie czekaliśmy całą grupą, wśród nas była matka tych dziewcząt. Nie wiedziałam wtedy, co się dzieje i co oznaczają te krzyki. (...)

We Włochach jedna z lokatorek naszego domu urodziła syna. My starałyśmy się dostać do Ursusa, ale po drodze stała przy kolczastych drutach wachta niemiecka. Niemcy nie przepuszczali przede wszystkim tych z kenkartą warszawską. Na szczęście mama moja była wykształcona (...), uczyła się języków i niemiecki pomógł jej w przekonywaniu Niemca, żeby nas puścił do Ursusa, bo tam mamy rodzinę, a dziecko (czyli ja) jest bardzo chore — kłamała. Puścił. (...) W Ursusie przygarnęła nas obca pani, hrabianka o nazwisku Klein — w swojej willi przy ul. Moniuszki 10 oddała zbiegłym warszawiakom cały salon. Było nas pełno, w tym kilka osób z domu przy Ludwiki. Niemcy w Ursusie wciąż polowali na warszawiaków, co ciekawe, w willi pani Klein kwaterowali również żołnierze niemieccy, ale ich nie interesowało, kto mieszka w salonie.

W Ursusie chodziliśmy z mamą na dworzec kolejowy, patrzyliśmy na pociągi wiozące warszawiaków do obozów zagłady. Próbowaliśmy wrzucać do okien jedzenie. Na Boże Narodzenie byliśmy już w Kielcach, u rodziny. Odnalazł się tu też zbiegły z transportu mój ojciec.

Tymczasem na Woli Niemcy zdążyli opanować większość dzielnicy, nie mogli za to przebić się przez linię ulicy Towarowej w stronę Śródmieścia. Powstańcy dzielnie bronili dostępu od ul. Pańskiej i Placu Kazimierza. Wspomina to Teofil Sekuła, który trafił tam, ewakuując się wraz z dowództwem powstania z cmentarza ewangelickiego, przez Kercelak i tunelem pod ul. Chłodną:



Niemiecki samolot Heinkel He 111 zrzuca bomby zapalające na Warszawę. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-187-1

Dowództwo obiera sobie siedzibę przy ul. Miedzianej. (...) linia frontu walki ustala się wzdłuż ul. Towarowej, Chłodnej, Al. Jerozolimskich. Plac Kazimierza, oprócz Hali Targowej, zastawiony był niezliczoną ilością straganów i różnego rodzaju straganików. Tu przed wybuchem powstania koncentrował się handel, chyba wszystkim co jest na świecie, nie wyłączając złota i diamentów. Ataki Niemców były skutecznie odpierane przez powstańców, ani o krok nie mogli przekroczyć ul. Towarowej. Stosowali masowe naloty lotnicze. Oprócz bomb burzących na szeroką skalę stosowali bomby fosforowe zapalające, nazywaliśmy je „Myszkami”. Nadlatujące samoloty miały podwieszone wielkie pojemniki blaszane, które otwierały się, i grad tych „Myszek” zasypywał dzielnicę. Rozrywając się, rozrzucały palący się fosfor, który ugasić można było tylko piaskiem. Płonął w ogniu cały Plac Kazimierza. Palily się dachy domów, stragany, Hala Targowa. Ratowaliśmy, co było można. Siły nasze wyczerpywały się, a naloty trwały bezustannie.

Wreszcie Plac stał się opustoszałym spaleniskiem. W piwnicach i parterach na wpół rozwalonych domów żyli ludzie, którzy nie zginęli w czasie bombardowania. Życie stawało się coraz trudniejsze, brak wody, jedzenia.

Początkowo żywność zdobywaliśmy z rozbitego magazynu przy ul. Towarowej. Były tam worki z mąką i cukrem, mur po przeciwnej stronie ulicy był doszczętnie rozbity. Dalej znajdowały się gniazda niemieckich karabinów maszynowych. Niemcy bacznie śledzili każde poruszenie na terenie magazynu. Każde takie miejsce natychmiast zarzucali seriami pocisków z CKM. W czasie mojej kolejki po żywność (było nas czterech) czołgaliśmy się gęsiego. Pierwszy chwycił za worek, następny za nogi pierwszego itd. Utworzyliśmy taki żywy łańcuch, wyciągając w ten sposób worek mąki i worek cukru. Przekazaliśmy to do wspólnej kuchni.

W końcu żywność przy ul. Towarowej skończyła się. Teraz robiliśmy wyprawy na ul. Żelazną do Zakładów Piwowarskich Haberbuscha po jęczmień, którego spora ilość znajdowała się w magazynie. Trzeba było dużej zręczności i odwagi, żeby tam dojść i wrócić z zapasem. Przejścia były pod ostrzałem niemieckim. Dwukrotnie tam chodziłem i wracałem szczęśliwie. Jeden mężczyzna z innej grupy nie wrócił, został trafiony serią CKM. Zdobyty jęczmień obrabialiśmy na pęczak w prowizorycznej stępie, zrobionej na pniu rzeźnickim do rąbania mięsa. Była to mozolna praca, ale czego to człowiek nie zrobi, gdy musi? Z tego pęczaku gotowano zupę. Każdy sprawiedliwie otrzymywał swoją porcję.

(...)

Wszystkie wolne miejsca na Placu pokryte były mogiłami zabitych. Do jednego dołu wrzucano po kilka ciał. Na pojedyncze groby nie starczało miejsca. Jednego dnia w czasie nalotu potężna bomba zdmuchnęła sąsiedni dom pod numerem 5. W piwnicy był dziadek z dwójgiem małych dzieci. Ktoś usłyszał głos tych dzieci, jak wołały dziadka. Przystąpiliśmy do natychmiastowego ratunku. Odwaliliśmy gruz zasłaniający dostęp do okienka piwnicy, przez które weszliśmy do środka. Dzieci były całe i zdrowe, dziadek zginął przygnieciony belką w drzwiach piwnicy.

Postrachem dla wszystkich były wyrzutnie seryjne pocisków burzących, tzw. „Ryczące Krowy”. Charakteryzowały się specyficznym zgrzytem powtarzającym się kilkakrotnie, do złudzenia przypominającym ryk krowy, po czym wyrzucane były pociski, nigdy nie wiadomo, w który dom wycelowane. Największy dom trafiony tymi pociskami zamieniał się w kupę gruzu. Na dźwięk

„Ryczącej Krowy” wszyscy kryli się w piwnicach, czekając na swój los.

(...)

Były to już początki września, powstanie chyliło się ku upadkowi, lecz rozpaczliwa walka jeszcze trwała. Ustały zrzuty [lotnicze]. Docierały do nas komunikaty radiowe, np. Wanda Wasilewska wyrażała w swoich przemówieniach współczucie dla walczących, nic poza tym. Inne głosy również nie dawały nadziei na przetrwanie i zwycięstwo.

Zdziesiątkowana kadra bezpośrednio walczących z bronią w ręku, coraz dotkliwsze braki amunicji, głód, szerzące się choroby wśród ludności cywilnej wynikające z niedożywienia, brudu i ogólnego wyczerpania skłaniały Dowództwo do pertraktacji z nieprzyjacielem o warunkach zakończenia walki. Miało to miejsce w pierwszej dekadzie września. Ustalono dwugodzinne zawieszenie broni 8 i 9 września, celem umożliwienia wyjścia przede wszystkim ludności cywilnej.



Powstańcy na przedpolu fabryki Bormana od strony placu Kazimierza Wielkiego.
Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy

I rzeczywiście — Niemcy wkrótce zrzucili nad Warszawą ulotki zapowiadające wstrzymanie bombardowań, żeby ludność cywilna mogła opuścić miasto. Gdy Teofil Sekuła zdecydował się opuścić Plac Kazimierza i wyjść na ul. Towarową, jeden ze stojących tam żołnierzy niemieckich głośno zapytał: „To jeszcze was tylu przeżyło w tych gruzach?”

Tak jak Teofil Sekuła, swoje schronienie przy ul. Pańskiej 96 zdecydowała się opuścić rodzina Lilki Wiankowskiej:

Dziewiątego września wyszliśmy z mamą i z siostrami z piwnicy, stamtąd Pańską poszliśmy do Miedzianej i na Plac Kazimierza. Potem Niemcy nas pędzili Towarową do Chłodnej, dalej do Wolskiej, aż do kościoła św. Wojciecha. Pamiętam, że domy paliły się po obu stronach Wolskiej, mama zasłaniała mi oczy. Przy kościele Niemcy zrobili segregację. Wieczorem kazali nam iść ulicą Bema na Dworzec Zachodni. Pamiętam, że między torami kolejarzy mieli takie małe działki ogrodnicze, ludzie się rzucili na pomidory, bo wszystkim chciało się pić i jeść. My też je jadłyśmy i potem zachorowałyśmy na czerwonkę. Nie pilnowali nas wtedy Niemcy, tylko jacyś skośnoocy żołnierze w czapkach z futrem, z czerwonym daszkiem, na którym mieli duży złoty krzyż. Niemcy czekali dopiero na peronach. Stamtąd wywieźli nas przez Pruszków, do Końskiego, i dalej ciężarówkami do wsi Sokołów Stary. Zamieszkaliśmy u bardzo dobrych ludzi, którzy wyleczyli nas, i jeszcze długo po tych wydarzeniach utrzymywaliśmy z nimi kontakty listowne.

Losy wygnanych i zbiegłych mieszkańców Woli były przeróżne. Ci, którym udało się uciec, na ogół osiadali w podwarszawskich wsiach, u rodzin i przyjaciół, niektórzy już stamtąd nie wracali — bo i nie było do czego — powstanie zmieniło Warszawę, czyli też Wolę, w gruzowisko. Osadzeni w pruszkowskim obozie trafiali albo do obozów pracy, czasem hen daleko za byłą polską granicą, albo do obozów zagłady. Ci pierwsi, jeśli dożyli wyzwolenia, często zostawali już w zachodniej Europie.

Po upadku powstania Niemcy przeczesywali Wolę w poszukiwaniu ocalałych i dopalali resztki budynków. A wbrew wszystkiemu, tu i ówdzie ktoś przetrwał. Gdzieś widać było dym z komina, płomienie świec nocą, w ukryciu działały niektóre punkty usługowe, a nawet sklepiki. W małej piekarni pracował wtedy Benedykt Mazanek, dziadek Jadwigi Ślawnickiej-Szałewicz, która spisała jego wspomnienia:

Feralnego dnia dziadek był w piekarni, aby dopilnować wypieku kolejnych bochenków, które właśnie wyjmował z pieca. W tym momencie przyszła do niego babcia Marcjanna i wtedy nagle usłyszeli na podwórku głosy ludzi mówiących po niemiecku. Niewiele myśląc, dziadek owinął babcię w kożuch, i kazał jej natychmiast wejść do pieca, z którego przed chwilą wyjął chleb. Sam zrobił to samo wykorzystując drugi kożuch. Po chwili w piekarni zadudniły kroki żołnierzy, którzy zobaczyli ciepłe bochny chleba. Najpierw spenetrowali piekarnię, zajrzeli w każdy kąt, po czym zabrali ciepły chleb i wyszli. Na szczęście, gdyż schowani w piecu dziadkowie mało nie wyzionęli ducha.

17 stycznia, gdy przez stolicę przeszła Armia Czerwona i ogłoszono wyzwolenie miasta, rozpoczął się wielki powrót warszawian. Wracali do wyludnionego miasta, pełnego ruin i grobów na ulicach.

W styczniu 1945 r. zakończyła się wojenna historia Woli. Okres najsmutniejszy, najbardziej bolesny i najbardziej determinujący dzisiejszy charakter dzielnicy. Gdy spojrzeć na lotniczą mapę powojennej Woli, widać szeregi wypalonych domów, spaloną zajezdnię tramwajową, ruiny wielkich fabryk, po wolskiej części getta została praktycznie jasna plama gruzów. Jeszcze tylko ulice układają się w przedwojenną siatkę, ale niebawem i to ulegnie zmianie.



Przemarsz powstańców udających się do niewoli po kapitulacji powstania warszawskiego, ul. Wolska. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1715-3

Wola powojenna
i współczesna



Ul. Towarowa w 1945 r. Po prawej stronie widoczne numery 56/58 i prawdopodobnie ściana szczytowa 62.
Po lewej na końcu kamienica przy skrzyżowaniu z ul. Wolską. Fot. z archiwum prywatnego Antoniny Zbyszewskiej-Mildner

Warszawianie, którzy wrócili do swoich domów po wyzwoleniu stolicy, zastali zrujnowane miasto. W takich warunkach trudno było o normalne życie. Podwórka, skwery, parki pokryte były cmentarzami. Rozpadające się domy stanowiły zagrożenie, w mieście było pełno min i niewybuchów, grasowali przestępcy, szabrownicy, był problem z dostępem do bieżącej wody, praktycznie nie było prądu, gazu, węgla. Nie wszyscy mieli dach nad głową, ocalałe mieszkania były zasiedlane przez przypadkowe rodziny, pojawiła się też zupełnie nowa ludność, napływowa, głównie z podwarszawskich miejscowości. Nieśli oni ze sobą nowe zwyczaje, inną mentalność i to zderzenie kultur było mocno odczuwalne. A wszystko odbywało się w zmieniającym się układzie politycznym, w którym Polska dostała się pod strefę wpływów Związku Sowieckiego. Po Warszawie spacerowali oficerowie NKWD.

Rodzina Zofii Zboralskiej — można powiedzieć — miała szczęście. Zdołała uciec z kolumny więźniów, których Niemcy prowadzili do obozu w Pruszkowie. Przeżyła okupację, powstanie, pożary fabryk i tartaku, który był tuż obok ich domu przy ul. Mszczonowskiej. Nawet tenże dom częściowo ocalał i dało się w nim ponownie zamieszkać. Matka pani Zofii cudem uniknęła śmierci w kamienicy przy ul. Elektoralnej 28, która wyleciała w powietrze zaraz po jej wizycie.

I po tym wszystkim, gdy wydawało się, że najgorsze minęło, wydarzyło się nieszczęście:

(...) przyjechała do nas Gienia — krawcowa, żeby obszyć całą rodzinę jak za dawnych normalnych czasów. Przyjazd Gieni oznaczał normalizację i porządkowanie życia, przynajmniej ja tak to odebrałam. Przyglądanie się szyciu uważałam za wielką przyjemność. Z wielkim pośpiechem wracałam ze szkoły na Bema, skracając sobie drogę przebiegałam przez ruiny fabryki Lilpopa, nawet nie zrażały mnie krzyki pilnującego tych zniszczonych hał stróża. Biegłam, żeby jak najszybciej być w domu, bo może Gienia pozwoli mi znów obrębić na maszynie prześcieradło. Na przełaj przez podwórka pozbawione obecnie ogrodzeń, biegłam. Dzisiaj miałam nawet powód ogromny do radości. Na pewno dzisiaj będzie już w sprzedaży książka do geografii, po którą chodziłam przecież od kilku miesięcy przez całą tę niepokojącą jesień aż za Kercelak. Wstałam wcześniej, bo i mama przyszła ze sklepu, by ponaglić Gienię do zrobienia przymiarki sukienki na godzinę 12, tej czarnej, a nie jak było ustalone, zielonej. Dlaczego? Dlaczego Stefa? — zapytała Gienia. Pamiętam, mama jako wyjaśnienie opowiedziała sen, którego bardzo się przestraszyła. Śniło się, że czarny wilk skoczył jej do gardła. Mówiła to w wielkim zdenerwowaniu.

Tak jak przewidywałam, dostałam wreszcie upragnioną książkę, więc biegłam, żeby czym prędzej pochwalić się mamie i żeby tak jak co dzień dostać gotową bułkę z szyneczką, bo byłam głodna. Poza tym zawsze najpierw wstępowałam do sklepu do mamy, a później dopiero na obiad na górę, do mieszkania. Wstępowałam nie dlatego, że dostanę bułeczkę, ale lubiłam, jak mama na powitanie brała mnie pod pachy, unosiła do góry i ucałowywała, mocno do siebie przytulając. To była najprzyjemniejsza chwila i dzisiaj też na to przywitanie bardzo się nastawiałam. Całą ulicę Gniewkowską prawie przebiegałam podskakując z nogi na nogę, a już na podwórku wyjęłam książkę z teczki, żeby się nią pochwalić. Jeszcze kilka kroków i korytarz, i wejście do sklepu od tzw. tyłu. Zaraz znowu mama mnie ucałuje. Naciskam klamkę, ale drzwi się nie otwierają, nie ustępują, ktoś z tamtej strony je popycha. Poprzez ledwie uchylone drzwi słyszę głos mamy, głos wypowiedany z trudem, jakiś jęczący z bólu. Ratujcie moje dzieci! Wszystko we mnie truchleje, nabieram ogromnej odwagi i prę z całej siły jak nigdy dotąd, i drzwi ustępują na tyle, że przez szparę pomiędzy futryną a drzwiami widzę leżącą mamę na podłodze, nad nią pochylającą się ciocię Helę i Gienię, która rozcina nożyczkami sukienkę i mówi: „ma przestrelone kiszki”. Gienia popchnęła drzwi domykając je zupełnie i wrzasnęła w moją stronę: do Andrzeja na górę, natychmiast! Co się stało, ja chcę do mamy! Ani mi się waż! Na górę pilnować Andrzejka i nie schodzić na dół. Wypchnięta ze szpary w drzwiach, przez korytarz wybiegałam na podwórko i na ulicę, a tam pod sklepem kilka kobiet, jedna przez drugą w nieładzie mówią, każda co innego. Jedna, że nie słyszała strzału, druga, że jak wybiegał ze sklepu, to jeszcze trzymał w ręku pistolet. Znowu któraś dodała, że wybiegał bez czapki na głowie, to może po nią wróci. Jak wszedł do sklepu i zażądał „dawaj dziengi”, to

Skirzyńska się z nim kłóciła, że nie da, a jak wyjął pistolet, to my chodu. Przez szybę od wystawy widać było, że tą szczotką, którą zmiatała okruszyny po dostawie chleba, broniła się przed tym wycelowanym w skroń pistoletem. Skirzyński poleciał po jakiś samochód, żeby zawieźć ją na Płocką do szpitala. Już dłużej nie słuchałam, krzycząc z rozpacz, pobiegłam na pierwsze piętro do mieszkania. Nie było nikogo, bo Janka poszła rano na miasto z Henią, żeby kupić buty, bo po to przyjechała z Komorowa. Jadzi już od października nie było, bo wyjechała z Bublewiczem na Zachód. Poszłam więc do Szaniawskich. Andrzeja Szaniawski trzymał na kolanach. Pod dom podjechał rozklekotany samochód ciężarowy. Przez brudne szyby i załzawione oczy widziałam, jak na platformę samochodu wrzucają siennik wypchany słomą, na siennik mamę i przykrywają ją pierzyną. Słońce świeciło ostro, ale było zimno, bardzo. Ruszyli, po tych kocich łbach ulicą z dziurami po pociskach, po powierzchni nienaprawionej po działaniach wojennych. Jak strasznie trzęsło. Nie mogłam patrzeć, głowę wsadziłam pod poduszkę i nie przejmowałam się o Andrzeja, leżał cicho obok na łóżku. Niebawem przyszła Janka, już wiedziała, co się stało. Nakarmiła Andrzeja i pobiegła do szpitala. Powróciła wieczorem. Nie operowali mamy. Cały czas jęczy z bólu i coraz ciszej pojękuje. Dzieci, moje dzieci.

Raniutko o szóstej pobiegła do szpitala z poduszką, bo w szpitalu nic nie ma. Na korytarzu napotkanej siostrze zakonnej powiedziała, że szuka wczoraj przywiezionej rannej, przyniosła dla niej poduszkę. Siostra bez żadnych ogródek powiedziała, że zmarła i jeżeli jest z rodziny to, wręczając świecę do ręki, każe iść do piwnicy i rozpoznać zwłoki, bo odwożą na Oczki. Jance zjeżył się włos na głowie. Z przerażenia i rozpacz i z niedowierzania, że siostra potrafi być bez żadnego współczucia dla nieszczęścia, jakie spotyka taką młodzieńką dziewczynę. Jasia miała 18 lat. Do piwnicy zeszła sama. To było najokropniejsze przeżycie w jej życiu. Bardzo ścisnęło się moje serce. Wczoraj mama mnie nie uściśnęła i już nigdy nie ucałuje, nie przytuli do siebie i nie powie Zochna... [Za: „Kurier Wolski” 57/358 (1 lipca 2010), 58/359 (15 lipca 2010)]

Mamę Zofii zabił komendant NKWD, który nigdy nie poniósł za to żadnej kary. Po tym wydarzeniu, w 1946 r., Zofia Zboralska wyjechała na stałe za granicę.

Kilka dni po wyzwoleniu tragedię przeżyła też rodzina Leonardy Wiankowskiej. Jej siostra, razem z wujem i jego żoną wybrali się z Żyrardowa, gdzie wtedy mieszkali, do Warszawy, żeby sprawdzić, czy stoją jeszcze ich domy. Przejeżdżali ul. Wolską pod wiaduktem kolejowym, gdy nastąpił wybuch:



Miejsce, w którym w styczniu 1945 r. ranna została siostra Leonardy Wiankowskiej, 2013 r.
Fot. Jarek Zuzga

20 stycznia 1945 r. moja ciocia i wuj zginęli na Wolskiej pod filarami wiaduktu kolejowego. Rosjanie robotali tam miny. Pod tym wiaduktem mnóstwo ludzi przechodziło. Była z nimi moja średnia siostra. Wuj zginął na miejscu, a ciocia i siostra zostały ciężko ranne. Siostrę już mieli „dawać” do martwych, ale ostatkiem sił mrugnęła oczami i ktoś poznał, że żyje. Ciotka zmarła w drodze do szpitala. Zginęło tam wtedy około 100 osób.

Gdy my wróciliśmy do Warszawy, to nie mogliśmy znaleźć ani siostry, ani wujostwa, a nie wiedzieliśmy jeszcze, co się stało. Dopiero gdy siostra w szpitalu powiedziała, że mieszkała na Łuckiej, to ktoś wysłał tam karteczkę z informacją i tak się odnaleźliśmy.

Niestety, mało kto pamięta o tej tragedii, pod wiaduktem nie ma żadnej tablicy pamiątkowej.

Rodzina pani Lilki (bo tak nazywano ją w domu) zamieszkała ponownie u dziadków przy ul. Łuckiej 16. Jak wspomina, do kamienicy wrócili nieliczni przedwojenni lokatorzy, przybyło trochę nowych, ale to też byli warszawianie, którzy szybko zżyli się z sąsiadami. Niestety, rodzinnego domu Wiankowskich przy ul. Pańskiej 116 już nie było:

Nasz dom spalił się 26 sierpnia. Dwa pierwsze piętra miały stropy drewniane, ale trzecie i czwarte — tzw. kleinowskie, i dlatego te dwa ostatnie całkiem dobrze się zachowały. Niestety, zaraz po wyzwoleniu dom został rozebrany. Gdy przyszedłszy zobaczyć, co zostało, to była tylko rozkopana ziemia. Jeden z sąsiadów przed powstaniem zakopał na podwórku swoje kosztowności, a miejsce oznaczył krzyżem. Dzięki temu udało mu się wszystko odzyskać, bo tego „grobu” nikt nie ruszył.

Te drewniane stropy były zimą Warszawy, właśnie przez nie stołeczne kamienice tak łatwo się paliły. Ale domów, które ocalały, było wbrew pozorom sporo, wystarczy spojrzeć na fotografie z lat 1945 i 1946 lub posłuchać relacji świadków. Niestety, większość została dość szybko rozebrana, bo potrzebne były materiały budowlane na ważniejsze, priorytetowe dla nowej gospodarki inwestycje.

Witold Skrzecz, który z mamą i siostrą przetrwał powstanie, tułając się między wsią Blizne a Puszczą Kampinoską, tak wspomina powrót do zburzonego miasta:

Warszawa wolna. Mama mówi — czas na nas, każda rodzina idzie szukać swoich. Jesteśmy na ul. Sokołowskiej, idziemy w stronę kościoła, wszystko spalone. Spotykamy znajomą, mówi ona, że wszyscy mężczyźni zostali rozstrzelani na wprost naszego domu, pod torami. Płacę, że taty już nie będzie. Blisko kościoła stoi dom nr 12, są puste mieszkania, tam się zatrzymujemy. Wkrótce mama wyrusza na poszukiwanie braci i babci. Ja zaprzyjaźniam się z polskimi żołnierzami, którzy mają kwatery po Niemcach tuż za domem. Od kucharzy dostaję posiłki, przynoszą coś dla siostry i mamy. Jestem stałym stołownikiem kuchni żołnierskiej.

Mama znalazła swoich bliskich i dowiedziała się, że będą odkopywać zbiorową mogiłę naszych ojców. Jest 27 marca 1945 roku. Przystąpiono do ekshumacji rozstrzelanych, stoję i patrzę z przerażeniem, jak żołnierze odsypują ziemię i pojedynczo układają na trawie ciała pomordowanych. Jest nasz tata, poznaję go, są też i inni sąsiedzi. Człowiek, który zakopywał ciała do ziemi, opowiadał, jak widział Niemców strzelających do naszych ojców. Kiedy żołnierze odjechali, z ziemi poderwało się trzech mężczyzn i zaczęło uciekać na drugą stronę torów. Niemcy zauważyli to, zaczęli strzelać do uciekających, zawrócili, dobijając strzałem w głowę wszystkich leżących na ziemi. Po czym sprawdzili, czy wszyscy są martwi i odjechali. Żołnierze polscy przygotowali trumny z desek i kobiety, które rozpoznały swoich mężów, mogły zabrać ich do mogił wyznaczonych przez księdza na cmentarzu wolskim (...). Ci, których rodziny się nie zgłosiły, zostali pochowani na powstańczej części we wspólnej mogile. Transportem zajęli się żołnierze, którzy oddali honory przy pochówku. Według pisma z Polskiego Czerwonego Krzyża, rozstrzelanych było 38 mężczyzn. Wkrótce wrócili właściciele lokalu, w którym mieszkamy, trzeba się było wyprowadzić. Nasz nowy adres to Krzyżanowskiego 48. Dom, jak



Widok z ul. Towarowej w kierunku skrzyżowania z ul. Pańską, 1945 r.
Fot. z archiwum prywatnego Antoniny Zbyszewskiej-Mildner

wiele innych, wypalony, bez tynku, instalacji elektrycznej, podłoga beton, okna powybijane, brak wszystkiego do życia, jednym słowem — bieda. Tu spędziłem młodość. (Za: „Kurier Powstańczy” — specjalne wydanie „Kuriera Wolskiego”, 29.07.2011)

Jadwiga Towalska wróciła z rodziną na Wolę po przymusowym pobycie w Borzęcinie, gdzie jej mama i babcia cudem uniknęły rozstrzelania — Niemiec strzelał losowo do osób ustawionych pod murem i je akurat ominął. Zamieszkali w ruinie swojego domku przy ul. Redutowej 5a, ale, jak wspomina, nie wszyscy mieli tyle szczęścia, żeby mieć dach nad głową:

Pamiętam, że po wojnie niektórzy ludzie mieszkali w ziemi — kopali doły, które przykrywali czymkolwiek, i tak żyli, jak w bunkrach. Nasza ulica wyglądała wtedy tak: jak się skręcało z Wolskiej, to po lewej stronie były numery 1 i 3, to były działki po domach żydowskich, ich właściciele zginęli w czasie wojny i domów tych nie odbudowano. Dalej piątka należała do polskiej rodziny, która miała tam przed wojną kamienicę. Po wojnie udało im się odzyskać działkę, ale tylko jej część, gdzie ustawili sobie jednorodzinny domek, w którym mieli pralnię. 5a to był nasz dom i jeszcze był 5b. Dziś nie ma już żadnego z tych domów, w ich miejscu postawiono mleczarnię.

Takie rzeczy, jak postawienie fabryki na cudzych działkach, umożliwiał wydany w październiku 1945 r., okryty złą sławą, dekret Bieruta. Na jego mocy wszystkie działki w obrębie granic Warszawy przeszły na własność miasta. Miało to w założeniu ułatwić odbudowę, ale w praktyce ją spowolniło, nie wspominając o krzywdzie, jaką wyrządzono prawowitym właścicielom. Wielu z nich porzuciło plany odbudowy swoich domów, bo nie chcieli tego robić na cudzym terenie — dekret ów dotyczył tylko terenów pod nieruchomościami, same nieruchomości — przynajmniej teoretycznie — należeć miały dalej do dotychczasowych właścicieli.

Wracający do stolicy warszawianie, o ile to było możliwe, wprowadzali się do swoich dawnych mieszkań. Ci, którzy zamiast domu zastali ruiny, próbowali mieszkać, gdzie się dało. Wiele lokali było zajmowanych „na dziko”, potem, jeżeli nie pojawili się prawowici właściciele, stan taki legalizowano. Henryk Grochowski, który z matką powrócił do Warszawy, żeby odnaleźć pozostawioną tu babcię, nie zastał już nawet ulicy, przy której mieszkał:

Do Warszawy wróciliśmy wczesną wiosną 1945 roku. Nie było naszego domu, nie było ul. Balickiej. Tylko gruzy, zgliszcza i kikuty domów. Mama szukała babci. Dowiedziała się, że osoby, które nie opuściły Warszawy, zostały zapędzone do kościoła św. Wojciecha i tam rozstrzelane. Gdzie i w jakich okolicznościach zginęła babcia — nie wiemy do dziś.

Mama zajęła mieszkanie przy ul. Młynarskiej 25. Dom nie był zburzony, ale pamiętam, że nie było okien, drzwi ani podłogi. Najpierw zatkaliśmy okna papierami, a potem powoli remontowaliśmy. Sąsiedzi wspierali siebie nawzajem, byli już wtedy „budowlancy”, którzy za opłatą pomagali w pracach.

Z okolicznych gruzów wybierałem cegły, czyściłem je, ustawiałem w koziołki i sprzedawałem mieszkańcom Babic, Grot i innych miejscowości. Mama była osobą energiczną, znów zajęła się handlem. [Za: „Kurier Wolski” 36/337 (3 września 2009)]

Ul. Balicka, o której mówi pan Henryk, biegła mniej więcej tam, gdzie dziś są baseny Ośrodka Moczydło.

Rodzina Doroty Kukuć po powstańczej zawierusze zamieszkała w opuszczonym lokalu przy ul. Żelaznej 65, tuż nad warsztatem, który należał do jej ojca i wuja:

Mieszkaliśmy w jednym pokoju w osiem osób, z wujkiem i babcią. Przedpokój był kuchnią, toalety były tylko na zewnątrz. Okna wychodziły na Żelazną. Na prawo od bramy był sklep spożywczy „Rzepicha”, prowadził to pan Borys, kolega mojego taty, po schodkach się wchodziło. Zawsze mogłam tam coś dostać na kredyt. Pamiętam też wspinałą cukiernię na Żelaznej przy Krochmalnej, zawsze tam zamawiałam pączki. Potem, jak chodziłam do liceum na Żytnią, to nasz szkolny sklepik zaopatrywał się w ciastka właśnie tam.

W kamienicy mieszkali wtedy jeszcze lokatorzy przedwojenni. Właścicielem budynku był Żyd, który w 1968 r. wyjechał do Izraela, przyjaźniliśmy się z nim. Mieszkał tam też taki młody chłopak z rodziną, z nakazu, był chyba ubekiem. Pamiętam, że przy rodzinnych obiadach nie rozmawiało się o przeszłości, o wojnie, powstaniu, bo rodzice bali się, że on podsłucha i doniesie. Była też rodzina, matka z synem, którzy przeżyli obóz w Oświęcimiu, pamiętam, że ten syn był bardzo zastraszony, nie mógł się podnieść po obozowych przeżyciach, w końcu popełnił samobójstwo.

Ulicą Żelazną jeździły wtedy tramwaje. Były czerwone, kanciaste, a ich drzwi się nie zamykały. Motorniczy miał taką korbę do kierowania, a bilet kosztował 20 groszy.

U schyłku lat 60. tramwaje przestały jeździć ul. Żelazną, ale torowisko nie zostało rozebrane, tylko zalane asfaltem. W niektórych miejscach do dziś widać fragmenty szyn.

Matka małej Marii Kaliny Zalewskiej też powróciła do Warszawy, piechotą. Wzdłuż trasy kolejowej Włochy-Ursus był wówczas targ, na którym szabrownicy sprzedawali to, co udało im się wynieść z gruzów stolicy. Na tym targu mama Marii kupiła trochę ubrań. Był 18 stycznia 1945 roku:

Mama wróciła do Warszawy tak jak z niej wyszła — pieszo, w tych samych pantofelkach i w tym samym płaszczu z wełenki (futro zostawiła przed powstaniem do renowacji w zakładzie przy ul. Poznańskiej; z zakładu zostały tylko gruzy). A styczeń 1945 roku był bardzo zimny. Dotarła na ulicę Ludwika, pełno było śniegu, weszła na podwórze — mieszkanie spalone. Mama została bez dachu nad głową, ale nie chciała zajmować nikomu mieszkania. Ktoś powiedział, że do kawalerki na czwartym piętrze nikt już nie wróci, bo lokatora zgładzili Niemcy (...). Mieszkanie było puste, bez drzwi. Mama spała na podłodze, nawet nie paliła świec, bo „ruskie chodzili i szukali kobiet” (...). Parę groszy, które miała na chleb, dała komuś i wstawili jej drzwi. Na Ludwika, między trójką a piątką, na półkolu, leżał zabity, zamrożony koń. Mama, jak inni powracający, piłowała po kawałku mięsa, gotowała i jadła. Na szczęście był węgiel, można było rozpalić pod kuchenką. Ludzi — dawnych



Widoczny fragment torów tramwajowych
w ul. Żelaznej (skrzyżowanie z ul. Proszą),
2013 r. Fot. Jarek Zuzga



Kamienica przy ul. Żelaznej 65, w której zamieszkała rodzina
Doroty Kukuć. Fot. Grażyna Rutowska, Narodowe Archiwum
Cyfrowe, sygn. 40-W-46-13

Ul. Wolska 42. Tu stała kamienica, w której mieszkała rodzina Jadwigi Ślawskiej-Szalewicz po powrocie do Warszawy. Dziś stoi tu kamień upamiętniający żołnierzy batalionu „Parasol”, broniących pałacu Michlera w sierpniu 1945 r., 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



mieszkańców Ludwika — wróciło mało, większość została zamordowana lub wywieziona do obozów zagłady następnego dnia po naszej ucieczce.

Ja wróciłam do Warszawy na Wielkanoc. Pamiętam, jak razem z mamą nosiłyśmy wodę w balii aż z gazowni przy ul. Dworskiej! Na ulicę przybywali nowi mieszkańcy, z podwarszawskich wsi. Z dawnej śmietanki, która tu mieszkała, ostała się garstka.

Dzięki zaradności warszawian do ruin zbombardowanych i wypalonych kamienic wkrótce zaczęło wracać życie. Wspomina to Jadwiga Ślawska-Szalewicz, która wraz z rodziną zamieszkała w zbombardowanym domu przy ul. Wolskiej 42:

Moje wspomnienie naszego pierwszego „mieszkania” sięga roku 1947. Pamiętam ten dom, był bardzo zniszczony po bombardowaniu. Był dla mnie niewyobrażalnie wysoki, liczył siedem pięter, wszyscy nazywali go „mrówkowcem”, tyle osób w nim mieszkało.

Każdy nowy lokator remontował sobie kolejny wolny pokój, a pokoje były ogromne, tak mniej więcej 10-12 metrów kwadratowych każdy.

Moja rodzina znalazła pokój nadający się do remontu na szóstym piętrze, kolejny wolny, dlaczego na szóstym? Bo to było jedno z nielicznych pięter niezbyt zbombardowane, nadające się do tego, aby wejść klatką schodową, która pośrodku miała wolną przestrzeń, a pod ścianami schody nie uległy zniszczeniu. W ten sposób można było wejść na swoje piętro, proszę jednak wziąć pod uwagę, że schody nie miały poręczy, zatem były bardzo niebezpieczne.

Prace remontowe trwały kilka tygodni. Ja, młoda dwupółletnia dama, towarzyszyłam rodzicom w każdej wyprawie do „nowego” domu. Po podniesieniu zniszczonego stropu, dobudowaniu brakującej ściany, wykorzystaniu jakiejś w miarę niezniszczonej framugi okna, oprawieniu jej, oszkleniu, pokój stał się w miarę dostosowany do potrzeb trzyosobowej rodziny. Tymczasem nastały jesienne chłody i przymrozki. Dziadek Benedykt zakupił dla nas na „Kiercelaku” kożę — taki żelazny piecyk na węgiel i ten cenny ciężki prezent jak zdobycz niesłychaną wniósł na szóste piętro. Od tej pory, to znaczy gdzieś od listopada 1947 roku, mogliśmy zamieszkać w swoim mieszkaniu. Jeszcze bez wody, jeszcze bez kuchni, no i bez toalety. Jedyna w miarę czynna mieściła się niemal naprzeciwko naszego pokoju w ciemnym korytarzu, którego panicznie się bałam.

Pierwszy rok naszego „koczowania” w apartamencie przy ul. Wolskiej 42 był bardzo trudny. Zima była mroźna, nasz pokój słabo ogrzewany, a postawiona ściana była szczytową, gdyż następne mieszkanie było rozwalone podczas bombardowania. Ponieważ była zima, nikt nie chciał zaczynać robót budowlanych. Na naszym piętrze byłam jedynym dzieckiem, którym zajmowały się trzy rodziny. Państwo Zychowie, Radzikowscy, no nasza trójka Mazanek. Najbardziej lubiłam sąsiadów państwa Radzikowskich (leżą na cmentarzu katolickim na Woli). Matka, dwie córki i wujek, mieszkali w małym 14-metrowym pokoju. Ale ich mieszkanie posiadało kuchnię z fajerkami opalaną węglem. Skąd brano ten węgiel? Raz w tygodniu przyjeżdżał węglarz wozem zaprzężonym w konia i sprzedawał węgiel.

Dlatego ten pokój był najcieplejszy, mieścił się pomiędzy dwoma wyremontowanymi pokojami, a u cioc Halinki i Irenki było najcieplej i tam najbardziej lubiłam przebywać. Ciocia Halinka była krawcową i szyła sukienki, bluzki, spódnice. Bluzki sztyto ze zdobytego nylonowego białego materiału spadochronowego. Ciocia Halinka była „artystką”. Wszystko umiała uszyć na oko. Bez wzorów, bez form, patrzyła na panie i już wiedziała, co i jak. A że była bardzo sprawna manualnie, piękne rysunki malowała na naszej ścianie w pokoju pokrytej mrozem i szronem. Koza dawała trochę ciepła, ale nie na tyle, aby ogrzać ten minipokoik.

Wujek Radzikowski był krawcem męskim, więc najczęściej nicował płaszcze wojskowe, szyjąc z nich garnitury albo jesionki.

Moje pobyty u „wujostwa” były długie, a w tym czasie moja matka mogła pójść po zakupy.

Ciekawostką jest to, że żaden pokój nie miał podłogi. Było regularne „klepisko” — glina rozrobiona z wodą, wygładzona i prawie pozioma. To klepisko było dla mnie wspaniałym elementem zabawy, nikt nie wie, jak moje paluszki wygrzebały wielką dziurę, w którą wpadały zarówno klientki cioci Halinki, jak i wujka Radzikowskiego. Radość była ogromna, ale tylko moja.

W następnym roku 1948 na szóstym piętrze przybyło lokatorów: jedna rodzina z dwiema małeńkimi córeczkami oraz pan, którego nazywałam „krawiec z kąta”, gdyż zajmował małeńki pokój na końcu korytarza i o dziwo był krawcem.

Jakoś tak na wiosnę ktoś wyremontował zniszczone mieszkanie obok naszego pokoju i w ten sposób uzyskaliśmy dodatkowe ocieplenie. Niestety, w dalszym ciągu nie zreperowano klatki schodowej, a wielka dziura pośrodku niej była bardzo ciekawa, szczególnie dla mnie, wtedy już trzyletniej osoby. Wymykałam się z domu, kucałam przy krawędzi tej pięknej ogromnej dziury i patrzyłam, co się dzieje na dole. W tej właśnie pozycji moja matka nakryła mnie i po cichuteńku zgarnęła znad tej krawędzi bez jednego słowa. Krzyk, jaki się później podniósł, pamiętam do dzisiaj. Nie wiem dokładnie, kiedy, ale po tym zdarzeniu jakoś bardzo szybko zniknęła dziura na klatce. Zabezpieczono ją deskami i czymś jeszcze, ale wtedy już przestała być taka ciekawa.

Niestety, dom, w którym rodzina pani Jadwigi wyremontowała sobie pierwsze powojenne mieszkanie, został rozebrany. Według dokumentacji Biura Odbudowy Stolicy, wykonanej w 1945 r., stan budynku nie stwarzał zagrożenia, ale jednocześnie nie nadawał się do odbudowy. W latach 50. wybudowano tu bloki osiedla „Młynów”.

Na ul. Chłodną wrócił też, choć na krótko, Wojciech Prośniewski. Z pięknej ulicy zostały wypalone zgliszcza:

Po przejściu przez Pruszków, wywózkę pod Częstochowę, z tobołami, brnąc przez piętrowe zwaliska gruzów, dotarliśmy na Chłodną. Dom pod 39 stał wypalony od pierwszego piętra w górę, pozostał tylko zniszczony parter. W gruzach zalegających był podwórko odnaleźliśmy łyzkę stołową z naszego serwisu. Chwilę zastanawialiśmy się, czy nie zamieszkać w ocalałych pomieszczeniach parteru, choćby w tym, co pozostało ze sklepu mydlarskiego pani Borkowskiej, lecz mieliśmy świadomość, że ktoś może ocalał i wróci na swoje stare śmieci. Potem okazało się, że inni, obcy ludzie pozajmowali co się dało i zamieszkali. Nie wszyscy jednak cieszyli się swym szczęściem zbyt długo. Po paru latach czwarte i trzecie piętro zważyło się, ktoś zginął. Z domu, w którym mieliśmy zakład, pod 44, pozostała tylko olbrzymia sterta gruzów.



Ul. Chłodna. Po lewej miejsce, gdzie stała kamienica rodziny Wojciecha Prośniewskiego (nr 39). Po przeciwnej stronie stał dom, w którym Prośniewscy mieli warsztat, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Straty na ul. Chłodnej są szczególnie bolesne, gdyż z tej wielkomiejskiej ulicy, zwanej przed wojną „Marszałkowską zachodu”, prawie nic nie zostało. Likwidacja linii tramwajowej i późniejsze przebicie trasy W-Z wzdłuż ul. Leszno i ul. Wolskiej całkowicie pozbawiły ul. Chłodną jej dawnego znaczenia.

Z wygnańczej tułaczki po obozach pracy w Niemczech, wraz z matką i siostrą, na Wolę wróciła Weronika Tajak:

Był 1 listopada 1945 roku. Wróciliśmy do naszej Warszawy, która była w kupę gruzu zamieniona. Wróciliśmy na gruz i zgłiszczą. Na Nowogrodzkiej był Ośrodek dla osób powracających — takich jak my. Mama na drugi dzień odnalazła na ul. Górczewskiej swoją siostrę i jej rodzinę — łącznie z matką było ich pięcioro — dołączyliśmy do nich. W małym pokoju, gdzie była kuchnia węglowa, zlew, a w małym przedpokoju ubikacja, mieszkały cztery dorosłe osoby i czworo dzieci.

Nie tylko my wróciliśmy do Warszawy. Coraz więcej jej mieszkańców wracało na zgłiszczą i gruz, a wyglądało to tak, jakby czekali w pobliżu.

Warszawa nabierała rozpędu, zaczęła tętnić życiem. Zamiast gruzów stawały rusztowania, zaczęła się budowa — „mówili nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa”. (...) Siła, rozmach i zapal ludzi, którzy napływali, by ją odbudować — to było porażające.

Entuzjazm, który panował wówczas w Warszawie, wspomina większość świadków tamtych czasów. Fakt życia w zburzonym mieście był nie tyle przygnębiający, ile stał się wyzwaniem. Mieszkańcy z własnej woli angażowali się w odgruzowywanie, sprzątanie i budowanie nowej stolicy. Zrodziło się z tego zjawisko „czynu społecznego”, który w warunkach socjalizmu szybko przestał być dobrowolny. W takich pracach uczestniczyła Leonarda Wiankowska:

Ze szkoły, a potem z mojej pierwszej pracy, angażowano nas do sprzątania gruzów, w różnych miejscach, na Powiślu, na Starym Mieście. Sadziliśmy też drzewa w parku obok Muzeum Narodowego. Wszędzie czuć było ten entuzjazm, przy pracach w terenie były śpiewy, wisały transparenty. Prace były niby dobrowolne, ale lepiej było w nich uczestniczyć — nieobecni byli wytykani palcami, pomijani przy premiach w pracy itd. Pamiętam, że przy odgruzowaniu nadal znajdowało się zwłoki z czasów powstania.

Po jednej stronie był entuzjazm, po drugiej — traumatyczne przeżycia związane z poszukiwaniem zaginionych, zbieraniem danych o zabitych, zdobywaniem zaświadczeń o śmierci bliskich, identyfikacją zabitych z ekshumowanych powstańczych grobów. Nawet gdy było wiadomo, że bliska osoba nie żyje, potrzebne było zaświadczenie, a do jego wydania — świadkowie. Zbigniew Sobczak, którego ojciec został rozstrzelany przy ul. Młynarskiej, wspomina:

Po zakończonej wojnie mamusia wystąpiła do Sądu Powiatowego dla m.st. Warszawy o stwierdzenie spadku po nieżyjącym mężu.

Sprawa odbyła się 16 grudnia 1946 r., zeznał naoczny świadek Piotr Dolny. Zeznał, cytując: „Znałem Wacława Sobczaka, męża wnioskodawczyni. Zginął 6 sierpnia 1944 r., rozstrzelany z siedemnastoma mężczyznami, jako pierwszy. Widziałem, twarz miał zupełnie zmiażdżoną. Ja byłem szesnasty, kula przeszła mi przez jamę ustną i się uratowałem. Strzelano nam z bliska w tył głowy”.

(...) Bardzo przeżyłem zamordowanie mego ojca, jego śmierć całkowicie odmieniła życie mojej mamy, brata i moje. Żał jeszcze bardziej pogłębia fakt, że został w tak bestialski sposób zamordowany i nie mamy jego mogiły”.

Cmentarz Powstańców Warszawy, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



Zbigniew Sobczak był jedną z tysięcy osób, których bliscy zamordowani na Woli nie mieli własnego grobu. Większość ofiar została przecież spalona, poza tym mnóstwo było bezimiennych mogił, porzucanych po podwórkach i skwerach. W listopadzie 1945 r. odbył się symboliczny pogrzeb ofiar, których prochy złożone zostały do wspólnego grobu nieopodal cmentarza wolskiego, dając początek Cmentarzowi Powstańców Warszawy. Ponieważ jednak powojenne władze nie były przychylnie upamiętnianiu powstania, nie starano się dociec, kto tak naprawdę został na nowym cmentarzu pochowany. Mimo że było to możliwe, celowo rezygnowano z identyfikowania zwłok, zwłaszcza żołnierzy Armii Krajowej. W nekropolii spoczęli wspólnie wolscy cywile i żołnierze, wśród nich tysiące zaginionych ojców rówieśników Zbigniewa Sobczaka.

Brak ojca lub męża jest charakterystyczny dla większości wspomnień rodzin powracających do stolicy. To właśnie matki i babcie, pozbawione pomocy zaginionych lub zamordowanych mężczyzn, musiały wziąć na siebie ciężar zorganizowania życia w zrujnowanym mieście. W tej rzeczywistości dzieci szybko dorastali, stawały się samodzielne.

Jadwiga Ślawska-Szalewicz od 1948 r. chodziła do przedszkola na terenie zajezdni tramwajowej przy ul. Młynarskiej:

Ojciec w tym czasie pracował jako kierowca autobusów w MZK. Przechodziliśmy z mamą cały teren zajezdni, który w owych latach nie był otoczony żadnym płotem, a miły pan z wartowni witał nas uśmiechem i serdecznie: „Dzień dobry miłym paniom”... hm... paniom! Pamiętam moją wychowawczynię przedszkolną panią Irenę. Przedszkole to miłe wspomnienia, pamiętam też Basię Salach (lub Salak), z którą bardzo się przyjaźniłyśmy. Nie wiem dokładnie, kiedy przedszkole MZK zostało zlikwidowane, ale wiem tylko, że w przedszkolu bawiliśmy się w sklep z prawdziwą wagą i pieniżkami „na niby”. Nasza pani przedszkolanka, pani Irena, prowadziła nas do przedszkolnego ogródka, gdzie siałyśmy i zbierałyśmy rzodkiewkę, szczypiorek, cebulkę, marchewkę, pietruszkę, które później zbieraliśmy dla potrzeb kuchni.



Grupa dzieci w przedszkolu MZK przy ul. Młynarskiej (Jadwiga Ślawska-Szalewicz czwarta od prawej w dolnym rzędzie). Fot. z archiwum Jadwigi Ślawskiej-Szalewicz

Lilka Wiankowska wróciła do szkoły przy ul. Miedzianej 8, aby kontynuować przerwana naukę:

Po wojnie wróciłam znowu do szkoły na Miedzaną. Przez tę przerwę, a wcześniej przez ciągłe przenosiny szkoły, byliśmy trochę opóźnieni w programie. Pamiętam, że w piątej, szóstej klasie byli szesnastolatki. Na gimnastykę chodziliśmy z tyłu szkoły, na pusty plac po zwałonym domu. Tam graliśmy w piłkę.

Szkoła przy ul. Miedzianej nadal istnieje, tak jak i wschodnia pierzeja ulicy. Niestety, po przeciwnej stronie krajobraz uległ całkowitej zmianie w późniejszych latach, po Placu Kazimierza nie został ślad.

Jadwiga Towalska rozpoczęła naukę w szkole w 1949 roku:

Do szkoły chodziłam na Bema, piechotą. Pamiętam, że pierwszego dnia zablądziłam. A to dlatego, że pomyliły mi się mosty — jeden most był na Kole, a drugi przy Bema, i ja wracając poszłam do tego mostu przy Kole.

Z babcią jeździłam kupować sukienki na Kercelak, on wtedy działał w okolicach Siennej i Żelaznej.

Pamiętam, że było bardzo dużo Rosjan w Warszawie. Gdy zaczęto budować Pałac Kultury, to budowniczowie osiedli się na Jelonkach. W szkole był apel, jak umarł Stalin. Dużo się bawiliśmy na podwórkach, w berka, w podchody, z tym że naszym podwórkiem to były cmentarze — wolski i rosyjski, bo mieszkaliśmy dokładnie pomiędzy nimi. Czasem chodziliśmy do Parku Sowińskiego, nie było tam jeszcze amfiteatru, tylko dół, do którego zjeżdżaliśmy zimą na sankach.

Wspomniane przez panią Jadwigę osiedle przyjaźni polsko-radzieckiej powstało na Jelonkach w 1952 roku. Ściągnięte z Finlandii drewniane domki stanowiły samowystarczalny kompleks mieszkaniowy, z kinem, stołówką i łaźnią. Po ukończeniu budowy Pałacu Kultury i Nauki w domkach urządzono akademiki. Baraki okazały się trwalsze od państwa radzieckiego, bo z sukcesem pełnią swoją funkcję do dziś.

Tymczasem podnoszona z gruzów Warszawa potrzebowała ludzi do pracy. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach miasto przyjmowało masy napływowej ludności, która byłaby w stanie zrealizować ambitne cele odbudowy i rozbudowy stolicy. Wola miała ponownie stać się centrum stołecznego przemysłu, choć już na nowych, regulowanych przez socjalistyczną gospodarkę, warunkach.

Wydarzenia wojenne pozostawiły wolski przemysł w ruinie. Fabryki, jeśli nie spłonęły lub nie zostały wysadzone w powietrze przez wycofujących się Niemców, zostały rozkradzione i niezdolne do produkcji. Mniejsze zakłady i warsztaty w dużej mierze potraciły właścicieli i przestały istnieć. Zresztą, wolski przemysł miał od tej pory bazować przede wszystkim na wielkich fabrykach. Powstały one częściowo na gruzach swoich poprzedników, wykorzystując ocalałe budynki, resztki infrastruktury i — co najważniejsze — zapal i energię pracowników, którzy zaraz po wyzwoleniu spontanicznie zbierali się i próbowali przywracać funkcjonowanie swoim zakładom. I tak — w miejscu fabryki Philipsa powstały zakłady im. Róży Luksemburg, produkujące świetlówki, nadal na holenderskiej licencji. Nieco później, w 1951 r., na fundamentach Philipsa powstał kolejny zakład, im. Marcina Kasprzaka, produkowano tam odbiorniki radiowe. Tam, gdzie

była Państwowa Fabryka Karabinów, w której w 1935 r. opracowano słynny polski pistolet VIS, powstała Fabryka WYROBÓW PRECYZYJNYCH im. Gen. Świerczewskiego. Zniszczone zakłady Warszawskiej Spółki Akcyjnej Budowy Parowozów, rozciągające się między ul. Kolejową i ul. Karolkową, stały się lokalizacją dla nowych Zakładów Budowy Urządzeń Przemysłowych, które potem przekształciły się w fabrykę „Waryński”, specjalizującą się w produkcji maszyn budowlanych. Na gruzach fabryki Franaszka przy ul. Wolskiej powstał „Foton” — Warszawskie Zakłady Fotochemiczne. Co ciekawe, wciąż działała firma ogrodnicza Ulrycha, choć pod „przymusowym zarządem państwowym”, ale nadal (aż do 1958 r.) pod kierownictwem prawowitych właścicieli. Zakłady Norblina po upaństwowieniu przyjęły nazwę Walcowni Metali Kolorowych i działały jeszcze przez wiele lat. Do grudnia 1948 r. działał pod starym zarządem „Dobrolin”, potem został upaństwowiony. Nie przetrwał za to „Lilpop, Rau i Loewenstein”. Pusta działka została też po filii Ursusa na Wolskiej.

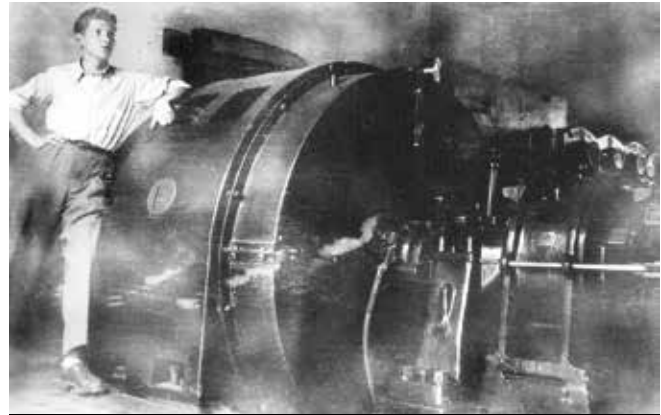


Osiedle budowniczych Pałacu Kultury i Nauki, 1961 r.
Fot. Zbyszko Siemaszko, Narodowe Archiwum Cyfrowe,
sygn. 51-360-2

W czerwcu 1945 r. ruszyła odbudowana Gazownia Warszawska. Podstacja „Wola” przy ul. Wschowskiej, której tak dzielnie broniła przed spalaniem ekipa jej pracowników, również szybko wróciła do funkcjonowania. Edward Hoch wspomina powojenne lata:

W pierwszej połowie lutego 1945 r. otrzymała „Wola” napięcie 5 kV od strony Szczęśliwic, przez wykorzystanie kabla 35 kV. Zatem podstacja przez cały okres swojego istnienia nie miała napięcia jedynie przez miesiąc, od momentu zniszczenia elektrowni w Pruszkowie do lutego 1945 roku.

Cały okres wiosenny wykorzystano do zabezpieczenia i zbierania materiałów elektrycznych na terenie Woli. Do pracy stopniowo meldowali się inni pracownicy, którzy przeżyli powstanie. Załoga „Woli” liczyła w sierpniu 1945 r. już około 20 ludzi. Masa materiałów elektrycznych uratowanych i zabezpieczonych przez pracowników przydała się do odbudowy urządzeń nie tylko na Woli, ale i na Wybrzeżu [Kościuszkowskim] w Wytwórni Elektrowni i w innych dzielnicach Warszawy. Jeszcze w 1945 r. zbudowano z podstacji Wola na ul. Armatnią linię napowietrzną 35 kV dla zasilania podstacji PKP. W 1946 r. odbudowano spalone warsztaty, garaże i magazyny przy ul. Wschowskiej 5 oraz skompletowano pogotowie techniczne sieci, które dysponowało samochodem (...).



Kompensator mocy biernej o napięciu 5 kV zainstalowany w Przetwórni „Wola” w 1930 r. Na zdjęciu Józef Grabalski – ówczesny dyżurny Podstacji „Wola” przy ul. Wschowskiej 2, lata 50. Fot. archiwum Józefa Grabalskiego

Niestety, sprawnie rozwijająca się podstacja została zlikwidowana na przełomie lat 50. i 60., po czym rozebrana, pod pretekstem rozbudowy zakładów im. Świerczewskiego (jednak ich rozbudowa nie objęła terenu podstacji). Dziś po tym ofiarnie bronionym i odbudowanym przez załogę obiekcie nie ma śladu.

W 1951 r. na terenie Fortu Wola, tam gdzie Niemcy niedawno gromadzili i selekcionowali mieszkańców dzielnicy, powstał Warszawski Zakład Mechaniczny nr 1, któremu rok później nadano imię Marcelego Nowotki. Edward Kołodziejczyk, wieloletni pracownik „Nowotki” opowiada o swojej pracy i o tym, jak fabryka wpływała na codzienne życie Woli:

Pracę w Zakładach Mechanicznych im. Marcelego Nowotki rozpocząłem w 1962 r. Były to czasy dynamicznego rozwoju zakładów. Pracownicy „Nowotki” w większości byli ludźmi spoza stolicy, ale w tamtych czasach rozwijający się wolski przemysł potrzebował bardzo wielu rąk do pracy. Z przyjęciem nie było żadnego problemu – miałem już trzy lata praktyki warsztatowej i „jeszcze ciepły” dyplom Technikum Budowy Maszyn. Ale to były inne czasy.

Pochodzę spod Łowicza i gdy kończyłem łowicką zawodówkę, do szkoły przyjechał kierownik Działu Kadr podwarszawskich wówczas Zakładów Mechanicznych „Ursus” i zaproponował absolwentom (zarówno zawodówki, jak i tutejszego technikum) pracę w Ursusie. Wraz z kilkoma kolegami przyjęliśmy ofertę. Równocześnie z pierwszą pracą, po wakacjach rozpocząłem naukę w popołudniowym, 3-letnim Technikum Budowy Maszyn dla Pracujących w Piastowie. Po trzech latach pracy (jako ślusarz narzędziowy) i skończeniu technikum, postanowiłem poszukać innej, ciekawszej pracy. I tak, jak już wspomniałem, trafiłem



**Wizyta Andrzeja Łapickiego w „Nowotce”.
Fot. z archiwum Edwarda Kołodziejczyka**

wycieczki krajoznawcze, często organizowane we współpracy z zakładowym klubem „Motyle” od „Świerczewskiego”. Dzieci pracowników miały zapewnione kolonie, a starsza młodzież — obozy na Mazurach. Dużym powodzeniem cieszyły się zabawy karnawałowe.

W ramach Oddziału Wolskiego PTTK nowotczanie byli organizatorami międzyzakładowych zawodów turystycznych (w których „Nowotko” zwykle zajmował pierwsze miejsca) — to była fajna zabawa, ale też prawdziwa rywalizacja. W sali konferencyjnej były organizowane wystawy, prelekcje i spotkania z ciekawymi ludźmi — pamiętam Andrzeja Łapickiego, Ryszarda Szurkowskiego, Tadeusza Łomnickiego, Jana Koprowskiego, dla naszej załogi występowała „Gawęda”. Zakładowi twórcy-amatorzy i kolekcjonerzy na wystawach prezentowali swoje dzieła, np. rzeźby i korzenioplasykę, malarstwo i hafty, a także kolekcje monet i znaczków, dzwonek i breloczków, proporczyków i odznak sportowych, oraz wszystkich innych rzeczy — w zasadzie czegokolwiek, jeżeli tylko ktoś zbierał lub robił coś ciekawego w domowym zaciszu i chciał to pokazać innym...

Te kulturalne i turystyczne dodatki były nieodłącznym elementem pracy w wolskich fabrykach tamtych czasów. Podobne wspomnienia ma Edmund Żywiotowski, który od 1953 r. pracował w „Świerczewskim” na stanowisku kierownika ds. kulturalno-oświatowych i turystyki:



**Orkiestra Fabryki Wyrobów Precyzyjnych
im. Gen. Świerczewskiego.
Fot. z archiwum Edmunda Żywiotowskiego**

na prototypownię w „Nowotce” na Forcie Wola. Mieszkalem wtedy w Piastowie, ale dojazd na Wolę był dobry — najpierw pociągami do stacji Włochy, a stamtąd autobusem 129 (to były jeszcze tzw. „ogórki”, a potem Jelcze Berliety) wprost pod bramę zakładu, gdzie autobus miał pętlę. Cała droga zajmowała mi nieco ponad pół godziny.

Atmosfera w zakładzie była bardzo dobra, mogłem liczyć na życzliwość i dobrą radę starszych współpracowników. Niebawem poznałem prężnie tu działające koła: PTTK i TKKF. W następnych latach powstał Zakładowy Klub Twórców i Kolekcjonerów, a z kolegami z innych wydziałów utworzyliśmy AKFF, czyli Amatorski Klub Filmowo-Fotograficzny.

Zakład rzeczywiście dbał o swoich pracowników i ich rodziny — dużym powodzeniem cieszyły się coroczne rajdy: tatrzańskie i beskidzkie oraz

Na odcinku kultury i turystyki współpracowaliśmy z teatrami. Z okazji 1 Maja, 22 Lipca czy Dnia Metalowca aktorzy Teatru Polskiego i Operetki Warszawskiej grali koncerty, a po występie zapraszaliśmy ich na kawę i koniak. Występowali dla nas: Anna Nehrebecka, Wiktor Nanowski, Mariusz Dmochowski, Stanisław Mikulski. Dział socjalny finansował stałe miejsca w Teatrze Wielkim, Teatrze Polskim, Operetce Warszawskiej, Teatrze Rozmaitości. Abonamenty przyznawano pracownikom według wydziałów. Dostawialiśmy też zaproszenia na premiery, po których spotykaliśmy się z aktorami. Pamiętam dyskusję z Ernestem Bryllem po spektaklu „Na szkle malowane”. W ramach współpracy aktorzy korzystali z wycieczek i ośrodków wczasowych w cenach oferowanych przez zakład.

W „Świerczewskim” pracownicy założyli młodzieżowy zespół gitarowy i zespół „Mikrony” — pięć osób z akordeonem. Działały koła zainteresowań: PTTK, filatelistyczne, wędkarskie, fotograficzne.

W wolne soboty, kiedy dziećmi opiekowały się przedszkolanki, starsi wyjeżdżali na wycieczki. Urządzaliśmy „Lato i Zimą w mieście”. Rocznie w „Świerczewskim” odbywało się około 100 wyjazdów wypoczynkowych.

Jeśli chodzi o dzieci, to gwałtowny rozwój wolskiego przemysłu, idący za nim wzrost zatrudnienia i napływ nowych mieszkańców, zaowocowały tłokiem w przedszkolach i szkołach. A tych na Woli nie było zbyt wiele. Jednym ze starszych przedszkoli jest placówka przy ul. Wolskiej 79. Przez długie lata wychowawczynią była tam Danuta Marcinkiewicz:

Patronat nad naszym przedszkolem miały zakłady Kasprzaka, także wiele dzieci miało rodziców w tych zakładach, ale też w Świerczewskim czy Nowotce. Te zakłady bardzo nam pomagały, jak trzeba było gdzieś pojechać, zawieźć dzieci, to dzwoniło się do Kasprzaka i od razu przyjeżdżał autokar z kierowcą. W tamtych czasach przedszkoli było mało, więc grupy były bardzo duże, ja miałam na przykład 47 pięcioletnich dzieci pod opieką.

Problemem tamtych czasów był całkowity brak pomocy naukowych, wszystko musiałyśmy robić same — my, opiekunki dzieci. Gdy w 1972 r. były igrzyska olimpijskie w Sapporo, to zrobiliśmy igrzyska w przedszkolu. Wszystkie niezbędne do tego przedmioty zrobiliśmy sami, pomagał nawet mój mąż.

Staraliśmy się, żeby dzieci poznały historię Woli, organizowaliśmy zawsze dni pamięci, chodziliśmy odwiedzać miejsca, gdzie rozgrywała się tragiczna historia dzielnicy. Pamiętam, że dzieci bardzo to przeżywały. A gdy na przykład był dzień żołnierza, to zapraszaliśmy prawdziwych wojskowych do przedszkola, oni przychodzili i opowiadali o swojej pracy.

Ponieważ władze nie były przychylne upamiętnianiu powstania warszawskiego, uczenie dzieci wojennej historii Woli było czynnością szlachetną, ale ryzykowną. Wszak były to czasy wszechobecnej kontroli, i nawet dzieci były pod obserwacją odpowiednich służb:

Kiedyś wydarzyła się nam taka przygoda. Na terenie dzisiejszych basenów na Moczydle było prywatne gospodarstwo ogrodnicze. Chodziliśmy tam z dziećmi podglądać pracę ogrodników, dzieci bardzo to lubiły. Raz, gdy wracaliśmy z Moczydła, wzdłuż Wolskiej, ulicą przejechał korowód pięknych, nowych aut w obstawie milicji. Potem dowiedziałam się, że to prezydent Nixon odwiedzał Warszawę



Grupa dzieci z przedszkola przy ul. Wolskiej 79 pod opieką Danuty Marcinkiewicz, lata 70. Fot. z archiwum Danuty Marcinkiewicz

— jechali zapewne z lotniska w Babicach. Dzieci bardzo się na ten widok cieszyły, machały do pasażerów, jak to dzieci — spontanicznie — a tamci odmachiwali. No i następnego dnia afera — z komisariatu telefon, czy to z naszego przedszkola dzieci witały prezydenta Stanów Zjednoczonych. Musiałam pojechać na komendę, gdzie mi zarzucono przestępstwo! Tłumaczyłam, że to nie było żadne oficjalne witanie prezydenta, tylko po prostu przechodziliśmy obok przypadkiem, ja nawet nie wiedziałam, że tego dnia jest wizyta. To była tylko wycieczka do ogrodnika na Moczydło, i trafiliśmy na przejazd kolumny aut z prezydentem, a dzieci są takie, że chętnie machają kierowcom, zwłaszcza takich ładnych samochodów, interesują się tym, są ciekawe. Dopiero jak pokazałam zapis w dzienniku, że faktycznie mieliśmy wtedy zaplanowaną wycieczkę na Moczydło, to mnie puścili.



Podwórko przy ul. Szlenkierów w 1953 r. (Anna Chabiera pierwsza z lewej). Fot. z archiwum Anny Chabier

Dzieci, które do przedszkola chodzić nie musiały, wolskim zwyczajem wychowywały się na podwórkach i placach zabaw. Anna Chabiera urodziła się i wychowała przy ul. Szlenkierów, tuż obok Placu Opolskiego:

Dla mnie niezapomnianym miejscem jest Plac Opolski, nazywany kiedyś Placem Budla, usytuowany pomiędzy ulicami Szlenkierów i Tyszkiewicza. Bardzo dawno temu, jeszcze przed wojną odbywały się tutaj dwa razy w tygodniu targi siana i słomy. Po wojnie było tam dużo piachu, nierówny teren, niekoszona trawa i gdzieś tam ławka, gdzie przesiadywali „koneserzy” piwa i własnej roboty skrętów. Urodziłam się i mieszkłam na ulicy Szlenkierów 5, czyli w domu tuż obok i biegałam na plac prawie codziennie. W wysokiej trawie bawiłam się z koleżankami w chowanego, ale najczęściej wyprowadzałam tam na spacer swoją lalkę. Liczba pojedyncza — prawidłowa. Byłam

szczęśliwa, że mam jedną własną lalkę. Wprawdzie bez włosów, tylko z pustym otworem w głowie, ale wkładałam jej czapkę i była piękna. Układałam ją w pudełku po butach z przywiązanym sznurkiem i z takim wózkiem maszerowałam na spacer na Plac Opolski. Do naszego domu przylegał mały drewniany pawilonik, gdzie urzędowali kominiarze. Po drodze rozglądałam się uważnie za jednym z nich, żeby złapać się za guzik na szczęście. Nie ma to jak właściwa lokalizacja zamieszkania. O zmierzchu przystawiałam do okna taboret, siadałam na parapecie i patrzyłam na starszego pana z bardzo długim kijem, który zapalał gazowe latarnie na ulicy Szlenkierów.

Szlenkierów 5 to przedwojenna mała kamieniczka, jakich jeszcze trochę uchowało się w tej okolicy. Nad bramą do dziś ma kapliczkę, ale latarni gazowych już nie ma. Tymczasem tuż obok, już na nowe osiedle, przy ul. Żytniej, w 1960 r. wprowadziła się czteroletnia Dorota Kukuć z rodzicami i siostrą. Przeprowadzka ze zniszczonej, ciasnej kamienicy przy ul. Żelaznej 65 do nowego, przestronnego mieszkania była dla rodziny radosnym wydarzeniem:

Na Żytniej, w porównaniu z Żelazną, było wspaniale. Cztery pokoje, łazienka, kuchnia, na podłozie była drewniana klepka. Nasi nowi sąsiedzi byli bardzo różni. Był na przykład krawiec, który szył garnitury dla całego domu, mieszkał też węglarz, którego wysiedlono z baraków przy Kaczej, pani, która handlowała na bazarze Różyckiego — pamiętam, że jej rodzina jako pierwsza w naszym domu miała samochód, „Warszawę”. Ale większość sąsiadów to byli ludzie spoza Warszawy, widać to było po tym na przykład, że imprezy rodzinne wyglądały jak wiejskie zabawy.

W domu na Żytniej udało nam się stworzyć atmosferę jak w przedwojennej kamienicy. Zawsze sobie pomagaliśmy wzajemnie, dzieci do wszystkich dorosłych mówiły: wujku, ciociu, do dziś tak jest.

Ja wychowałam się na podwórku, spędzałam tam z rówieśnikami jak najwięcej czasu. Mieliśmy dobrze urządzone podwórko — były drewniane huśtawki, piaskownica, drabinki. Każdej zimy wylewano nam lodowisko. Dziś w miejscu tego lodowiska stoi nowy budynek.

Jedną z ulubionych zabaw na podwórku było robienie „widoczków”. Kopało się dołek, do którego wkładało się wzorki z kwiatków, przykrywało szkłem, na ogół z potłuczonej butelki, i przysypywało się brzegi. Zwykle robiły to dziewczynki, a chłopcy psuli. I oczywiście bawiliśmy się w chowanego, głównie w piwnicach, które były budowane jako schrony i można było wejść jedną klatką, a wyjść inną.

Nowe osiedla na Woli powstawały w wielu miejscach, obrócona w gruzy dzielnica potrzebowała mieszkań. Jeszcze według przedwojennego projektu powstało osiedle „Koło-Wschód”, znajdujące się na terenach na północ od Glinianek Moczydła. Przesunięta granica dzielnicy objęła kawałek terenu po getcie, na którego gruzach powstało osiedle Muranów, trzymające się co prawda przedwojennej siatki ulic, ale o całkiem odmiennym charakterze, czyniąc z dawnej dzielnicy tętniącej handlem robotniczą sypialnię. W późniejszych latach systematycznie powstawały kolejne osiedla — „Koło-Zachód”, po zachodniej stronie Moczydła, „Koło-Sowińskiego”, wzdłuż ulicy Jana Olbrachta, „Koło-Górczewska” i „Osiedle Mszczonowska”. To ostatnie nazwę swą wzięło od dość odległej uliczki na Odolanach, pierwotnie bowiem miała się ona przebiec aż do ul. Górczewskiej i dalej na Bielany. O ile pierwsze osiedla, z lat 40. i 50., były budowane jeszcze metodą tradycyjną, i nie przekraczały wysokości 4 pięter, o tyle z biegiem czasu budowano coraz wyższe domy, co umożliwiało wprowadzana stopniowo wielka płyta.

W ramach czynu społecznego uporządkowana została wolska zieleń, przede wszystkim rewitalizacji doczekał się teren Moczydła. Usypana z gruzów Woli góra oraz sąsiednie glinianki przekształcone zostały w park, według typowych dla tamtych czasów założeń urbanistycznych — rozległy, z obiektami sportowymi, szerokimi alejkami, placami zabaw i zapleczem gastronomicznym.

Czyn społeczny był zresztą popularnym zjawiskiem na Woli. Dorota Kukuć mówi, że praktycznie całą zieleń wokół jej domu przy ul. Żytniej zasadzili lokatorzy:

Kopaliśmy ziemię pod trawniki, sadziliśmy kwiatki, drzewka. Właściwie wszystkie drzewa wokół osiedla zasadzili lokatorzy. Czyn społeczny był obowiązkowy, z każdego mieszkania musiała przyjść jedna osoba. Pilnowała nas taka pani, trochę jak dozorca w Alternatywy 4. Sprawdziała, czy pracujemy i czy wszyscy przyszli. Ale też nie przypominam sobie, żeby w przypadku absencji były jakieś konsekwencje.

W 1949 r. rozpoczęła się budowa Powszechnego Domu Towarowego Wola, zwanego w skrócie „Pedetem”. Miał to też być początek nowego centrum dzielnicy. Jak na owe czasy był to obiekt



„Widoczek” — odchodząca w niepamięć podwórkowa zabawa. Fot. Ola Drućkowska



Budowniczości osiedla Koło, 1947 r.
Fot. z archiwum Agnieszki Proszowskiej /
Wolskie Regionalia



**Powszechny Dom Towarowy na Woli, 2. poł. lat 50.
Fot. Zbyszko Siemaszko, Narodowe Archiwum Cyfrowe,
sygn. 51-257**

nowoczesny i dobrze zaopatrzony. Jego modernistyczna, udekorowana płaskorzeźbami bryła dominowała nad otoczeniem, na które składały się wówczas niskie, parterowe, w większości drewniane domki. Anna Chabiera uważa „Pedet” za jeden z najważniejszych budynków na Woli:

Miałam rok, gdy rozpoczęto budowę pierwszego domu towarowego w Warszawie. Starsza siostra wyprowadzała mnie na spacer i przyglądałyśmy się powstającej budowli. Przez wiele lat PDT Wola, przez wszystkich nazywany „Pedetem”, był miejscem, gdzie można było kupić wiele rzeczy niedostępnych w innych miejscach. W czasach PRL-u, gdy często witały nas puste sklepowe półki, tam zawsze można było coś znaleźć. Często, w różnych latach mojego życia odwiedzałam to miejsce. Przechadzałam się po piętrach i między stoiskami, w nadziei wypatrzenia czegoś interesującego.

O tym, że zaopatrzenie „Pedetu” było dobre, mówi też Dorota Kukuć:

Z „Pedetu” miałam wszystko to, co pierwsze. Pierwsza lalka, pierwszy fartuch do szkoły, pierwsze kozaki, pierwsze palto... Właściwie wszystko można było tam kupić.

A Marek Kwiatkowski, który w momencie otwarcia „Pedetu” miał 9 lat, z odległej ul. Boguszeńskiej, gdzie mieszkał, do „Pedetu” chadzał pod byle pretekstem:

Kiedy go otworzono, jeździło się po latarkę, zeszyt — cokolwiek, aby tylko być w tym dużym, nowoczesnym wtedy domu.



Obok „Pedetu” stanęło też kino, będące w pewnym sensie kontynuacją kinowych tradycji ul. Wolskiej, wszak przed wojną były tu blisko siebie aż trzy kina — Helios (ul. Wolska 8), Roxy (ul. Wolska 14) i Italia (ul. Wolska 32). Kino nazwano W-Z — od ówczesnej flagowej inwestycji drogowej, trasy W-Z. Do tego nowoczesnego obiektu mieszkańcy chodzili chętnie, choć zdobycie biletów łatwo nie było:

Wyjście do kina W-Z to była zawsze atrakcja, oglądałam tam najlepsze filmy, „Pana Wołodyjowskiego”, „Winnetou” czy filmy z Louisem de Funèsem. Do kas były kolejki, zawsze przed kinem stały „koniki”. (Dorota Kukuć)

To było kino cacko! Pamiętam, jak przed filmem grali *Speedy Gonzales* Pata Boone’a. W środku był okrągły hol i sprzedawano tam książki. (Marek Kwiatkowski)

**Kino W-Z przy ul. Wolskiej.
Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy**

A Lilka Wiankowska dodaje:

Do kina W-Z chodziliśmy, to była wielka frajda, ale zdobyć bilety było ciężko. Kolejki były wielkie, poza tym zwykle największa pula biletów była zarezerwowana dla pracowników wolskich zakładów przemysłowych.

Jeśli chodzi o kina, to oprócz działającego na terenie osiedla budowniczych Pałacu Kultury kina „Dar” działało jeszcze kino „Reduta”, przy ul. Gizów, na terenie dawnej fabryki „Dobrolin”. Pamięta je Marek Kwiatkowski:

Do kina „Reduta” chodziłem z rodzicami na poranki i filmy. Pamiętam, że byłem z mamą na „Królowej Margot”. Dziś nie ma już tego budynku, w jego miejscu stanęło nowe osiedle.

Wspomniana trasa W-Z, flagowa inwestycja drogowa powojennej Warszawy, przebijając się przez Wolę, ostatecznie pogrzebała przedwojenny Kercelak, i tym samym dzielnica straciła swój najbardziej charakterystyczny plac handlowy. Budowa trasy zmieniła układ ciągów komunikacyjnych — do Śródmieścia nie jeździło się już ul. Wolską i ul. Chłodną, ale nową trasą, odchodzącą od starego przebiegu ul. Wolskiej i wchodzącą w dawne Leszno na wysokości ul. Wroniej.

Zmiany w wolskiej komunikacji były oczywiście dużo większe. Ul. Karolkowa przestała być ważnym traktem północ-południe, stając się lokalną, pociętą na trzy fragmenty uliczek. Ul. Ogrodowa skończyła się ślepo od strony ul. Towarowej, podobnie ul. Pańska. Na znaczeniu straciła też ul. Grzybowska, bo przez tereny bocznic kolejowych przebiła się dawna ul. Dworska, aż do ul. Prostej, przyjmując imię Marcina Kasprzaka. Ul. Prądyńskiego została ucięta przy torach kolejowych, ul. Krochmalna — przy ul. Żelaznej. Na początku lat 60. zlikwidowano linię tramwajową wzdłuż ul. Bema. Niedługo potem tramwaje na zawsze opuściły ul. Żelazną.



Tory tramwajowe w ul. Bema. Ostatni tramwaj przejechał nimi na początku lat 60., 2012 r.
Fot. Jarek Zuzga

Pod koniec lat 50. na działce między ul. Ludwiki i ul. Wolską, przy wsparciu wolskich zakładów przemysłowych (przede wszystkim zakładów im. Świerczewskiego), powstał stadion sportowy „Sarmata”, będący kontynuatorem sportowych tradycji przedwojennego klubu o takiej samej nazwie. Obiekt ten od początku służył nie tylko klubowi, ale przede wszystkim mieszkańcom Woli. Tu na zajęcia wychowania fizycznego przychodzili uczniowie ze szkoły przy ul. Bema i dzieci z przedszkola przy ul. Wolskiej 79. „Sarmatę” wspomina Anna Chabiera:

Wspomnienia o tym miejscu sięgają jeszcze czasów przedwojennych. Mój tata opowiadał, jak z zaprzyjaźnionymi sąsiadami grywał tam przed wojną w piłkę. Po wojnie organizowano na tym stadionie różne zawody sportowe dla okolicznych szkół. Chodziłam wtedy do szkoły podstawowej nr 63 na ul. Lumumby (obecnie Płocka). Zawsze szybko biegałam. Pamiętam doping kolegów z klasy, gdy pierwsza wpadałam na metę. Potem dorosłam, pomieszkowałam krótko w różnych miejscach Warszawy, aby



I drużyna RKS Sarmata, 1960 r.
Fot. z archiwum Czesława Sobiecha

w wolskich fabrykach szła pełną parą. „Kasprzak” produkował magnetofony, najpierw szpulowe, potem kasetowe, w które zaopatrywała się Polska od morza do Tatr. Browary Warszawskie otrzymały licencję na coca-colę, która w szarej rzeczywistości Polski Ludowej okazała się hitem sprzedaży. W wybudowanych na byłym Placu Kazimierza Zakładach Graficznych „Dom Słowa Polskiego” liczba drukowanych książek szła w dziesiątki, a czasopism — setki milionów egzemplarzy rocznie.



Ustawianie popiersia Marceliego Nowotki przed zakładem jego imienia. Fot. z archiwum Edwarda Kołodziejczyka

w końcu wrócić na Wolę i osiąść na ul. Wolskiej, w pobliżu stadionu Sarmata. Teraz już trzecie pokolenie w mojej rodzinie korzystało z tego miejsca. Z moim synem w wózku okrążałam bieżnię w ramach spaceru, potem mój kilkuletni syn grywał tam z kolegami w piłkę, a jako nastolatek, zimą grał na sali stadionowej w kosza i ping-ponga.

Pamiętam też coroczne ćwiczenia straży pożarnej na tym stadionie. Pełno małych chłopców przeciskało się, żeby obejrzeć wielkie czerwone wozy strażackie i podziwiać strażaków i ich działania.

Klub „Sarmata” największe sukcesy odnosił w latach 70., miał wówczas sekcje od lekkoatletyki po warcaby. Stadion przy ul. Wolskiej 77 podupadł w latach 90.

Lata 70. i epoka gierkowska przyniosły Woli rozwój, co prawda na kredyt, ale faktem było, że produkcja

W 1973 r. przed zakładami im. Nowotki stanęło popiersie patrona autorstwa artysty rzeźbiarza Gustawa Zemły. Na terenie zakładu artysta urządził sobie czasową pracownię. I tu właśnie stworzył najpierw popiersie patrona zakładów, a następnie pomnik „Polegli Niepokonani”, odsłonięty w 1973 r. na Cmentarzu Powstańców Warszawy, oraz „Pomnik Czynu Polaków”, który stoi na Jasnych Błoniach w Szczecinie – wszystkie odlane przez nowotkowskich odlewników w zakładowej odlewni. Edward Kołodziejczyk wspomina:

Tak się złożyło, że dyrektor Andrzej Kajka, będąc członkiem Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie zetknął się tam ze znanym już wówczas rzeźbiarzem, profesorem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, Gustawem Zemłą, autorem m.in. „Trzech Skrzydeł” — monumentalnego pomnika upamiętniającego trzy powstania śląskie, stojącego tuż przy katowickim „spodku”. Dyrektor Kajka udostępnił profesorowi Zemle fragment nowo wybudowanego magazynu, gdzie artysta wyrzeźbił w glinie najpierw 3-metrowej wysokości popiersie patrona zakładu Marceliego Nowotki, odlane w zakładowej odlewni i ustawione na

wysokim postumencie przed zakładem (po zmianach ustrojowych usunięte), a następnie postać rannego „powstańca” broniącego do ostatka wyrwy w powstańczej barykadzie, czyli pomnik „Polegli Niepokonani” zdobiący Cmentarz Powstańców Warszawy. Profesor rzeźbił model w glinie, następnie sztukatorzy wykonywali, dającą się podzielić na kilkadziesiąt elementów, kopię z gipsu. Gipsowe elementy pomnika trafiały następnie w ręce zakładowych formierzy i odlewników, którzy po odlaniu elementów w brązie łączyli je w ostateczny pomnik.

W tych latach bardzo rozwinęło się budownictwo mieszkaniowe, przede wszystkim za sprawą wybudowania trzech wielkich osiedli. Jelonki, Łazurowa i Górczewska, bo tak je nazwano, powstały dosłownie na polach uprawnych dawnych podwarszawskich wsi, włączonych do Woli w 1951 roku. Te kompleksy mieszkaniowe zdeterminowały charakter całej zachodniej części dzielnicy, tworząc z niej wielkie osiedla-sypialnie. Od początku planowano tu stację metra, u zbiegu ul. Człuchowskiej i ul. Łazurowej. Cztery pasy ulicy, na której dziś funkcjonuje głównie ruch lokalny, kończące się ślepo w polu, to właśnie ślad po tym zamierzeniu. W rzeczywistości osiedla długo musiały czekać na linię tramwajową, aż do lat 90., o metrze nie wspominając.

Na Jelonkach zamieszkało wielu pracowników pobliskich zakładów im. Nowotki. Edward Kołodziejczyk był jednym z nich:

W drugiej połowie lat 70. pracownicy otrzymywali mieszkania budowane na terenach położonych na zachód od zakładu – na Jelonkach i Chrzanowie (wtedy to jeszcze była Wola). Jeden z bloków budowanych przy ul. Rozłogi był w całości przeznaczony dla pracowników „Nowotki”, ale w innych też zamieszkało sporo naszych pracowników. Każdy z przyszłych lokatorów budynku przy Rozłogi był zobowiązany przepracować 300 roboczogodzin przy jego budowie. Były to oczywiście prace pomocnicze, takie jak: budowanie ścianek działowych w piwnicach, czyszczenie klatek schodowych i malowanie lamperii oraz mycie okien. Również po wprowadzeniu się było normalną praktyką, że popołudniami pracowaliśmy społecznie przy porządkowaniu terenu po budowie, sadzeniu zieleni, urządzaniu placów zabaw dla dzieci itp. To było bardzo budujące, pomagaliśmy sobie wzajemnie — jak w rodzinie, bezinteresownie. Teraz może trudno w to uwierzyć, ale do pomocy przyjeżdżali także koledzy z zakładu mieszkający w innych częściach naszego miasta. Do dziś, mając w pamięci tamtą bezinteresowną uczynność — i właśnie dlatego – z dumą powtarzam, że należałem do wielkiej, zakładowej „rodziny nowotczan”...

Nieopodal bloku pana Edwarda, przy ul. Wyki, od 1976 r. mieszkał Maciej Bednarek. Miał to szczęście, że wtedy Jelonki były pełne dzieci, więc na osiedlu nigdy nie było nudno:

Błokowisko, głównie robotnicze rodziny. Nasz blok był jednym z największych na całych Jelonkach (12 pięter i sześć klatek), dlatego



**Budowa osiedla „Łazurowa”.
Fot. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy**



**Budowa linii tramwajowej na Jelonkach, 1991 r.
Fot. Antoni W. Szafrński / Cyfrowe Archiwum Bemowa**

mieszkało w nim sporo dzieciarni. Dzieciaki z bloku trzymały się razem. Ci z okolicznych bloków to już byli obcy. Wielkim przeżyciem były np. mecze piłki nożnej: my kontra chłopaki z innych bloków. Zawsze przegrywaliśmy, ale braliśmy to na wesoło.

Dużo dzieciaków w jednym miejscu oznaczało, że zawsze było co i z kim robić. Wychodził jeden z piłką nożną, gwizdnął, krzyknął i za chwilę były pełne składy do gry. Robiliśmy różne rzeczy. Modna zawsze była piłka nożna (graliśmy na trawniku między blokiem przy ul. Wyki 1 a ul. Człuchowską), gra w kwadraty (w to się grało pod klatką). We wcześniejszych latach 80. graliśmy w kapsle, robiliśmy łuki, proce itd. To były takie okresowe mody. W ciepłe letnie wieczory bawiliśmy się w chowanego. Z okien co chwilę wychylał się jakiś rodzic i krzyczał, żeby wracać do domu.

Pamiętam, jak kiedyś zrobiono nam boisko z prawdziwego zdarzenia, z bramkami (bez siatek). Przyjechał spychacz, a wszystkie dzieciaki pomagały wyrównywać teren, zbierać kamienie, sadzić trawę. Boisko ostało się chyba z rok, bo potem na jego miejscu stanął komisariat nr 15.

Na początku lat 80. w okolicy było jeszcze sporo miejsca po terenach budowlanych — wertepy, kanały, leżące gdzieś płyty (półfabrykaty do budowy bloków), czyli dla dzieciaków idealne miejsca do zabawy.

Ta „nowa Wola”, z jej blokowiskami i wielkimi zakładami przemysłowymi, stała w kontraście do istniejącej wciąż dawnej Woli i jej kolorytu. Mimo „starań” projektantów, urbanistów i polityków, klimat przedwojennej dzielnicy utrzymywał się w wielu miejscach, tworząc kontrasty, które do dziś są charakterystycznym elementem dzielnicy. Jedną z takich osób, które kultywują wolskie tradycje, jest Janusz Dziano, współtwórca projektu „Gwara Warszawska”. Warto posłuchać jego napisanych piękną gwarą warszawską wspomnień o świętach spędzanych na Woli:

Bo magia tego święta polegała na tym, że w domu pojawiały się elementa na co dzień nieobecne lub widywane jak meteor na niebie czy kawior w WSSie. Z rzadka lub absolutnie prawie wcale.

Zadziwiającym było to, że potrafiliśmy się cieszyć każdym drobiazgiem. Dla nas dzieciaków to były skarby cenniejsze niż futbolówka, celna proca czy ołowiana „Zośka”.

Pierwsza magia to świąteczna choinka. Jej zapach, kolor, tysiące igiełek i błyszcząca wśród gałązek żywica. Czarodziejskie drzewko, pod którym to główny sprawca dziecięcej radości — Świętym Mikołajem zwany — niespodzianki różnej maści w prezencie nam zapodawał. Oczywiście sprawa, że nie co roku ten czarodziej miał odpowiednią ilość złociszów na zaspokojenie naszych niewąskich oczekiwań ale... takie czasy byli, nawet dla Mikołaja. On pewnie by chciał.

Na zakup teżej ślachtetnej rośliny udawałem się z moją Matulą, gdyż starszego więcej w domu nie było jak był. Takie miał prace... Warsiaski taryfiarz w służbie MPT i miejscowej ludności. Trafic ładne choinki w naszej okolicy to nie była sprawa prosta. Jak kto trafił na dowózkę, to przynajmniej wybór w chojakach posiadał. Później to brało się co w ręce wpadło i też była radość ogromna.

Ja z Matulą chodziłem na ulice Żelazne, pomiędzy Grzybowskię a Łuckie. Tam — za dawnym browarem — był placzyk, na który okoliczne wozaki owe drzewka dowoziły, czem Wolskiej ferajnie przedświąteczny czas skutecznie urozmaicały. W jedną stronę — z Bogiem sprawa



Świąteczna dekoracja w oknie kamienicy przy ul. Łuckiej, 2006 r. Dziś ten dom jest opuszczony. Fot. Jarek Zuzga



— czerwoniakiem można było podjechać, lecz w drodze powrotne tylko sanki, wspomaganie na dwu płozach dawały. Bo jak z takim wymiarowem drzewem w komunikację się pasować, nieporęcznie i gałązki złamać można. Ale to już pestka z dyni ciepłem mleczku moczona. Niech kumploszczaki filują, jak wielkiej urody drzewko do domu jedzie i ile miejsca pod nim dla prezentacji Mikołaj skutecznie może.

Drugą magią był rzecz jasna sam Święty — Mikołajem niezmiennie zwany. W zależności od tego, ile przychówku kamienica posiadała, sąsiedzi ustalały te zaszczytne fuche pomiędzy sobą. Raz był przypadek taki, że wybrany na ten chwalebny występ sąsiad akuratnie dwa górne przednie stracił, przez co reputację świętego na szwank mógł wystawić. Reszta sąsiadów — pci do tego zajęcia odpowiedniej — dzieciarnia już na szerokim rozkładzie miała. Ale co parafia za parafia. Nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko trudne i trudniejsze.

Z pobliskiego domu chętny na podmiankie się znalazł i było cacy... a nawet lepij. Kobitki oczętamy za nowem szczekały, bo to zawsze na nowinkie wrażliwsze były, dzieciaki wniebowzięte obecnością świętego, a starszyzna... sposobność do skutecznego przetarcia szkła wykorzystać mogła.

Pewnego roku, w naszym okolicznym przedszkolu, śmieszna sytuacja wydarzenie znalazła. W dniu dla wszystkich dzieciaków uroczystem — bo wizyta Mikołaja to nie w kij pierdział — pani derekja zapowiedziała swoim wychowankom, że w progi nasze zawita z podarkami... Dziadek Mróz. Akuratnie tak się złożyło, że w naszym domu zamieszkiwał samotny jegomość — słusznego już wieku — o meteorologicznym nazwisku Mróz. Ale wcale nie był taki mroźny i groźny jak by przypuszczać można było. Cała okolicyzna ferajna, w krótkich portkach i kusych spódniczkach biegająca, „dziadku” — przez szacunek do wieku i z czystej sympatii — do niego mawiała.

Dziadek Mróz spod ósmego, to była postać doskonale znana. Jak goła podszewka we własnej kieszeni. Derekja wstępnie zagaiła, że kiedyś i owszem Mikołaj do dzieci w święta zaiwaniał ale teraz to Dziadek Mróz w odwiedziny do nasz przychodzi, a kocha dzieci równie a nawet mocniej i jednakowoż wszystkie po równo.

Ciekawość szyje nam w chińskiego paragrafa powichrowała. W oczekiwaniu na tego miłośnika Wolskiej dzieciarni gubiliśmy się w domysłach. Zapadła cisza a po chwili rozległy się szepty z naszych zwartych bojowo szeregow, na poziomie podłogowej klepki zasiadających. Oczęta w „rybaka” wszystkie postawiły, jak na udekorowane salkie wszedł zupełnie nam pod naszego dziadka Mroza nie podchodzący jegomość.

„To nie jest nasz dziadek Mróz” — jak jeden mąż wrzasnęła moja ferajna.

Zrobiło się zamieszanie jak przy biblijnym stworzeniu świata, a po chwili — na skutek interwencyjnego wkroczenia derekji — zapadła cisza.

Karawaniarz na swem pogrzebie nie zapoznał się z takim sztywnym podejściem, jak ten derekcyjny Dziadek Mróz.

Dłuższe chwilkie — po tem całym zdarzeniu — nasze starsze tłumaczyć się musiały, że żadnej wrogiej roboty dzieciaki wykonać nie planowały i prywatnie do jegomościa antypatii nie chowają.

Że znają osobiście Antoniego Mroza — naszego sąsiada — i z wielką miłością go w poszanowaniu traktują. Pewnikiem z jego osobą ten szczególny przypadek skojarzyć mogły i stąd całe zamieszanie.

Derekcja dała w końcu za wygrane, ale smrodek poszedł po parafii i po jakimś czasie odeszła na inne ważne placówki oświatowe — poza Warszawę. Jednym słowem... „poszła skąd przyszła” i szlus.

Magia z trzecim numerkiem, to łakocie słodczą wabiące oraz owoce, jedynie na Bazarze Różyckiego do legularnego nabycia możliwe. W tak zwanym „delykatesie” — na Wolskiej przy Płockiej — a i owszem bywały słodkości oraz wszelkie dobra niecodziennego spożycia. Ale nasze rodziciele — jak ten Mikołaj — za wiele floty na takie cudenka przeznaczyć nie mogli.

Za to w święta... insza sprawa. Ten czas swoim prawem się w okoliczność pasował.

Każden jeden szanujący się Warszawiak, uszami wspomaganie łapał. Bo na świątecznym stole i na choince, słodczy czy innych frykasów dla dzieciaków brakować nie mogło. Skromnie — bo na miare własnych kieszeni, czy obfitości przedświątecznej premii w zakładzie pracy otrzymanej.

To też wiszące na choince cukierki — w kształt sopli robione i kolorowym „sreberkiem” okręcone — pomarańczki, mandarynki, mięszanka od Pana Wedla... mmmm... to był cud mniód tych wspaniałych, pachnących chwil.

Choć nikt z dzieciarni tak na prawdę nie wiedział, ile zachodu i wyrzeczeń naszych „staruszków” to wszystko kosztować mogło, w skrytości serducha czekał na tę okoliczność.

I ostatni, bodaj najważniejszy element tych szczególnych, grudniowych dni.

Wieczorna kolacja z rodziną i bliskimi. Małoletnie w oknie jak Szpaki na krzaku, w oczekiwaniu pierwszej gwiazdki oczęta wypatrywały. Mamy i babcie w kuchni — na przygotowania do wieczery i ogień pod fajerą baczenie miały. Ojcowie i dziadkowie, w kłębach dymu z cygaretów i końcowych ustaleniach przed obowiązkową Pasterką.

Tego wieczora z koleżkami, pod śmietnikiem, po raz ostatni się spotykałem, bo śmieci w Wigilijny wieczór w domu być nie mogło. Taki zwyczaj i nie ma zmiłuj.

Wreszcie pojawiała się gwiazdka, upragniona oznaka świątecznej wieczery. Kobitki elegancko odprasowane, perfumem pachnące. Panowie pod krawatem i w garniturze, w glancowanym obuwiu. Dzieciarnia po ostatnim ręk przegładzie, czyste jak rzadko kiedy. Wszyscy zasiadali do stołu, w biały obrus przybrany oraz w sianko i jemiole, wedle starej tradycji zaopatrzone.

Potem opłatek, życzenia i kołędu. Wszechobecny zapach grzybków, kapustki z grochem, smażonej rybki i pierogów. Obowiązkowy kompocik z suszonych owoców — dla poprawy strawności tych specjałów i łatwiejszego „wydechu” w dniach kolejnych.

Najstarsze w pierwszej kolejności opłatkiem się łamali, potem średnie i my dzieciarnia. Wszystko w niezmiennym od lat obyczaju się układało. W miłości i radości, że przeżyliśmy wspólnie kolejny rok.

Oczekiwanie na Mikołaja i szalona radość z podarunków. Bombki na choince — pamiętające młodość mojej mamy. Kolorowe łańcuchy własnoręcznie w przedszkolu na Działdowskiej klejone, blask płonących świeczek i smużki śniegu na świerkowych gałązkach — z waty w dekoracje przeznaczone.

To była największa magia tych świąt, tak trwale w pamięci zapisana.

Niestety, im bliżej schyłku PRL-u, tym więcej niszczonego tego, co przedwojenne, tradycyjne, oryginalne, kojarzące się ze starymi czasami. Dobrym przykładem są właśnie osiedla — te z lat 40., 50. powstawały zwykle z uwzględnieniem przedwojennej, zachowanej zabudowy, takie przykłady mamy na Kole czy na Muranowie.



Przedwojenny dom przy ul. Jana Olbrachta 16.
W tle bloki z lat 70., 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Potem, gdy zaczęły powstawać bloki z wielkiej płyty, nie przejmowano się zupełnie kontekstem, choć wciąż stara zabudowa była zachowywana — tak mamy np. na osiedlu „Koło-Sowińskiego”, gdzie pomiędzy przytłaczającymi dziesięciopiętrowymi blokami stoją małe, ceglane, przedwojenne domki. W latach 70. i 80. z kolei pod nowe osiedla burzyło się praktycznie wszystko, żeby budowę rozpoczynać na kompletnie czystym terenie.

Jedno z takich osiedli powstało na terenie Sadurki, jak okoliczni mieszkańcy zwali łączkę między ulicami Skierniewicką i Płocką, leżącą częściowo na działce po halach Ursusa. Miejsce to wspomina Janusz Dziano:

Zacznę od strony, jaką robiłem z rodzicami pierwsze spacer. Po wyjściu z bramy Cefarmu — tam mieszkaliśmy — kilka kroków do Skierniewickiej, a za nią było wejście na Sadurkę. Wejście to kilka szerokich schodów, ułożonych z płyt chodnikowych. Schody być musiały, teren był około metra powyżej chodnika i jezdni. Wzdłuż Skierniewickiej porastały go strzeliste topole, wierzchołkami przewyższały mój dom.

Idąc w kierunku Płockiej, to podwyższenie się kończyło. Były kolejne schodki, a z boku dość spory odcinek, z którego w ziemie dzieciarnia bezpiecznie zjeżdżała na sankach. Z prawej i lewej strony stał ceglany mur, który ciągnął się na połowę odległości do ulicy Płockiej. W lecie na teren Sadurki przychodziło sporo ludzi — głównie rodzice i dziadkowie ze swymi pociechami. Żwirowe alejki i ławki dawały namiastkę parku, jedyne w tym rejonie.

Na ten „park” wszyscy mówili Sadurka. Na Sadurkę szło się pograć w piłę, puszczać rakiety „napędzane” saletrą, tam w Wielkanoc waliło się z karbidu w puszkach po kostkach Maggi.

Przez Sadurkę chodziliśmy do magła pana Marchewki, który mieścił się w suterynie kamienicy na Płockiej pod numerem trzecim. Tej drewnianej, piekielnej maszyny na korbę, nigdy nie zapomnę.

Po drugiej stronie ulicy Płockiej był sklep mięsny „Konsumy”. Miejsce o tyle ciekawe, że wstęp do niego mieli wybrańcy. Szyby na sporej wysokości, zamalowane były na białą. Po co drażnić publiczność — choć w latach 60. z mięsem i wędlinami nie było tak tragicznie jak później.

W rejonie tej kamienicy — na kierunku do Skierniewickiej — stała drewniana estrada. W tamtych czasach sobota to był szósty dzień pracowitego tygodnia. I jak to wtedy mawiano, „Przy sobocie, po robocie”. Pod estradę na Sadurce zjeżdżał autokar z artystami i muzykantami. Mieszkańcy okolicznych domów dość tłumnie rozkładali się z kocykami na trawie. Taki niedzielny piknik, który trwał do godzin wieczornych.

Co jeszcze zapamiętałem z tej okolicy? Komórki z królikami, które stały na tyłach kamienicy Skierniewicka 11, fabryczkę gumek do ścierania na posesji Płocka 11 i rzecz jasna Polskie Nagrania — tam zbieraliśmy brakowe płyty gramofonowe. Żwirową uliczkę Ludwika, którą chadzałem do szkoły na Bema lub do przejścia przez płot na teren Sarmaty.

Od strony ulicy Skierniewickiej, w kierunku Wolskiej, znajdowały się pozostałości przedwojennego PCK i Ursusa. W latach 50. i 60. na tym terenie znajdowały się garaże Pogotowia Ratunkowego i Baza Opakowań „Cefarmu”.

Z opowiadań sąsiadów wiem, że przed wojną na terenie Sadurki były „dzikie” ogródki warzywne. Marchewka, czy inna roślina warzywna, zawsze się przydała. Ziemię uprawiali okoliczni mieszkańcy z Wolskiej, Płockiej i Skierniewickiej.



Zbudowane na terenie Sadurki osiedle przy ul. Płockiej, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Na osiedlu przy ówczesnej al. Rewolucji Październikowej, wśród nowych bloków i w sąsiedztwie zakładów im. Świerczewskiego, wychował się Marcin Kęska. W barwny sposób opisuje trudności życia na peerelowskim osiedlu, gdzie nic nie działało jak trzeba, a gdzie spędził szczęśliwe lata dzieciństwa i gdzie przetrwał kawałek przedwojennego klimatu Woli:

Mieszkalem w jednym z pięciu czteropiętrowych bloków stojących bokiem do tej właśnie ulicy, pod nr 91. Z racji tego, że budynki były identyczne, nasze określenia lokalizacyjne sprowadzały się do pierwszego, drugiego, trzeciego podwórka itd. W tym miejscu wychowała się również moja mama, farba na ścianach klatki schodowej pamiętała jej dzieciństwo, jak teraz to wspominam, to uświadamiam sobie, że budynek był mocno zaniedbany, ale nie pamiętam, żeby ktoś na to specjalnie narzekał. W mieszkaniu na parterze przytrafiały się różne śmieszne historie związane z ogólnie rzecz biorąc kiepską kondycją bloku, bulgot z rur kanalizacyjnych oraz cofająca się z nich woda nikogo nie dziwiły, tak samo jak notoryczne przecieki z rur dostarczających wodę do całego pionu — sufitu w łazience nie warto było odmalowywać, gdyż i tak po paru tygodniach pojawiała się na nim plama od zalania. Natręctwem była również źle zamocowana rynna, która podczas silnych powiewów wiatru (na ogół w czasie burzy) notorycznie urywała się w całym pionie budynku, powodując zalania wszystkich mieszkań, w tym naszego. Zawsze zastanawiała mnie również sprawa grzejnika znajdującego się na naszej klatce schodowej. Pewnego dnia został on oficjalnie zdemontowany i już nigdy nie wrócił na swoje miejsce, pozostałe po nim rury zostały zaślepione. Zimą jedno z zaślepień rozszczelniło się i gorąca woda pod dużym ciśnieniem zaczęła zalewać klatkę schodową uniemożliwiając jednocześnie przejście. Trwało to kilka godzin, gdyż pogotowie ciepłownicze nie paliło się do przyjazdu, z drzwi klatki schodowej buchały na zewnątrz kłęby pary, musiało to wyglądać dość komicznie, zwłaszcza dla przechodniów. Urokliwa była również piwnica, można tam było znaleźć w głównym korytarzu przeróżne skarby znoszone przez sąsiadów (i nie tylko) z całej okolicy. Takich historii było jeszcze dużo, w każdym razie ani ja, ani moi rodzice nie wspominaliśmy ich nigdy negatywnie, raczej budziły uśmiechy.

Na terenie osiedla, wkomponowana pomiędzy dwa powojenne bloki, ostała się jedyna przedwojenna kamienica, pod adresem Wolska 109. Dom należał do braci Ordowskich, którzy obok, pod numerem 111 mieli warsztat samochodowy. Ocalała, mimo że Niemcy ją podpalili — utrzymali ją kleinowskie sklepienia:



Lokale usługowe i sklepy pod numerem 109 miały tylne wyjścia od strony podwórka (ul. Tylna). Po wojnie brama tejże kamienicy została zamurowana i powstała tam (od strony podwórka) specyficzna wnęka, zwana „światlicą”, w której zawsze stała osiedlowa ławka. Było to miejsce lokalnych spotkań towarzyskich, często przeciągających się do rana, najintensywniej chyba na początku lat dziewięćdziesiątych. Budynek pod numerem 109 był dla mnie zawsze dość ciekawy, od strony ul. Wolskiej znajdowały się na parterze lokale usługowe (rymarz, krawiec, szklarz, fryzjer) oraz sklep warzywniczy, śmiało można było stwierdzić, że te punkty istniały tam „nie od wczoraj”. Krawiec, warzywniak, szklarz (chyba) oraz fryzjer istnieją do dziś (strzygę się tam regularnie, jak w czasach dzieciństwa), u krawca

**Ul. Wolska 9, przedwojenna kamienica
wkomponowana między powojenne bloki,
2013 r. Fot. Jarek Zuzga**

witryna nie zmieniła się ani trochę, wygląda jak sprzed ładnych kilkudziesięciu lat. W budynkach wybudowanych po wojnie natomiast lokale usługowe zmieniały się dość często, jedyne, co pozostało jak dawniej, to sklep spożywczy „Społem” pod numerem 105/107. Widać doskonale, jak na tym małym skrawku tradycja nie pozwoliła wygasnąć starym „biznesom”.

I podobnie jak przed wojną Lilka Wiankowska przy ul. Pańskiej, Anna Chabiera w latach 50. na Placu Opolskim czy Dorota Kukuć w latach 60. przy ul. Żytniej, pokolenie Marcina Kęski było kolejnym, które podtrzymywało tę starą wolską tradycję spędzania maksimum czasu na podwórkach, przy zabawach przez siebie organizowanych:



Podwórko przy ul. Tylnej, tutaj było „nieoficjalne” boisko do gry w piłkę, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Na środku naszego podwórka znajdował się okrągły trawnik, zwany przez nas „klombem”. Graliśmy na nim w piłkę nożną, bramkę z jednej strony wytyczały krzaki, a z drugiej drzewo i kamień lub coś innego, co akurat znalazło się pod ręką. W latach 90. cała przestrzeń zaczęła wypełniać się samochodami i sąsiedzi nie byli zadowoleni, gdy co chwilę piłka wpadała w ich auta. Na klombie graliśmy również w „Ziemię”, potrzebny był do tego szczyryk, którym rysowało się okrąg, następnie dzieliło się go symetrycznie na „państwa” dla wszystkich graczy. Po kolei rzucaliśmy nożem w ziemię i każdy szczęśliwiec, który go wbił, mógł zagarnąć coraz to większe kawałki do swojego mocarstwa. Jeśli czyjaś powierzchnia stawała się tak mała, że nie można było na niej stanąć, zawodnik odpadał. Kolejną grą podwórkową była zabawa w chowanego. Momentami dochodziło do tego, że bawiło się kilkadziesiąt osób, jedna runda mogła trwać nawet kilka godzin. Przed rozpoczęciem ustalaliśmy obszar — z jednej strony ograniczały nas budynki wzdłuż ul. Wolskiej, z drugiej al. Rewolucji Październikowej (Prymasa Tysiąclecia), z trzeciej ul. Grabowska — umawialiśmy się, do „którego podwórka” się bawimy. To było w latach szkoły podstawowej, we wcześniejszym okresie szalem były piaskownice (mieliśmy dwie), zwłaszcza kiedy przyjeżdżał świeży piasek. Co roku w wiosenne dni toczyły się żywe dyskusje dotyczące terminu przyjazdu wywrotki. Później były już tylko wykopki, piramidy, mosty i garaże dla „resoraków”. Pod koniec szkoły podstawowej kreatywność biła wszelkie rekordy. Na podwórku powstało boisko do koszykówki, zbudowane właściwie własnymi siłami, wybudowaliśmy również własny stół do tenisa stołowego (za nogi posłużyły bloczki używane do przebudowy naszej podstawówki czyli S.P. nr 132 przy ul. Grabowskiej), a za blat duża drewniana czy sklejkowa płyta, którą ktoś wystawił przy śmietniku. W późniejszym okresie w Warszawie pojawiły się betonowe stoły stawiane w różnych rejonach, my również taki „dostaliśmy”. Najpopularniejszy był tzw. „wariat”, głównie z racji dużej frekwencji, często rakietek mieliśmy mniej niż chętnych, ale nie stanowiło to problemu, gdyż wymienialiśmy się między sobą, czas oczekiwania między kolejnymi odbiciami był tak długi, że każdy spokojnie mógł przekazać rakiетkę kolejnej osobie. Przez moment mieliśmy również własny prowizoryczny kort tenisowy, linie zostały namalowane farbą, a za siatkę służyła linka. Na początku lat 90. bardzo popularna była również gra „w kapsle”, malowaliśmy nawet farbą tory do wyścigów oraz boiska do gry drużynowej, rozpowszechniony był handel wymienny, jak się okazuje, kapsel kapslowi nierówny.

Praktycznie każdy jeździł wtedy na rowerze. Często organizowaliśmy kilkunastoosobowe „wyprawy” przez całe osiedle, gęsiego, przez trudne do przebycia tereny, np. wzdłuż nasypu kolejowego przy ul. Kasprzaka, były także gonitwy „policjantów i złodziei” czy forsowanie prowizorycznego szlabanu granicznego chronionego przez celników, również na rowerach.



Zielone tereny w miejscu dzisiejszej estakady Trasy Toruńskiej. Z lewej strony widoczny słup trakcyjny obsługujący nieistniejącą pętlę tramwajową przy ul. Wolskiej, 1989 r. Fot. z archiwum Pawła Starewicza (na zdjęciu)

Kolejną osiedlową atrakcją była „górką”, a właściwie nasyp kolejowy, zaraz za nieistniejącą dziś pętlą tramwajową:

Wzdłuż al. Rewolucji Październikowej (ulica była wtedy wąska, miała tylko dwa pasy) ciągnęły się tory tramwajowe. Na wysokości mojego bloku była jednotorowa pętla, na której kończyła bieg m.in. linia nr 11. Między torami tramwajowymi a torami przy stacji PKP Kasprzaka było dość dużo miejsca, latem okoliczni mieszkańcy opalali się tam na kocach, pamiętam, że rodzice zabierali nawet dmuchany basenik, w którym się kąpałem, zimą zaś można było zjeżdżać na sankach ze wzniesienia wiodącego do nasypu kolejowego, była to najbliższa górką od domu, ale w sąsiedztwie mieliśmy również kopiec w Parku Szymańskiego oraz górkę „na Olimpi” czyli w Parku Moczydło.

Pamiętam, jak rozpoczęła się budowa „Trasy Toruńskiej” (tak na osiedlu zawsze nazywaliśmy ją w całości, od mostu Grota-Roweckiego aż do tunelu przy „Zachodnim”), która zmieniła krajobraz naszej ulicy na zawsze. Zniknęły tory tramwajowe wraz z pętlą, pojawiły się wykopy, a później wystające z ziemi betonowe słupy mające podtrzymywać estakadę, które straszyły przez parę ładnych lat, gdyż budowa została wstrzymana. Podczas przekopywania terenu koparki często odsłaniały fragmenty starych zabudowań, trafiały się również niewybuchy wojenne, kilka razy przyjeżdżali po nie saperzy. Na teren budowy zawitali również filmowcy, kręcono tam „Uprowadzenie Agaty” Marka Piwowskiego, doskonale pamiętam sceny z policjantami-antyterrorystami biegalącymi między naszymi betonowymi słupami od trasy, dla wszystkich była to dość duża atrakcja i obserwowaliśmy dokładnie całe przedsięwzięcie.

Tereny przyległe do linii kolejowej były faktycznie atrakcją dla mieszkańców, bo wspomina je również mieszkający wówczas przy ul. Tyszkiewicza Radosław Surowiec:

Za pętlą od ulicy Obozowej, tam gdzie obecnie jest ulica Banderii, za moich czasów była niemalże wiejska dróżka, ze starymi zakładami rzemieślniczymi wokół. Chadzałem nią do parku Moczydło. Na wysokości obecnej al. Prymasa

Tysiąclecia, której oczywiście nie było, rozkładało się na trawie kocyk. Wśród drzew owocowych, o ile dobrze pamiętam. Leżąc na kocyku, rysowałem przejeżdżające tuż obok pociągi.

Osiedle Marcina Kęski graniczy od południa z ul. Kasprzaka, przy której działały wówczas zakłady im. Świerczewskiego, co, jak się okazało, nie pozostawało bez wpływu na sposób spędzania czasu na podwórkach:

Na każdym z naszych pięciu podwórek wystawały z ziemi tajemnicze betonowe daszki oparte na 4 nogach, przypominały one duże wentylatory, nazywaliśmy je „grzybkami”. Ciekawiło nas, do czego służą. Krążyły plotki, że pod ziemią znajduje się cały system

tuneli oraz schron, że można przedostać się aż do VIS-u (wcześniej Fabryki WYROBÓW Precyzyjnych im. Gen. Świerczewskiego). Kilka razy wchodziliśmy do środka, jednak ciężko było się tamtędy przemieszczać, korytarze dosłownie zawalone były różnymi gabarytowymi niepotrzebnymi sprzętami. W jednym przypadku natknęliśmy się na drzwi, których nie udało się otworzyć. Po latach, już w czasach studenckich, spotkałem znajomych z podwórka, mówili, że schron rzeczywiście istnieje, że trafili do niego przypadkiem i później urządzili w nim nawet kilka nieformalnych imprez.

Była też druga ciekawa rzecz związana z VIS-em. Co jakiś czas mieliśmy na osiedlu „wysyp” suwmiarek, które były tam produkowane. Nie wiem, w jaki sposób do nas trafiały, być może były to egzemplarze z defektami, które perfidnie wyrzucano na naszych podwórkach w krzaki, w każdym razie każdy na osiedlu miał możliwość robienia bardzo precyzyjnych pomiarów, momentami można było natknąć się na sosy suwmiarek usypane z kilkudziesięciu sztuk.

Ponieważ na początku lat 80. krajowa gospodarka zaczęła mocno ciągnąć w dół, „Świerczewski” oraz inne wolskie zakłady przemysłowe zaczęły podupadać, choć produkcja szła jeszcze siłą rozpędu. Zmniejszył się eksport, płace malały, za to rosła inflacja. Rozpoczęły się strajki, najpierw przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, potem głównie o podwyżkę płac.

Właśnie w tym czasie na Woli wychowywało się pokolenie, którego młodość przypadła na przełom lat 80. i 90., które dorastało w czasach przemiany ustrojowej i obserwowało, jaki wpływ miała ona na ich dzielnicę. Paweł Starewicz mieszkał przy ul. Wolskiej 115, i, jak wspomina, dźwięk syreny z zakładów im. Świerczewskiego budził go do szkoły:

Symbolem przemian na Woli, które najbardziej mi się w oczy rzucały, było powstanie hurtowni z tanimi rzeczami, jak Coloseum na ul. Zwrotniczej czy Ocean na ul. Jana Kazimierza, oraz hurtowni spożywczych z Ordona. Hurtownie, bo ceny były jak za hurt, ale można było kupować pojedyncze sztuki. W Coloseum sprzedawano tanie chińskie produkty — zeszyty, długopisy.

Ze zmiany ustrojowej pamiętam też to, że pani w szkole przykleiła orłu koronę ze złotej folii i tak sobie potem już w koronie wisiął.

Marta Domagała mieszkała wówczas na osiedlu przy ul. Płockiej, wybudowanym właśnie na terenie Sadurki, którą wspominał Janusz Dziano. Na Woli chodziła do szkoły podstawowej i liceum. I jak to dawniej bywało, dzieciństwo spędziła na podwórku:

Najfajniejszym miejscem na podwórku zawsze były trzepaki. Pamiętam nasze akrobacje, które były naprawdę niezłe. Grałimy też w zbijaka. Na krańcu osiedla, przy Skierniewickiej, stał przedwojenny dom, do którego czasem chodziliśmy. Ten dom bardzo mnie intrygował, bo był taki inny, stary. Nawet trochę się go bałam, brama była straszna.

Na środku naszego osiedla była konstrukcja betonowa, którą nazywaliśmy schronem. Uwielbialiśmy tam się bawić. To chyba była jakaś stara kotłownia.



Wspomniany przez Marcina Kęskę „grzybek”, będący podobno wejściem do tuneli prowadzących do „Świerczewskiego”, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



„Schron” na osiedlu przy ul. Płockiej, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

Chodziłam do szkoły muzycznej przy Tyszkiewicza. Jeździłam autobusami 109 i 309 z Płockiej, one dojeżdżały do Górczewskiej, a tam się przesiadałam w 166 i 394 w dawną Lumumby. Wtedy jeździły już Ikarusy. Obok pętli na Kole był taki pawilon z flipperami, to była jedna z niewielu rozrywek wtedy na Woli, chodziliśmy tam na węgry.

Pamiętam, że miałam taką zabawę — w drodze do szkoły liczyłam... syrenki. I było ich bardzo dużo! Tyle się naoglądałam tych samochodów, że stałam się znawczynią syren, rozróżniałam wszystkie modele.

Samochody marki Syrena musiały być faktycznie elementem charakterystycznym dla Woli lat 80., bo, jak wspomina Paweł Starewicz, było ich tu więcej niż w innych dzielnicach:

Mieliśmy wtedy syrenkę i pamiętam, że na Woli w ogóle było bardzo dużo tych samochodów. Zaraz za wiaduktem, jeszcze przed domem z filarami, była stacja naprawiająca syrenki, gdzie serwisowaliśmy i nasz samochód. Raz jeden z pracowników założył się, że otworzy jednym kluczykiem wszystkie syreny parkujące przy tym odcinku Wolskiej. I faktycznie, udało mu się. Pamiętam dźwięk otwieranych drzwi w tym aucie, to był taki charakterystyczny brzęk odbijanych sprężyn.

Do naszej syrenki włamywano się kilka razy, a dwukrotnie ją ukradziono — to były takie czasy, że do tych aut włamywano się bardzo chętnie — łatwo się je otwierało, a poza tym uważano, że są pewnie porzucone. Zresztą — wraków syren było naprawdę dużo wtedy na Woli, można było bez problemu wykręcać z nich części zamienne.

Nawet w jednej takiej syrence po szkole chodziliśmy się bawić. Na ulicy Przyce był wydział pojazdów porzuconych, a obok ogromna góra samochodów, na wysokości jednego piętra, w dużej mierze syrenek.

W drugiej połowie lat 80. zmiany w dzielnicy dotyczyły przede wszystkim przemysłu, który szedł w kierunku decentralizacji, z zakładów wyodrębniały się różne spółki, pracownicy, przewidując zbliżający się upadek fabryk, często odchodzili i zakładali własne przedsiębiorstwa. Rozwijały się wówczas takie zakątki Woli, jak ul. Jana Kazimierza czy Ordona, gdzie w pofabrycznych obiektach powstawały różnego rodzaju hurtownie i niewielkie przedsiębiorstwa. Wspomina Paweł Starewicz:



Nieistniejąca już hala po zakładach im. Waryńskiego przy ul. Jana Kazimierza. W takich obiektach na przełomie lat 80. i 90. powstawały liczne małe przedsiębiorstwa i hurtownie. Fot. Paweł Starewicz

Pamiętam, że w dni powszednie był tam hałas i mnóstwo ludzi, samochodów. W weekendy natomiast cała ulica wymierała, bo prawie nikt tu nie mieszkał, poza kilkoma małymi kamieniczkami, gdzie mieszkali ludzie chyba od wojny.

Początek upadku wolskiego przemysłu niósł ze sobą masę problemów społecznych, o których mówi we wspomnieniach Dorota Kukuć:

Zmiany na Woli zaczęły się, gdy ten wielki przemysł zaczął upadać, jeszcze w latach 80. XX w. Zaowocowało to bezrobociem, a, co za tym często idzie, alkoholizmem. W mojej okolicy zawsze było pełno met, a potem sklepów monopolowych. Były czasy, że praktycznie na każdym rogu stali podpici panowie, nazywaliśmy ich „stojakami”.

Jedno, co się nie zmieniało, to obowiązkowe punkty weekendowych spacerów:

Centrum Woli to był wówczas teren przy „Pedecie” i kinie W-Z. Do „Pedetu” chodziło się na zakupy całą rodziną, pamiętam sklep zabawkowy na ostatnim piętrze, mieli świetne modele samochodów radzieckich z metalu, bardzo dokładnie odwzorowanych. Obok, do kina W-Z chodziliśmy czasem na poranki, a do „Wenecji” na ciastka — lub do „Dorotki”.

Na spacery chodziliśmy naprzeciwko domu, do parku Szymańskiego. Nie była to wtedy bezpieczna okolica, na ławkach siadywali pijaczkowie i nie świeciły prawie żadne latarnie. Pamiętam fontanny w środku parku — wyglądały, jakby nikt ich nigdy nie wykończył, surowy beton. Wokół nich natomiast wykopałem wiele takich małych kafelków szklanych, które pewnie były (albo miały być) wykończeniem fontann.

Jeszcze pod koniec lat 80. w parku Sowińskiego był organizowany dzień dziecka. Największą dla mnie atrakcją był kiermasz z zabawkami, poza tym koncerty — chyba Gawędy, bo nie pamiętam dokładnie. W późniejszych latach 90. park z amfiteatrem stał nieużywany. (Paweł Starewicz)

A Marta Domagała dodaje:

Na Sarmatę chodziłam z mamą grać w badminton. Kawałek dalej na Ludwiku był Ogródek Jordanowski [ten sam, na którym przed wojną bawiła się będąc dzieckiem Barbara Jankowska-Tobijasiewicz], była tam górka, wtedy wydawała mi się olbrzymia, zjeżdżaliśmy tam na sankach. To była fajna, zielona okolica. Potem, gdy chodziłam do liceum Kopernika przy Bema, na Sarmatę chodziliśmy na lekcje WF, uprawialiśmy tam coś, co nazywało się czy-kung. To było bardzo śmieszne, bo my tam stałyśmy i wymachiwałyśmy rękoma, a obok spacerowali zdziwieni ludzie. Wtedy jeszcze stadion miał bramki i trawa była koszona. Oczywiście chodziliśmy też na baseny przy Górczewskiej, pamiętam tę żółtą żyrafę, która tam obok stała. Kawałek dalej, na górze na Moczydle był wyciąg narciarski, na którym też bywaliśmy.

Chodziliśmy też do parków Sowińskiego i Szymańskiego, ten drugi park nazywaliśmy „alejkami”, bo tam nie było prawie drzew tylko same chodniki z asfaltu.

Kino W-Z — tam całe dzieciństwo chodziliśmy na filmy, choć pamiętam, że wtedy już było one takie raczej staromodne. Obok do „Pedetu” chodziliśmy całą rodziną, w weekendy. Kupowało się ciuchy, pamiętam, że było pełno butików. Z tatą chodziłam oglądać tam zestawy grające, tzw. wieże, o których wtedy marzyłam. Po drugiej stronie Młynarskiej chodziliśmy do kawiarni „Dorotka” albo do „Wenecji”, gdzie były pyszne wuzetki.

Właśnie przy tym wolskim centrum, gdzie tak chętnie od pokoleń chadzali mieszkańcy, u zbiegu ulic Młynarskiej i Wolskiej, 3 września 1987 r. wydarzył się wypadek, który wpisał się w historię dzielnicy (i Warszawy) jako „czarny czwartek komunikacji”. Pamięta go Paweł Starewicz, akurat tego dnia spacerował z matką wzdłuż ul. Wolskiej:

Szliśmy wtedy z rodzicami w stronę „Pedetu” i usłyszeliśmy huk. Z kamienicy wybiegł jakiś pan i pytał, co się stało, a ktoś zawołał, żeby wezwać pogotowie, bo wypadek. Zginęło wtedy kilka osób, pamiętam, że tramwaje zakleszczyły się, jeden miał całkiem rozbity przód, nie wiem, czy motorniczy mógł to przeżyć.

Motorniczy przeżył, ale zginęło 7 osób, a 73 zostały ranne. Powodem katastrofy była źle ustawiona zwrotnica. Tramwaj, który miał jechać w stronę Śródmieścia, skręcił niespodziewanie w ul. Młynarską, wbijając się w tramwaj



Park Szymańskiego, koniec lat 80. Fot. z archiwum Pawła Starewicza



**Zniszczone wagony tramwajowe w wypadku 3.09.1987 r.
Zajezdnia R-1 Wola. Fot. Tomasz Igielski**

jadący w kierunku pętli Cmentarz Wolski. Tego dnia, kilka godzin później, na stacji PKP Włochy zderzyły się pociągi, zginęło 8 osób, stąd też wzięto się określenie „czarnego czwartku”.

Po 1989 r., w wiadomych okolicznościach, Wola zaczęła się zmieniać. Powoli stawało się jasne, że przyszłość dzielnicy nie leży w przemyśle. Z różnych powodów duże wolskie fabryki rozpoczęły marsz ku upadkowi.

W 1991 r. upadło też, niestety, kino W-Z, obiekt, który dostarczał rozrywki pokoleniom wolan. Nie wytrzymał konkurencji z powstającymi nowoczesnymi kinami wielosalowymi. Rok później w budynku po kinie powstał jeden z najbardziej znanych, dziś legendarny już, klub muzyczny Fugazi. Jego założyciel, Waldek Czapski, wspomina:

To było jedno z największych tego typu miejsc w Europie środkowo-wschodniej. Dwie sale koncertowe na 2000 i 500 osób, sala bilardowa, bar w kształcie gitary — o długości 14 m i super sklep muzyczny. Rozklejaliśmy codziennie od 2000 do 4000 plakatów. We wszystkich szkołach rozprowadzane były bilety i ulotki. W ciągu jedenastu miesięcy działalności zagrało ponad 300 zespołów. Życie w klubie toczyło się na okrągło, 24 godziny na dobę.

W klubie grały największe polskie zespoły: Kult, Dżem, Tadeusz Nalepa, Maanam. Niektórzy, jak Hey, Acid Drinkers, Wilki, Human zagraли w nim swoje pierwsze koncerty w Warszawie. Klub istniał tylko 11 miesięcy, ale wychował pokolenie młodych warszawian i wpisał się na stałe w historię Woli. Wiele lat później, w 2010 r., budynek kina został rozebrany.

W 1990 r. urodził się Wiktor Raczkowski, mieszkał na osiedlu przy ul. Płockiej. Dla niego zmiany, do których doszło na Woli po upadku PRL-u, były w większości korzystne:

W mojej okolicy zaczęła cywilizować się ulica Ludwika — jak byłem mały, to było tam raczej niebezpiecznie. Powstały nowe domy przy skrzyżowaniu z Płocką, wycięto też chaszcze, w których przesiadywały pijaczki. Potem wybudowano nowe osiedle w pobliżu ul. Bema, więc i tam sprowadziło się sporo nowych mieszkańców, zrobiło się bardziej cywilizowanie i bezpiecznie. Tak samo było w miejscu dawnych fabryk — to, że one zmieniały się w nowoczesne biurowce, cieszyło mnie, bo robiło się bezpieczniej, czystiej, ładniej. Pamiętam wielki plac budowy wzdłuż Kasprzaka. Dziś wiem, że Wola utraciła w ten sposób część swojej tożsamości, ale wtedy nie



Waldek Czapski, założyciel klubu Fugazi, w miejscu, w którym stało kino W-Z, a potem mieścił się klub, 2012 r. Fot. Jarek Zuzga

potrafiłem tego docenić — ważniejsze było to, że wokół rosły nowe domy, takie, które do tej pory widywało się w filmach, że wkraczał do nas wielki świat.

Zmieniała się też moja szkoła [Szkoła Podstawowa nr 90 przy ul. Kasprzaka 1/3, obecnie Gimnazjum nr 46] — wcześniej była obskurna, a nagle ją wyremontowano, wybudowano basen, nowe boisko. Moja starsza siostra mówiła mi „ale masz fajnie, będziesz chodzić do takiej ładnej szkoły, nie tak jak ja”.

Zmiany były duże, jak te, które wspomina Wiktor, ale też drobne, za to poprawiające bardzo samopoczucie mieszkańców. Marcin Kęska wspomina:

Na początku lat 90. pojawiła się przy skrzyżowaniu al. Prymasa Tysiąclecia i ul. Wolskiej klasyczna przyczepa kempingowa „Niewiadów”, z której serwowano zapiekanki oraz hot-dogi. Niestety, nie przetrwała ona chyba zbyt długo (może dlatego, że na dachu miała tablicę z napisem „hod-dog”). W każdym razie ja wspominam ją bardzo dobrze, ile bym teraz dał, żeby mieć takie miejsce koło domu.

To faktycznie były czasy wszechobecnych budek, w których można było kupić praktycznie wszystko, od jedzenia, przez kasety, po odzież. W niektórych miejscach, jak wokół Hali Wola przy ul. Człuchowskiej, bazyły rozwinęły się na wielką skalę, stając się głównym punktem zaopatrzenia. Wiele dużych sklepów z minionej epoki nie poradziło sobie z taką konkurencją i upadło. Tak było m.in. z „Pedetem”:

W połowie lat 90. rodzice zabierali mnie tam na tzw. „lepsze” zakupy, choć już wtedy ten sklep trochę podupadał. Po 2000 roku już tam nie chodziliśmy. (Wiktor Raczkowski)

„Pedet” dotrwał do 2005 roku, po czym został przerobiony na biurowiec, z niewielką częścią handlową na parterze. Podczas przebudowy zniknęły piękne obrazy Henryka Włodarskiego, które zdobiły klatkę schodową sklepu.

Nowe czasy niosły też ze sobą zmiany, które nie do końca były dobrze odbierane, zwłaszcza przez lokalnych mieszkańców:

Wtedy też na Wolę zaczęli sprowadzać się nowi mieszkańcy — przeprowadzali się właśnie za pracę w tych nowych biurowcach. Byli to ludzie na ogół lepiej sytuowani niż ci na moim osiedlu przy Płockiej, gdzie mieszkało wielu byłych pracowników wolskich fabryk. Pamiętam, że przy ul. Zegadłowicza powstało chyba pierwsze na Woli grodzone osiedle, gdzie te rodziny miały mieszkania. To był taki symptom zmian — te nowe biurowce i zamknięte osiedla. Na mnie, wtedy dziecku, robiło to duże wrażenie.

W mojej szkole przy Kasprzaka towarzystwo było mieszane — sporo było dzieci „miejscowych”, ale też dużo tych nowych. Trzymaliśmy się razem, nie było między nami żadnych podziałów na lepszych czy gorszych, przynajmniej w szkole. Bo na



Jedno z pierwszych nowych, ogrodzonych osiedli na Woli, ul. Zegadłowicza, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga



podwórkach trochę było czuć tę „różnicę klas”, oni zamykali się za murem osiedla, a my nie mogliśmy do nich wchodzić — nie dlatego, że nas nie chcieli wpuszczać, wręcz przeciwnie, ale po prostu dzieciaki nie potrafiły obsługiwać tych wszystkich nowych domofonów, tam były jakieś karty wejściowe, trzeba było się wpisywać... no i czasem było nam przykro, że nie możemy wspólnie się bawić. (Wiktor Raczkowski)

We wspomnieniach Pawła Starewicza też czuć nutkę goryczy po znikających w latach 90. elementach wolskiego krajobrazu:

Po drugiej stronie Wolskiej, naprzeciwko mojego domu, mieliśmy bar mleczny „Bartek”. Tuż przed 89 rokiem został przerebionym na taki podejrzany klub nocny „Hipodrom”, pamiętam,

że szyby zostały przyciemnione i niezbyt bezpiecznie było tam chadzać, wokół kręciło się nieprzyjemne towarzystwo. Był też Bar Wolski, w budynku przy Wolskiej, obok wiaduktu. Zapach bigosu czuć było na całej ulicy. Dziś tu jest pizzeria.

Początek lat 90. to były czasy, gdy podwórkowa infrastruktura minionej epoki, która służyć miała dzieciom do zabawy, praktycznie już nie istniała albo była w rozsypce, a nowej jeszcze nie zdążono utworzyć. W tych trudnych dla najmłodszych czasach trzeba było bawić się tam, gdzie się dało, i tym, co było pod ręką:

Co do sportu, to dużo grałem w piłkę z kolegami, ale nie mieliśmy praktycznie żadnej infrastruktury. Boisko „Sarmaty” było już bardzo zniszczone. Między blokami był taki betonowy plac, i tam graliśmy, ku wielkiemu niezadowoleniu mieszkańców. Zresztą, później zastawiono ten plac betonowymi doniczkami. Potem dostawiono nam taki stolik do gry w ping-ponga, ale szybko został on zaanektowany przez miejscowych amatorów wina. Latem chodziło się na baseny na Moczydle, pamiętam wielki tłok i to, że zawsze coś się tam wbijało w stopę — dno basenów nie było zbyt równe — ale to są fajne wspomnienia. (Wiktor Raczkowski)

O przetomie lat 80. i 90. na osiedlu Jelonki, które wówczas jeszcze należało do dzielnicy Wola, pisze Maciej Bednarek. Pierwszą ze zmian, która rzucała się w oczy, był zanik przyjaznych stosunków sąsiedzkich:

W latach 90. powoli zaczęły wygasać takie relacje między dorosłymi, jakie były za komuny. Wtedy wszyscy ludzie, przynajmniej z tej samej klatki, się znali, bez żenady szło się do sąsiadów pożyczyć cukier, wódkę. To była normalka. Teraz, jak odwiedzam rodziców, jest sztywno, ludzie się nie uśmiechają.

Drugą — zmiany w handlu:

W latach 80. rolę hipermarketu pełniła Hala Targowa Wola. W drugiej połowie lat 80. hala stawała się coraz bardziej „zachodnia”. Na stoisku ze sprzętem RTV wydzielono część na prywatną wypożyczalnię video i płyt kompaktowych. Lubiłem stać i przyglądać się kupującym. Często przychodzili goście, co pożyczali filmy „na pałę” — właściciel wymieniał filmy i pytał, czy już

był wypożyczony. Jeśli nie był, to klient brał. Wtedy też w innych częściach hali pojawiły się stoiska z nieco lepszymi rzeczami — jakieś zachodnie słodczyce, banany itd. Tylko to było drogie i kupowali tam „wybrani”. Bogatym, dobrze ubranym ludziom wtedy się szczyrze zazdrościło.

W końcu w Hali pojawił się Pewex — oddzielne wejście, na rogu Człuchowskiej i Powstańców Śląskich. To był powiew Zachodu. Chodziliśmy tam z chłopakami zebrać opakowania po zachodnich papierosach, które potem wieszaliśmy w domu na ścianach. Kogo było stać na cołą za kilkadziesiąt centów, ten był gościem. Mnie nie było.

Oprócz kartonów po papierosach zbierało się puszkami, a te się brało z kilku źródeł, m.in. od Arabów. W latach 80. kilka rodzin z mojego bloku wynajmowało im mieszkania. Np. na miesiąc rodzina przeprowadzała się do babci. To był niezły zarobek. Dzięki temu mój kumpel z klatki obok dostał od rodziców motorynkę i magnetofon dwukasetowy marki Yoko.

Kolekcjonerzy puszek dzielili się na kilka grup. Najlepszy był taki, który miał tylko małe (0,33 l) puszki po piwie (każda innej marki), potem taki, który zbierał małe puszki, ale też po coli czy fancie. Najgorsi (w tym ja) mieli i małe, i duże (0,5 l) puszki powtarzających się marek (teraz przypominałem sobie, że przy grze w kapsle też byli lepsi i gorsi kolekcjonerzy).

Rzeczywiście, kolekcjonowanie puszek po napojach, kapsli czy opakowań było charakterystyczne dla schyłku lat 80., ale w latach 90. już praktycznie zanikło, gdy „zachodnie” towary zaczęły być dostępne dla każdego. Pojawiły się za to nowe trendy i nowe obyczaje:

Ciekawostką jest to, że Wola, obok Ursynowa i Mokotowa, była jedną z pierwszych dzielnic, w której rozwinęła się nowa wtedy subkultura hip-hopu. Szerokie spodnie, większe bluzy, deskorolki, słuchanie odpowiedniej muzyki (np. Warszawskiego Deszczu) — stało się to bardzo modne. Sporo młodych ludzi próbowało grać — to właśnie z Woli pochodzą tacy muzycy jak Człowiek Nowej Ery czy Wujek Samo Zło. Ten hip-hop nas łączył, słuchali go wszyscy, i ci zamożni, i biedniejsi, co ciekawe, hip-hopowe ciuchy były wtedy bardzo drogie, ale każdego jakoś było na to stać. Na deskorolkach jeździło się wszędzie, adaptowaliśmy każdy krawężnik, schodki, poręcz. Niezbyt się to podobało starszym mieszkańcom, narzekali, że hałasujemy, niszczymy, no ale wtedy nie było jeszcze skateparków, jeździło się po podwórkach i ulicach. Pierwszy skatepark powstał późno, jak już kończyłem podstawówkę, w parku Szymańskiego. (Wiktor Raczkowski)

Te dobre i złe zmiany nie były na Woli niczym wyjątkowym, w całym kraju tak było, i dopiero dziś, po latach, możemy próbować ocenić, co było dobre, a czego szkoda. Na pewno żał części peerelowskiego dorobku, którego w latach 90. chętnie się pozbywaliśmy. Pawłowi Starewiczowi szkoda, że z wolskiego krajobrazu zniknęły piękne, fabryczne neony:

Pamiętam, jak zniknął neon z dachu Świerczewskiego... W ogóle szkoda było mi tych wolskich neonów. Na budynku Polskich Nagrań była taka fajna migająca nutka...

Z kolei Edward Kołodziejczyk mówi o zmarnowanym potencjale wolskiego przemysłu, o ludziach, którzy tracili pracę:



Zakłady im. Świerczewskiego, na pierwszym planie budynki już nieistniejące. Fot. Paweł Starewicz



Nowe osiedla na zmieniającej się ul. Jana Kazimierza, 2013 r. Fot. Jarek Zuzga

„Nowotko” przez ponad 50 lat był producentem wysokoprężnych silników spalinowych, przez dziesiątki lat stosowanych z powodzeniem w wielu dziedzinach gospodarki.

Niestety — podobnie jak i inne zakłady produkcyjne funkcjonujące na terenie dzielnicy Wola, czyli: „Świerczewski”, „Róża”, „Kasprzak”, „Waryński” czy leżący nieopodal „Ursus” — zakłady zostały zlikwidowane w listopadzie 2009 roku. Wraz z upadkiem tych dużych firm pracę straciło kilkadziesiąt tysięcy warszawiaków (nie licząc dojeżdżających spoza stolicy)...

Szkoda mi tego przemysłu, który już prawie całkowicie znikł z Woli. W zakładach

Nowotki przepracowało w sumie 60-70 tys. ludzi, pewnie podobnie było w innych fabrykach. Dziś w miejscu, gdzie mieliśmy nasze zakładowe boisko sportowe, stoi galeria handlowa.

Budynki „Nowotki” w większości jeszcze stoją, choć nic się w nich nie dzieje i zapewne zostaną rozebrane. Zburzone zostały budynki po „Waryńskim”, po „Róży” (zachowano tylko pamiętający czasy Philipsa przedwojenny fragment murów od strony ul. Karolkowej). Na biurowce zmieniły się obiekty po „Kasprzaku” i po Polskich Nagraniach. Foton ustąpił miejsca prywatnej szkole, a „Świerczewski” powoli jest wyburzany pod nowe osiedla. Na ul. Jana Kazimierza wyburzono wiele mniejszych fabryk i warsztatów, w ich miejscu powstają osiedla mieszkaniowe. Właściwie tylko zakłady Polfa przetrwały i nadal są w tym samym miejscu przy ul. Kasprzaka.

To przede wszystkim ludzie tworzą klimat dzielnicy, i od tego, jacy będą mieszkańcy Woli, zależy jej dalszy los. Na szczęście dziś coraz więcej osób interesuje się miejscem, w którym mieszka, coraz większą uwagę zwraca się na historię, tradycję, jednocześnie nie tracąc z oczu tego, co niosą nowe czasy.

Paweł Starewicz stara się chronić to, co dobrego nam zostało z minionej epoki PRL-u, od jakiegoś czasu współtworzy galerię sztuki użytkowej, gdzie prezentowane są przedmioty i wzornictwo z tamtej epoki, wśród których jest mnóstwo wolskich pamiątek. Jest też miłośnikiem starych samochodów, szczególnie tych z Polski Ludowej, uczestniczy w rajdach, stara się, żeby pamięć o nich nie zanikła.

Marcin Kęska jest współwłaścicielem studia, w którym powstają grafiki poświęcone Warszawie, w tym oczywiście Woli.

Wszyscy moi rozmówcy interesują się historią swojej dzielnicy, nawet jeśli już teraz w niej nie mieszkają. Zbierają pamiątki, spisują wspomnienia, a co najważniejsze — przekazują je następnym pokoleniom. Wśród młodych ludzi ten pozytywny, lokalny patriotyzm również jest coraz silniejszy. Z tej perspektywy, w połączeniu z rozwojem dzielnicy, szczególnie zaś z budową metra, ale też ze swoim potencjałem historycznym i ekonomicznym, przyszłość Woli rysuje się w jasnych barwach.

Osoby, których wspomnienia i fotografie zostały umieszczone w książce:

Bednarek Maciej 77, 90
Chabiera Anna 72, 74, 75, 83
Chodnikiewicz Zbigniew 16, 17
Chojnacki Tadeusz (ps. „Czarny”) 12, 27, 52
Ciepliński Tadeusz 28, 33, 35, 46, 47, 51
Czapski Waldemar 88
Ćwirko-Godycki Witold 36, 37
Domagała Marta 85, 87
Drzewoski Adam 33, 34
Dziano Janusz 78, 81, 85
Gałka Wacława 45, 46
Golec Barbara 45
Grabalski Józef 69
Grochowalski Henryk 62
Hoch Edward 13, 52, 69
Hoch Stanisław Janusz 13
Igielski Tomasz 88
Jankowska-Tobijasiewicz Barbara 13, 87
Janowski Jerzy 23, 33, 47
Kęska Marcin 82, 83, 84, 85, 89, 92
Kołodziejczyk Edward 69, 70, 76, 77, 91
Kukuć Dorota 62, 63, 72, 73, 74, 83, 86
Kurzela Jerzy (ps. „Jurek”) 42
Kwiatkowski Filip 25
Kwiatkowski Marek 74, 75
Mańkowska Janina 33
Marcinkiewicz Danuta 71
Mieszczynska Irena 15, 16
Okrański Henryk 27, 32, 34, 35, 38, 39, 40, 43
Prośniewski Wojciech 40, 65
Przybylski Henryk (ps. „Kruk”) 41, 43
Raczkowski Wiktor 88, 89, 90, 91
Sekuła Teofil 12, 38, 39, 42, 53, 55
Skrzecz Witold 39, 61
Sobczak Zbigniew 48, 49, 66, 67
Sobiech Czesław 76
Soboń Jan, *zob.* Werba Aleksander
Starewicz Paweł 84, 85, 86, 87, 90, 91, 92
Stypiński Gabriel 32
Surowiec Radosław 84
Szafrński Antoni W. 77
Szpejn Aldona 16
Szubko Sławomir 49, 50
Ślawska-Szalewicz Jadwiga 56, 64, 65, 67
Tajak Weronika 14, 66
Towalska Jadwiga 62, 67, 68
Werba Aleksander (Soboń Jan) 37
Wiankowska Leonarda (Lilka) 16, 27, 28, 38, 41, 44, 55, 60, 61, 66, 67, 75, 83
Wojciechowska Helena 44, 45
Zalewska Maria Kalina 32, 53, 63
Zboralska Zofia 17, 19, 24, 25, 27, 29, 59, 60
Zbyszewska-Mildner Antonina 33, 58, 61
Żywiłowski Edmund 70

Bibliografia:

Lech Chmielewski, *Przewodnik warszawski. Gawęda o nowej Warszawie*, Agencja Omnipress i Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita”, Warszawa 1987
Tadeusz Ciepliński, *W czepku urodzony*, Wydawnictwo BETA, Przyłęk 2013
Zofia Dąbrowska, *O Czwartakach AL*, Graf, Warszawa 2003
Artur Nadolski, *Pani Chłodna (opowieść o warszawskiej ulicy)*, Bellona, Warszawa 2008
Ocalić od zapomnienia. *Dzieje Zakładów Mechanicznych im. Marcelego Nowotki, Zakładów Mechanicznych PZL Wola S.A. oraz ich poprzedników i następców*, red. Edward Kołodziejczyk, Kolpress, Warszawa 2013
Warszawa. *Informator, przewodnik*, Związek Propagandy Turystycznej m.st. Warszawy, Warszawa 1937
<http://kolejkamarecka.pun.pl> (dostęp 11.11.2013)

Spis treści

Wstęp.	4
Wola przed 1916 rokiem	5
Wola w międzywojniu	9
Wola pod okupacją i w powstaniu warszawskim.	21
Wola powojenna i współczesna.	57

Za pomoc przy realizacji dziękujemy:

Marii Bagińskiej, Tadeuszowi Cieplińskiemu, Marcie Domagale, Januszowi Dziano, Józefowi Grabalskiemu, Jerzemu Janowskiemu, Marcinowi Kęsce, Edwardowi Kołodziejczykowi, Dorocie Kukuć, Krzysztofowi Lipnikowi, Janinie Mańkowskiej, Danucie Marcinkiewicz, Arturowi Nadolskiemu, Martynie Pluciak, Wiktorowi Raczkowskiemu, Pawłowi Starewiczowi, Jadwidze Ślawnickiej-Szałewicz, Grzegorzowi Towalskiemu, Leonardzie Wiankowskiej, Marii Kalinie Zalewskiej, Zofii Zboralskiej, Antoninie Zbyszewskiej-Mildner, Edmundowi Żywiłowskiemu,

oraz użytkownikom Portalu Stowarzyszenia Obrony Pozostałości Warszawy „Kolejka Marecka”.



Wola. Ludzie i historie jest zbiorem wspomnień mieszkańców warszawskiej dzielnicy Wola, obejmujących lata przed II wojną światową, czas okupacji, lata powojenne i współczesność.

Staraliśmy się uchwycić emocje, które towarzyszyły przeżyciom; mamy więc w książce wspomnienia beztróskiego dzieciństwa, tragiczne lata wojenne, ale też radości i nadzieje, które przyniosła nowa Polska po 1989 roku.



**Dzielnica
m.st.
Warszawy**
[www.
wola.waw.pl](http://www.wola.waw.pl)

Patronat medialny:



ISBN 978-83-7507-255-6



9 788375 072556 >